OLGA TOKARCZUK

THE NOBEL PRIZE · 2018

E.E.

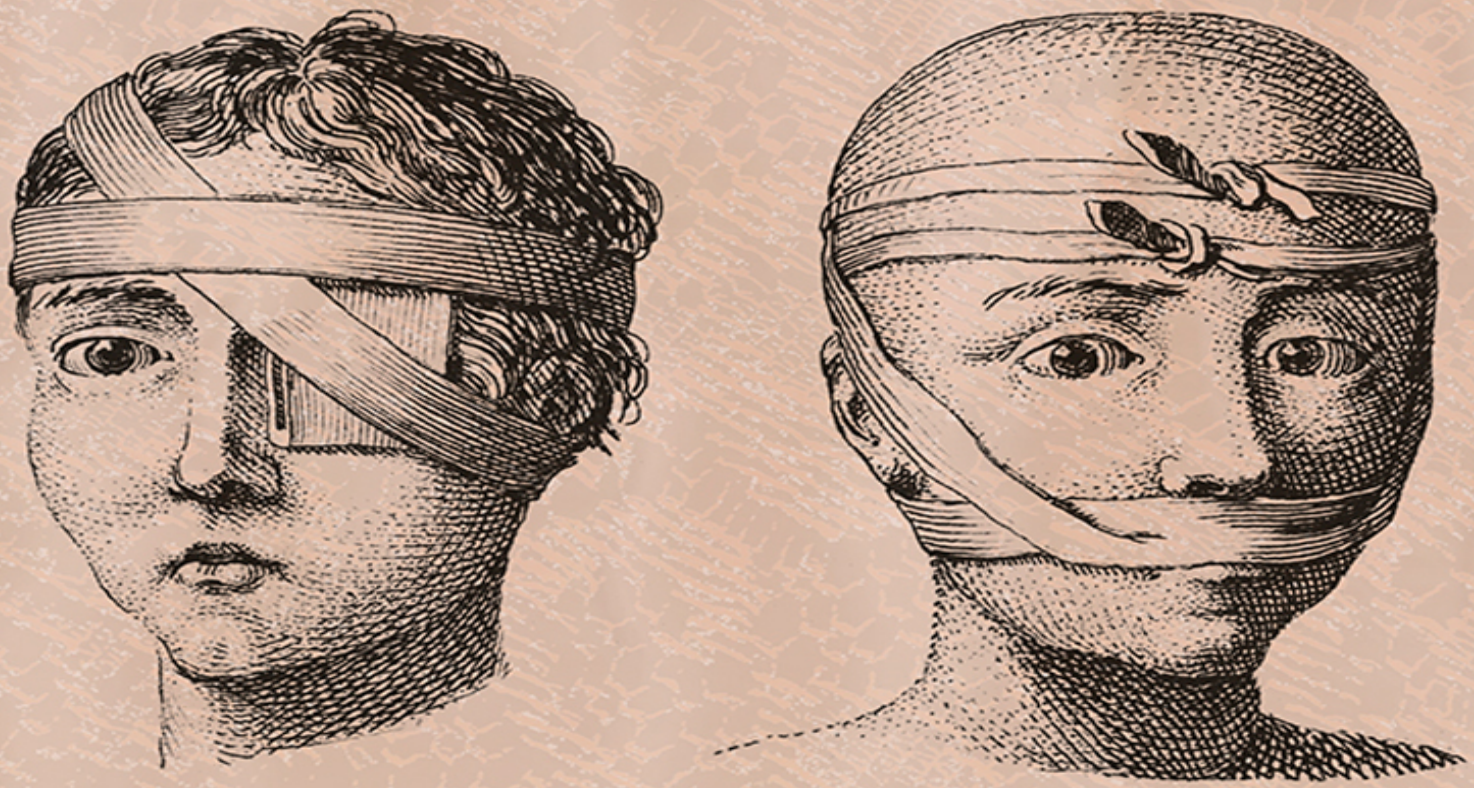

OLGA TOKARCZUK

E.E.

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Spis treści

Karta redakcyjna
Motto
Dedykacja

Erna Eltzner
Pani Eltzner
Walter Frommer
Teresa i Walter
Walter Frommer i pani Eltzner
Erna Eltzner
Doktor Löwe
Erna Eltzner
Pani Schatzmann
Artur Schatzmann
Doktor Löwe
Erna Eltzner
Artur Schatzmann

Artur Schatzmann
Teresa Frommer
Walter Frommer
Greta
Profesor Vogel
Notatki Artura Schatzmanna
Bliźniaczki
Teresa Frommer
Walter Frommer
Pani Eltzner
Walter Frommer
Pani Eltzner
Erna Eltzner
Artur Schatzmann i profesor Vogel
Artur Schatzmann
Notatki Artura Schatzmanna
Erna Eltzner
Walter Frommer
Pani Eltzner
Bliźniaczki
Pani Eltzner
Erna Eltzner

Notatki Artura Schatzmanna

Teresa Frommer

Erna Eltzner

Pani Eltzner

Notatki Artura Schatzmanna

Pani Eltzner

Erna Eltzner

Pani Eltzner

Walter Frommer

Bliźniaczki

Artur Schatzmann

Walter Frommer

Notatki Artura Schatzmanna

Artur Schatzmann

Doktor Löwe

Artur Schatzmann

© Copyright by Olga Tokarczuk
© Copyright by Wydawnictwo Literackie, Kraków 2005

Opieka redakcyjna: WALDEMAR POPEK
Redaktor techniczny: BOŻENA KORBUT

Projekt okładki i stron tytułowych: manufaktura | manufaktu-ar.com
Na okładce wykorzystano ryciny z *Encyklopedii* pod redakcją Denisa Diderota

ISBN 978-83-08-04989-1

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 430 00 96
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Nieuzasadnione jest odróżnianie
Świata duchowego od materialnego...
Naprawdę istnieją tylko osoby.

Berkeley

Tani

Erna Eltzner

Erna Eltzner wyłoniła się z mgły nieokreślenia, jaka zwykle towarzyszy egzystencji średnich córek w wielodzietnej rodzinie, w kilka dni po swoich piętnastych urodzinach, kiedy zemdlała przy obiedzie.

Zawołano natychmiast doktora Löwe, który stwierdził niedotlenienie mózgu, ogólną słabość organizmu i przewrażliwienie. Położono ją w chłodnej sypialni matki, ponieważ doktor zalecił spokój. Pani Eltzner została przy niej dłużej. Trzymała zimną, małą rękę w swojej ciepłej, pulchnej dłoni i próbowała znaleźć w nieruchomej twarzy córki jakąś wskazówkę dla siebie.

W pełnej życia rodzinie Eltznerów omdlenie Erny było wydarzeniem równie sensacyjnym jak niedawna odra małego Klausa albo przyjęcie oświadczyn przez najstarszą z rodzeństwa, Bertę. Od obiadu drzwi do pokoju, w którym położono Ernę, nie zamykały się. Pięć sióstr Erny, od najmłodszej, Liny, niesionej na rękach przez ojca, aż do Berty, pięknej osiemnastolatki, i dwóch braci – wszyscy zaglądali co chwila, przynosili termofor, ziółka, koc, lalkę, żeby choć rzucić okiem na nienaturalną szarość jej twarzy, zapadnięte oczy i woskowe dłonie ze zbielałymi paznokciami.

Dom Eltznerów, przestronne wielopokojowe mieszkanie, do wieczoru nasiąkł zapachem wody kolońskiej i amoniaku. Był teraz pełen ostrożnych kroków, ściszonych rozmów i karcących szeptów.

Pani Eltzner przy pomocy Berty rozebrała słabiutką, ale całkowicie już przytomną Ernę i ułożyła ją spać w swoim łóżku; Erna tę noc miała spędzić pierwszy raz w życiu sama, bez obecności sióstr.

W ciemnościach rozświetlonych tylko mgliście przez latarnie z ulicy pokój matki wyglądał, jakby go przysypano pudrem. Szerokie łóżko zapadało się w środku i leżąca w tym zagłębieniu Erna widziała sufit pełen pęknięć i cieni. Leżała bez ruchu, przysłuchując się zegarowi z przedpokoju, który równomiernie kawałkował ciszę na drobne kuleczki.

Ernie przypomniały się półki u piekarza, zawsze pełne okrągłych bułeczek, ułożonych rytmicznie jedna koło drugiej.

Potem Erna odwróciła nieco głowę i z uwagą rozejrzała się po matczynym pokoju. Patrzyła na wielką szafę z ubraniami, obcą, potężną, nieodgadnioną bryłę, wielokrotniejącą niewyraźnie w odbiciach trójściennego lustra toaletki. Wydało jej się, że zobaczyła jakiś ruch, cień, który się przesunął przez taflę szkła. Zaniepokojona, próbowała usiąść na łóżku, ale od razu zrobiło jej się niedobrze. Zdała sobie sprawę, że słyszy kilka rozmawiających żywo osób, ale głosy były tak dalekie, tak niewyraźne, że nie potrafiła rozpoznać słów. Z początku sądziła, że rozmowa dochodzi z jadalni, ale był przecież późny wieczór. Próbowała wsłuchać się w gwar, lecz im bardziej chciała skupić uwagę, tym bardziej źródło głosów przesuwało się gdzieś w bok i rozmazywało w szum i bełkot. Po kilku próbach uchwycenia pojedynczych wyrazów, które tylko przypominały słowa jej znane, ale jednocześnie nimi nie były, Erna z ulgą pomyślała, że jeszcze się nie obudziła z omdlenia albo może usnęła znowu, zdała sobie bowiem sprawę, iż chór głosów nie pochodził z jadalni ani z żadnego innego miejsca mieszkania, ale był w niej samej. Głosy płynęły z jakichś rozległych przestrzeni, które otworzyły się w niej właśnie wtedy, kiedy jedząc zupę rybną, zobaczyła po drugiej stronie stołu przyglądającego się jej intensywnie mężczyznę.

Jeszcze teraz, leżąc w matczynym łóżku, Erna potrafiłaby go opisać, może nie każdy szczegół postaci, ale rzeczy najważniejsze: bardzo jasne oczy i inność, której nie da się dokładnie określić. Jakby wycięto z jakiejś książki ilustrację i wstawiono do drugiej. Nie ta kolorystyka, nie ta sama faktura, coś obcego, choć ledwie uchwytnego. Nikt nie zwracał uwagi na stojącego w widocznym miejscu człowieka, a Greta przeszła przez niego z półmiskiem pełnym szparagów. Wtedy Erna zrozumiała, że widzi ducha.

To oczywiste, że widok człowieka, przez którego przebija wzór tapety na ścianie, wydał się jej taki przerażający. Erna podnosi oczy znad talerza, który ma brzeg zdobiony w gałązki kwitnącej jabłoni, i widzi młodszego brata, Maksa, a zaraz za nim jest t o. Patrzy na nią wzrokiem, w którym jest wiele myśli naraz, wiele słów i obrazów. To właśnie zobaczyła Erna.

Erna nie powinna była się przestraszyć ducha. Często wieczorami bywała świadkiem przestawiania w salonie okrągłego stolika do kart

i tajemniczego zamykania przed dziećmi drzwi, kiedy przychodził niesamowity pan Frommer i opowiadał o poruszających się przedmiotach, otwierających się z trzaskiem drzwiach, wędrujących po domach głosach. Erna widywała też pochyloną ku ciotce swoją matkę i słyszała jej przejęty szept: „Był u mnie znowu tatuś…". Duchy więc niewątpliwie istniały, tak samo jak istnieje Ameryka, wielka miłość czy zbrodnia, ale były gdzieś daleko, poza obszarem codziennego doświadczenia. Ich istnienie mieściło się w jakiejś innej przestrzeni i nie należało spodziewać się ich na obiedzie.

Teraz ta niepisana umowa została złamana i Erna od razu zrozumiała, że lekko rozmyta, nie przystająca do niczego obca postać, która brała przez chwilę udział w rodzinnym obiedzie, to był duch. Leżąc w bezpiecznym, wygrzanym termoforem łóżku, Erna doszła do wniosku, że zachorowała na jakąś chorobę, która umożliwia widzenie duchów. Nie, że widzenie duchów jest chorobą. Widywał je przecież pan Frommer i jej matka (choć pan Frommer wydawał jej się pod tym względem bardziej godny zaufania). Pisano o tym w powieściach, które razem z bliźniaczkami wykradały z biblioteczki mamy i czytywały ukradkiem, gdy dorośli byli zajęci sobą. Tatuś starał się pilnować, kiedy był w domu, żeby dziewczęta nie zajmowały się „bzdurami", i Erna wiedziała, że nade wszystko bał się wybuchów nerwowości żony, tych spazmów, migren i rozdrażnienia, kiedy wszyscy musieli zachowywać się cicho, a doktor Löwe nie opuszczał jej pokoju. Czy to też była choroba? Czy to z jej powodu matka Erny mówiła potem siostrze: „Znowu był u mnie tatuś…"?

To mogła być ta sama choroba. Erna snuła te domysły i wydało się jej, że łóżko stanęło nad brzegiem przepaści, która powstała właśnie dzisiaj i która zmieniła cały świat. „Jutro" było słowem, które niosło ulgę. Zasypiając, zobaczyła twarz ojca, który pocałował ją w czoło i cichutko wyszedł. Potem, już tam, po drugiej stronie, w jej śnie, zaczęło wyrastać wielkie drzewo, pełne zdarzeń, słów, obietnic. Rosło i rosło, aż sięgnęło nieba i rozbłysło jakąś oczywistą prawdą, której jednak Erna nie potrafiła nazwać. Ale odkryła, że przecież to ona jest tym drzewem wyrosłym z ciepła termoforu i rośnie teraz, przez sufit i mieszkania na górze, aż do dachu i jeszcze, jeszcze wyżej.

Rano Erna opowiedziała wszystko matce, jedząc w łóżku z apetytem jajko na miękko. Kątem oka śledziła wyraz twarzy pani Eltzner.

Spodziewała się jakiejś gwałtownej reakcji, ale matka milczała. Dopiero zaplatając Ernie mysie warkoczyki z jej rzadkich włosów, zapytała głosem z pozoru obojętnym, w którym jednak córka wyczuła nieopanowaną ciekawość:

– Czy go znasz?

– Kogo? – zapytała Erna niewinnie.

– Tego pana przy obiedzie…

– Nie wiem – odpowiedziała Erna, ale na tym rozmowa się nie skończyła.

Pani Eltzner, balansując między rozpierającym ją podnieceniem i ciekawością a koniecznością zachowania wobec dziecka spokoju, znalazła jeszcze kilka koniecznych do wykonania czynności, żeby móc ją wreszcie spytać:

– Jak wyglądała ta… ta postać? Pamiętasz ją, opowiesz mamie?

Erna stała teraz przed lustrem, a matka zapinała haftki jej beżowej, nietwarzowej sukienki. Działo się coś dziwnego z jej pamięcią, bo nie potrafiła sobie przypomnieć twarzy mężczyzny, przez którą przenikał wzór tapety. Pamiętała sam wzór: różowo-pomarańczowe lilie o trzech płatkach ułożone w rozety na jasnobrązowym tle. Pamiętała kwiatki na brzegu talerza i oliwkowy kolor zupy rybnej z grzankami. Pamiętała też najpierw zdziwiony, a potem przestraszony wzrok Maksa i rozmazany, nierealny kształt za jego plecami. I znowu było tak jak z tymi głosami w nocy – im bardziej chciała sobie przypomnieć tę postać, tym obraz stawał się mniej uchwytny. Twarz owej postaci za plecami Maksa umykała jej, rozlewała się, jakby właśnie na nią oczy Erny ślepły. Milczała więc, nie widząc niczego poza własnym odbiciem w lustrze.

– Czy miał okulary? Albo może monokl? No, pomyśl… – próbowała jej pomóc matka.

Tak, mógł mieć okulary. Erna pamiętała złotą kreskę pod bardzo jasnymi oczami. Druciane, złote okulary.

– Tak, okulary – powiedziała.

– I co jeszcze?

Teraz Erna zaczęła przypominać sobie tę twarz dokładniej, a może tworzyła ją od nowa: długi prosty nos, cienkie usta, wysokie czoło

z zakolami. Dłonie matki zatrzymały się dłużej na którejś z haftek, jakby chciały rozpiąć sukienkę i zacząć ją zapinać od nowa.

– Czy widziałaś go już przedtem?

Erna pokręciła przecząco głową. W zapiętej pod szyję beżowej sukience wyglądała bezradnie i smutno. Pani Eltzner przytuliła ją do swoich obfitych, starzejących się nieodwracalnie piersi. Erna poczuła chłodną gładkość materiału i zapach fiołkowych perfum.

Pani Eltzner

Następnego dnia w domu Fryderyka Eltznera, właściciela fabryczki tekstylnej, produkującej ostatnio na potrzeby wojska, nie działo się nic szczególnego. Starsze dzieci poszły rano do szkół, a dwoje młodszych było z Gretą na spacerze. W południe miał przyjść doktor Löwe, aby zbadać chorą. Pani Eltzner, czekając na niego, wydała kucharce dyspozycje i sama usiłowała się zabrać do wyciągania z szaf zimowych palt, czapek, rękawiczek i szalików. Otworzyła przepastne szafy w przedpokoju, skąd buchnął na całe mieszkanie zimny, marmurowy zapach naftaliny. Pani Eltzner myślała o Ernie leżącej w jej łóżku i myśląc o Ernie, myślała także, a może nawet przede wszystkim, o sobie. W Ernie, jedynej spośród swych córek, widziała siebie, jaką była w jej wieku i jeszcze młodszą – nieśmiałą, brzydką, samotną i obcą światu, jakby do niego nie należała. Wolałaby czuć się podobna bardziej do postawnej, poważnej Berty albo kokieteryjnej Marie, albo do rozpieszczonej i rozkapryszonej Liny, albo do pewnych siebie bliźniaczek. Do wczoraj. Wczoraj w inny sposób spojrzała na Ernę i teraz, stojąc naprzeciw otwartej szafy, uświadomiła sobie, że Erna miała jej gesty i jej upodobania kulinarne – do zupy pomidorowej, ryżu i smażonych ryb. Na krótko wrócił w jej pamięci nieostry obraz specjalnych noży do ryb, jakie zawsze podawano w rodzinnym domu, z tym polskim uporczywym przywiązaniem do niewygodnych konwenansów. Ale że nie była obdarzona obrazową pamięcią, widok noży do ryb zaraz się zatarł.

Pani Eltzner odwróciła się teraz do wielkiego wiszącego lustra i zobaczyła w nim siebie taką, jaką sama stworzyła: pulchną, zadbaną, jasnoskórą blondynkę, pełną kobiecości, której nie zniszczyło osiem porodów i jedno poronienie. Przeciągnęła dłonią po twarzy i szyi aż do stójki sukni. Kiedy rodziła kolejne dzieci, za każdym razem zastanawiała się, czy starczy jej miłości, rozumiała bowiem miłość jako zapas energii, którą obdarza się innych. Ten zapas był ograniczony i trzeba go było dzielić na coraz mniejsze części, i jeszcze trochę zostawić dla

siebie. Przyglądała się sobie w lustrze, rzucając co jakiś czas ku drzwiom kuchni niespokojne spojrzenie, bo bała się, że mogłaby ją na tej cichej adoracji przyłapać pokojówka. Ogarnęła wzrokiem swoje duże, podniesione gorsetem piersi, łagodne wcięcie w talii i obfite biodra. Nie wyglądała na swoich czterdzieści lat. Teraz zaczęła szukać fizycznego podobieństwa Erny do siebie. Erna mogłaby być jej cieniem, taka była drobna, mała i delikatna. A jednak podobieństwo było – jasne oczy, zarys ust, zęby, dłonie i stopy, wystarczająco dużo, żeby obudzić wzruszenie i płynącą z niego czułość, że oto widzi w Ernie swoje własne, niepowtarzalne i konkretne istnienie. Poczuła zaraz nieodpartą chęć pójścia do córki i przytulenia jej do siebie.

Erna siedziała w łóżku oparta o poduszki i oglądała encyklopedię. Podniosła na matkę oczy, których kolor kojarzył się z rozpuszczoną w wodzie farbką do bielizny. Pani Eltzner poprawiła jej poduszki i usiadła na brzegu łóżka. Erna obojętnie, nie czytając, przewracała kartki.

– Córeczko, czy ty mnie kochasz?

– Tak, mamo – odpowiedziała Erna.

Pani Eltzner przytuliła ją do piersi i wdychając zapach włosów córki, pomyślała, że jej włosy muszą pachnieć tak samo.

Kiedy przyszedł doktor Löwe, pani Eltzner zamknęła się z nim w salonie i dobitnym, pewnym siebie tonem opowiedziała mu, co, a raczej kogo zobaczyła Erna wczoraj przy obiedzie. Powiedziała też, że najprawdopodobniej w Ernie ujawniły się zdolności medialne, które posiadała cała rodzina pani Eltzner.

– Wobec tego nie mam tu nic do roboty. Trzeba raczej posłać po jakiegoś egzorcystę – powiedział Löwe i wstał.

Pani Eltzner nie dała za wygraną. Gwałtownie podniosła się, ściągając serwetę, i chwyciła go za rękę.

– Niech pan nie odchodzi, niech się pan nią zajmie, ona jest taka delikatna.

– Właśnie dlatego przestrzegam panią przed wmawianiem jej i sobie podobnych bzdur. System nerwowy Erny nie jest jeszcze w pełni ukształtowany i w tym wieku może ona być bardzo podatna na omdlenia

czy konwulsje. Dorabianie do tego jakichś z palca wyssanych diabolicznych bajek może zaburzyć jej i tak chwiejną równowagę.

Pani Eltzner nie puszczała jego ręki.

– Gdyby pan to słyszał, doktorze… Ona nigdy nie widziała swojego dziadka, a tak plastycznie go opisała. To był on, wybrał ją jako najbardziej podatną w rodzinie, jako najbardziej do mnie podobną… Byłam jego ukochaną córką…

Doktor Löwe zastanawiał się przez chwilę.

– Umówmy się, droga pani, że to, co pani mi powiedziała, zostawi pani dla siebie. Nie należy o tym rozmawiać z małą. Niech dużo odpoczywa, dużo je, a kiedy poczuje się silniejsza, niech wraca do codziennych zajęć. Nie sądzę, żeby się to miało jeszcze powtórzyć. Cokolwiek to było, udawajmy, że nic się nie stało.

– Udawajmy, że nic się nie stało – powtórzyła pani EItzner.

Po obiedzie Fryderyk Eltzner zdrzemnął się na kanapie w salonie, położywszy sobie na twarz gazetę. Było już ciemno na dworze, kiedy żona przyniosła mu miętę.

– Zioła, mój drogi.

Usiadła na kanapce i patrząc, jak pije, czekała na jakiś szczególny moment, odpowiedni do opowiedzenia o tym, co tak głęboko przeżywała. Zawsze tak robiła. Przygotowywała swojego słuchacza, ta cisza była uwerturą do słów, które zaraz padną.

Kiedy Eltzner poznał swoją przyszłą żonę, właśnie zerwała ona ze swoim domem i krajem – próbowała w Berlinie zostać aktorką. Mieszkała z jakąś bardzo podejrzaną przyjaciółką malarką i chodziła na lekcje gry aktorskiej. Czy ktoś by teraz w to uwierzył? Zakochał się w niej do szaleństwa, zanim znalazła ją jej rodzina, „Pribylscy", jak ich nazywał, nie mogąc poprawnie wymówić tego nazwiska. Uważał siebie za jej opatrzność, bo nie wiadomo, co by się stało z tą młodziutką, nieco szaloną dziewczyną w Berlinie. Ku wielkiej uldze jej rodziny, wzięli ślub i przeprowadzili się do Wrocławia, gdzie Eltzner przejął podupadłą manufakturę ojca. Rok później urodziła się Berta. Potem rodziły się dzieci jedno za drugim. Czasem Eltzner mylił ich kolejność pojawiania się na świecie. Pamiętał tylko dokładnie

narodziny bliźniaczek, których jego żona o mało nie przypłaciła życiem. W ciągu tych lat z chudej, nerwowej dziewczyny przeobraziła się w piękną, dorodną kobietę.

Nie poganiał jej teraz, chciał, żeby sama wybrała moment. To, co miała zamiar powiedzieć, nie było dla niego na pewno niczym ważnym. Dzieci zbytnio go nie obchodziły. Kochał je ogólnie, wszystkie razem, jako „dzieci", jako potomków. Wystarczyło mu codzienne widywanie ich przy obiedzie, ai wtedy był myślami przy swoich maszynach tkackich.

Pani Eltzner musiała znaleźć sposób na podjęcie trudnego tematu, jakim była kwestia duchów. Takie sprawy zupełnie nie interesowały męża. Wydawało jej się jednak, że mąż słuchał uważnie. Spuścił nogi z kanapy i kołysał nimi, przyglądając się swoim stopom. Potem, kiedy zamilkła, wstał i podszedł do okna, za którym latarnie odbijały się w mokrym bruku.

– Czyż to nie był mój ojciec? – zapytała dramatycznie pani Eltzner. – Te okulary, to wysokie czoło z zakolami...

Eltzner odstawił pustą od dawna filiżankę.

– Twój ojciec nigdy nie miał zakoli – powiedział spokojnie.

– Ależ tak, miał zakola, dokładnie to pamiętam!

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem i w końcu pan Eltzner powiedział:

– Wolałbym więcej nie słyszeć o takich sprawach. Nie podoba mi się to. Jest to najprostszy sposób, żeby zrobić z niej wariatkę.

Pani Eltzner odwróciła się gwałtownie do drzwi. Po raz kolejny w swoim życiu poczuła się rozczarowana i oszukana. Była uwięziona w jednym domu z człowiekiem, który kompletnie jej nie rozumiał, jakby byli z innego świata, jakby mówili innymi językami. Rzuciła spojrzenie na obitą dębową boazerią ścianę. Miała wrażenie, że się dusi. Powinna stąd natychmiast wyjść, z tego pokoju, z tego domu. Poczuła nienawiść, która zapierała jej dech w piersiach. Ruszyła do drzwi, łapiąc się za gardło. Zgłębi ciała słyszała narastające dudnienie jakiejś ogromnej fali. Ogłuszona tym łoskotem, zaczęła się słaniać. Chciała mocniej, głębiej oddychać, ale gardło ścisnęło się i wydobywał się przez nie tylko świszczący dźwięk, który zaalarmował odwróconego do okna Eltznera. Podbiegł do drzwi, omijając żonę, i krzyknął wgłąb korytarza:

– Sole!

W ostatniej chwili udało mu się złapać panią Eltzner padającą na podłogę. Miała półprzymknięte powieki, spod których widać było białka oczu. Dłonie wyprężyły się jak szpony, a paznokcie zbielały. Zaczął ją lekko uderzać po zszarzałej twarzy. Zaraz zjawiła się Greta z flakonikiem soli trzeźwiących. Podsunięte pod nos pani Eltzner, spowodowały nagłe zachłyśnięcie się. Poruszyły się powieki i tęczówki wróciły na swoje miejsce.

Kwadrans potem pani Eltzner leżała na kozetce w pokoju męża, a on podawał jej filiżankę z rosołem i trzymał za rękę, pulchną, delikatną, z ulubionym pierścionkiem na serdecznym palcu.

– Byłem wobec ciebie zbyt szorstki… Wybacz mi – powiedział. – Troszczysz się o dzieci, dbasz o dom, masz tyle spraw na głowie. Jestem taki nieuważny, tak łatwo cię zranić… Wybacz mi, Muszko…

– Nie, kochany, to moja wina. Jesteś zapracowany, a ja zawracam ci głowę – odpowiedziała mu żona słabym głosem.

Wieczorem, po kolacji napisała krótki list do Waltera Frommera, przyjaciela domu, okultysty i znawcy tematów ezoterycznych. Zaprosiła go na herbatę, zaznaczając, że ma ważną sprawę do omówienia. Wahała się przez chwilę, zanim włożyła papier do koperty, a potem dopisała jeszcze swoim strzelistym, pewnym pismem: „To bardzo pilne”.

Walter Frommer

Kim był Walter Frommer? Na co dzień – urzędnikiem w magistracie. Zajmował jeden z wielu pokoi na drugim piętrze budynku, który był administracyjnym sercem miasta. Do jego gabinetu prowadziły ciężkie, pomalowane na brązowo drzwi z numerem i informacją: „Ewidencja zgonów".

Frommer każdego ranka przemierzał w drodze do swojego biurka dwa piętra szerokich schodów, między którymi ziała dziura klatki schodowej, odgrodzona od idących delikatną ażurową barierką z metalowych prętów. Frommer, który miał lęk wysokości, zaczynał więc pracę od ścisku w gardle i drżenia kolan. Wspinał się pod górę, trzymając się ściany, i za wszelką cenę starał się nie wyglądać na wystraszonego. Dwa razy dziennie przez piętnaście lat patrzył na kruchą barierkę i z trudem opanowywał osłabiający go lęk, że zaraz zachwieje się i spadnie w dół, w ten dwupiętrowy komin, który wciągnie go jak wodny wir.

Przez piętnaście lat nie zrobił nic, żeby się od tego uwolnić. Nie mógł rzucić pracy, którą tak kochał i której tak nienawidził. Może dałoby się te sprzeczne uczucia określić inaczej: Frommer nienawidził myśli, że można kochać ten rodzaj pracy. Był pewien, że ten Frommer, jakim chciałby być, jakim mógłby być, gdyby nie brak pieniędzy i chora siostra, nienawidziłby monotonnej rutyny, ślęczenia przy biurku nad tabelami, papierami, zaświadczeniami i rzadkich kontaktów z jakimiś zapuchniętymi od płaczu wdowami, które miętosiły w rękach mokre chusteczki. Frommer wstydził się swojej pracy i pytany o nią, odpowiadał wykrętnie, niejasno. Zwykle to wystarczało. Nigdy nie rozwodził się dokładnie nad tym, co robi w urzędzie, i może tylko doktor Löwe, no i oczywiście Teresa, siostra, wiedzieli, że Walter Frommer zajmuje się liczeniem umarłych.

Kiedy pokonywał wreszcie dwa piętra schodów i swoją codzienną, straszliwą dawkę lęku, zasiadał przy biurku po drugiej stronie barierki dla interesantów. Wyciągał zaraz z szuflady pudełko z zatemperowanymi

ołówkami, zapasowe stalówki, stosik czystego papieru i drewniany liniał. Układał wszystko na właściwych miejscach i przez chwilę kontemplował ten porządek. Zamykał potem oczy i splatał podparte łokciami ręce. Wyglądał wtedy, jakby się modlił. W rzeczywistości Frommer skupiał się przed pracą, medytował, szukał w sobie spokoju, dzięki któremu mógł być efektywny. Po chwili otwierał oczy i sięgał po teczki, gdzie trzymał kopie aktów zgonu, które wystawiał interesantom. Teraz zaczynała się właściwa praca: wpisywanie danych do księgi statystycznej, którą Frommer sam obmyślił i przygotował. Za ten pomysł otrzymał swego czasu pochwałę i nagrodę pieniężną.

Frommer rozbijał ludzką śmierć na konkretne drobne fakty. Były to dane zmarłego (wiek, zawód, płeć, pochodzenie, stan cywilny, liczba dzieci, miejsce zamieszkania, roczny dochód, liczba izb mieszkalnych, przebyte choroby) oraz okoliczności śmierci, takie jak data i godzina, przytomny/nieprzytomny, śmierć w domu/szpitalu, nagła/długotrwała, cierpienie/śmierć lekka. Każda taka informacja była zapisywana w oddzielnej rubryce. Co sobotę Frommer robił zestawienie tygodniowe, a przy końcu miesiąca – miesięczne. Dodatkowo i już tylko dla własnych dociekań zestawiał dane z fazą księżyca oraz położeniem Saturna wobec znaków zodiaku.

Przez kilkanaście lat swojej pracy Frommer zgromadził wiele ciekawych wniosków. Czasem mówił o nich mimochodem u Eltznerów czy w innych domach, w których bywał. Przyjmowano je z grzecznym zainteresowaniem, czasem nawet dyskutowano coś, ale ponieważ były przedstawiane przez Frommera jako fakty zasłyszane czy gdzieś przeczytane, wkrótce o nich zapominano i zmieniano temat. Frommer wstydził się przyznać, że są to jego własne hipotezy, oparte na naukowym, statystycznym opracowaniu danych. Lecz postanowił sobie, że kiedyś napisze książkę. Opisze swoją metodę zbierania danych, wyjaśni, jak ją odkrył, i podzieli się refleksją dotyczącą miejsca śmierci w życiu wielkiego miasta. Nad tytułem będzie wydrukowane jego nazwisko; trafi do katalogów bibliotek.

Drugą pasją Frommera, pasją głęboką, choć trochę przed innymi ukrywaną, był spirytyzm. Może nawet była to ta sama pasja, konsekwentnie rozciągnięta dalej, poza sam fakt śmierci. Tak jak liczenie

zmarłych było nierozerwalnie związane z potężnym budynkiem magistratu, tak zainteresowanie światem duchów nieodmiennie łączyło się z kamienicą na Sandinsel, gdzie mieszkał z siostrą w trzypokojowym mieszkaniu na trzecim piętrze. Wieczorem, gdy wizyty były już odbyte, kolacja zjedzona, a codzienna porcja pism przeczytana, siadał przy małym stoliku i próbował różnych metod komunikacji z duchami. Raz było to pismo automatyczne, innym razem planszeta z wyrysowanymi w półkole literami alfabetu albo karty. Odkrywając je po kolei i układając w zrozumiałe tylko dla niego konfiguracje, mruczał coś do siebie i wzdychał. Lecz karty ani planszety nie mówiły mu zbyt wiele, może miał za mało wyobraźni. Dopiero kiedy przy Frommerze siadała z robótką w rękach jego kaleka i milcząca siostra, zaczynało się coś dziać. Szelest kart i mruczenie brata obezwładniały ją, bo po chwili nieruchomiała, zamykała oczy i zapadała w drzemkę. Teraz Frommerowi wydawało się, że pisanie czy karty nabierają sensu. Nagle w jego głowie pojawiały się nieoczekiwane skojarzenia, myśli znikąd, obrazy sugestywne, pełne życia. Pozwalał im płynąć przez umysł, delektował się nimi jak ktoś znudzony, komu trafił się właśnie darmowy bilet na przedstawienie. Niektóre z nich ujmował w słowa i przez to zapamiętywał. Czasami miewał w takich chwilach wrażenie, że wie, co się zdarzy, lub że lepiej rozumie to, co się dzieje teraz. Niekiedy jednak odczuwał coś podobnego do lęku, z którym wchodził po schodach, lęku zwierzęcego, panicznego, nie poddającego się rozumowi. Wtedy jego siostra budziła się i mrugała powiekami.

– Co to było? – pytała półprzytomnie.

– Nic, nic – odpowiadał i wstawał od stołu.

Frommer wiedział, że wszystko, co Prawdziwe i Znaczące, ma jakiś związek z jego snem. Wierzył, że ma ona dar kontaktu ze światem zmarłych, ale i ubolewał, że dar ten dostał się tak ułomnemu ciału i umysłowi. Teresa Frommer, starsza od brata o pięć lat, miała wygląd pomarszczonego ze starości dziecka, garbatego gnoma z bajki. Z trudnością nauczyła się czytać, ale dzielnie wykonywała wszystkie domowe obowiązki. Mówiła niewyraźnie i chaotycznie, a jednak, kiedy opowiadała swoje sny, wydawały się one bardziej realne niż rzeczywistość. Zajmowała się powolnym krzątaniem po kuchni, kilkudniowymi porządkami w jednej szafie, nigdy nie kończonymi robótkami na drutach

i spaniem. Kiedy udawało mu się skłonić ją do opowiedzenia snu, odkrywał z zaskoczeniem w jej rojeniach te same zdarzenia, które działy się w rzeczywistości, niektóre ważne, jak rozgrywki polityczne, katastrofy, konflikty, inne banalne, jak choroby sąsiadów, śmierć kota czy odwiedziny doktora Löwe. Jednocześnie jednak wszystko to było inne, miało trudną do określenia atmosferę koszmaru. Czasem jakieś zdarzenie było tylko symbolizowane albo ubierane w inne dekoracje, przestawione w czasie, wykrzywione, odbite w lustrach. Frommer wiedział, że sen Teresy nie jest zwyczajnym snem, że rozciąga się poza samą czynność spania, że wypełnia ich mieszkanie jak zapach kadzidła. Rozumiał także, że jest ze snem siostry związany. Jak to możliwe? Frommer nie był tym zdziwiony, bo to, co innym mogłoby się wydawać niezwykłe, dla niego było doświadczeniem zwyczajnym, znanym od zawsze. Sen Teresy był poniekąd jego snem, jego rzeczywistością, a może nawet prawdziwym obliczem świata. Dopóki Teresa czuwała, gotowała, sprzątała czy wychodziła na zakupy, obowiązywały dobrze znane wszystkim prawa: przedmioty służyły do ich używania, a zmarli odeszli na zawsze. Po zaśnięciu Teresy świat dla jej brata zmieniał kolor, nie ten dla oczu, ale ten dla duszy – nagle stawał się znaczący. Wszelka oczywistość robiła się umowna, określenia „tutaj" czy „teraz" znikały, a obrazy w głowie Frommera nabierały konkretności i mieszały się z myślami śpiącej Teresy. Im dłużej pozwalało się temu procesowi trwać i dojrzewać, tym wszystko stawało się wyraźniejsze. Wszystko, czyli co? Ten ląd, który wynurzał się teraz z morza, nowy, ale nie obcy, ten nowy wizerunek świata, który wyłaził spod malunku nazywanego rzeczywistością. Oba światy mocowały się jeszcze ze sobą, a potem nowy wypierał stary. Frommer doświadczał braku realności tego, co go otaczało, ale nie potrafił pójść dalej. Stał na niewidzialnej granicy. Stąd wzięło się jego zainteresowanie spirytyzmem – chciał przekraczać tę granicę bez ryzyka utraty dystansu. Gdyby odbywało się to gwałtowniej, Frommer byłby zwariował albo na zawsze przestał wierzyć w cokolwiek, jak to się często działo z różnymi badaczami. Wobec spirytyzmu można przyjąć tylko dwie postawy – na „tak" lub na „nie". Wszelkie „tak, ale" odbiera mu wagę i znaczenie.

Frommer należał więc do tych błogosławionych, którzy nie widzieli, ale uwierzyli. Błogosławieni byli też ci, co przeczuwali i wierzyli. Jego siostra,

robiąc na drutach i śniąc, widywała duchy. Mówiła, że wyświetlają się na ścianach jak postaci z magicznej latarni. Bardzo dawno temu, kiedy była medium na seansach, rozmawiała z duchami, ale ten dar został jej odebrany.

Frommer wiedział, że drogą do pojęcia takich fenomenów jest poznanie i zrozumienie siebie samego, swojej przeszłości i strumieni, którymi płynie ona w teraźniejszość. Lecz Frommer nie potrafił znaleźć żadnego ukrytego porządku w swoim życiu.

Teresa i Walter

Teresa i Walter byli dziećmi pruskiego lekarza, dyplomaty i podróżnika, człowieka niepospolitego, oraz Anne-Marie von Hochenburg, śląskiej arystokratki. Para ta pobrała się z miłości, pomimo dużej różnicy wieku. Kilkanaście miesięcy później urodziła się Teresa, poczęta w nie kończącej się poślubnej podróży. Poród i połóg na kilka tygodni unieruchomiły Frommerów w Maroku, ale potem ruszyli dalej, do Stanów Zjednoczonych i Meksyku. Z biegiem czasu, upływającego w turkocie kół pociągów i plusku przelewającej się za burtą statków wody, okazało się, że z dziewczynką coś jest nie w porządku. Chorowała, późno ząbkowała, nie chodziła i co jakiś czas powtarzały się u niej ataki konwulsji. To wszystko budziło wmłodej matce niechęć do dziecka. Małą leczono u pewnego specjalisty w Nowym Jorku, a potem u hipnotyzera, który zamiast pomóc dziecku, zahipnotyzował jego matkę. Echa tego burzliwego i pełnego egzaltacji romansu dotarły do Europy. Rodzina Anne-Marie byłaby jej wybaczyła ów epizod, gdyby nie to, że wkrótce potem pani doktorowa Frommer uciekła z sekretarzem swego męża. Wytropiona przez Frommera, na kolanach błagała o wybaczenie. Doktor Frommer wyrzucał sobie potem, że nie zauważył już wtedy jej rozkojarzenia. To, co przypisywał niezrównoważonemu charakterowi, miało później zamienić się w szaleństwo. Kiedy wyjechali do Meksyku, Anne-Marie urodziła Waltera. Dwa miesiące leżała w łóżku, nie podnosząc się i nie odzywając. Potem któregoś dnia nagle wstała i wróciła z dziećmi do Nowego Jorku. Tym razem Frommer nie szukał jej. Wyjechał podobno do Panamy i tam ślad po nim zaginął. Mówiono, że mógł być amerykańskim szpiegiem.

Anne-Marie była przez jakiś czas aktywną sufrażystką, a potem zainteresowała się mediumizmem i okultyzmem. Wstąpiła do Towarzystwa Teozoficznego, gdzie poznała Helenę Bławatską, która

stała się jej mistrzynią. Kiedyś przyprowadziła do Bławatskiej małą Teresę. Słynna Bławatska kucnęła przy dziewczynce i zajrzała jej głęboko w oczy.

– Ona ma za dużą duszę, ogromną, przygniatającą ciało duszę – powiedziała.

Wkrótce potem mała Teresa poważnie zachorowała. Była umierająca i chyba tylko ta „ogromna dusza" pozwoliła jej znieść ciągłe ataki konwulsji i wyniszczającą organizm wysoką gorączkę. Leczenie i rekonwalescencja kosztowały. Rodzina Anne-Marie z Europy przestała się odzywać. Kochankowie, słynny hipnotyzer, sekretarz męża i teozofowie nie byli chętni do pomocy. W tych ciężkich czasach pomogły jej sufrażystki, ale kiedy próbowały ją namówić do podreperowania nerwów w dobrej prywatnej klinice, wyrzuciła je za drzwi. Coś się musiało stać z jej sercem, z jej umysłem, bo zrobiła się zimna i nieobecna. Miewała wybuchy potwornej wściekłości i tłukła wtedy o ścianę wszystkim, co wpadło jej w ręce. Coraz mniej zajmowała się dziećmi. Niemal codziennie uczestniczyła w seansach spirytystycznych i wciąż pożyczała od znajomych pieniądze na bilet do Europy. Może tylko w chwilach jakichś przebłysków, które jeszcze teraz kojarzyły się Walterowi z wyjściem słońca zza chmur, brała go na kolana i bez słowa tuliła do siebie. Na Teresę nie zwracała uwagi.

Kiedy bilety na statek były wreszcie kupione, a rzeczy spakowane, Anne-Marie strzeliła sobie w usta z pistoletu męża. Było to w 1879 roku, gdy Teresa miała dwanaście, a Walter siedem lat.

Dzieci przechodziły teraz z rąk do rąk i w końcu za pośrednictwem ambasady niemieckiej wróciły do Europy, na Śląsk. Zajęła się nimi chłodna i wyniosła babka, która natychmiast poumieszczała je w stosownych szkołach z internatami.

Rodzeństwo spotykało się tylko w czasie świąt i były to jedyne chwile radości i szczęścia. Zachłannie spędzali ze sobą cały wolny czas, a było go dużo, bo ich widok przysparzał babce złych myśli i starała się ich unikać, jak tylko mogła.

– Boże, jakie życie jest okrutne – słyszeli, jak powtarzała te słowa wielokrotnie.

Posiadłość babki von Hochenburg leżała w melancholijnej okolicy niedaleko Schweidnitz. Dwupiętrowy pałac stał dokładnie na granicy równiny i pogórza: z okien południowych i zachodnich widziało się góry, ze wschodnich i północnych – rozścieloną jak obrus równinę. Mieszkał tu jeszcze brat babki, zdziwaczały i kompletnie podporządkowany siostrze staruszek, oraz kuzyn, Rainer, który brał nikły udział w życiu pałacu, ponieważ pisał podobno książkę filozoficzną, a może powieść.

Rainer odgrywał w życiu Waltera i Teresy rolę nieobecnego ojca, przyjaciela, kogoś bliskiego. Wystarczyło, że interesował się nimi, gdy przyjeżdżali ze szkół, brał na spacery po rozległym parku wysadzanym bukami, tak starymi, że wyglądały jak wbite w ziemię łapy przedpotopowych potworów. Wypytywał ich wtedy o życie w Nowym Jorku i ubolewał, że nie pamiętają rodzajów kaktusów rosnących w Meksyku. To właśnie Rainer powiedział im, że ich matka była wariatką. Dzieci myślały, że być wariatką znaczy tyle, co bałaganić, łobuzować, biegać po deszczu, wchodzić do kałuż i niegrzecznie odpowiadać niańce. Jednak spacer po spacerze, każde kolejne spotkanie z Rainerem powoli wyprowadzało je z błędu. Rainer z satysfakcją roztaczał przed nimi nowy rodzaj baśni: jak wygląda szaleństwo.

– Jednemu wydaje się, że jest Napoleonem, drugiemu, że królem czy cesarzem bizantyjskim. On w to święcie wierzy, a gdy się próbuje wyprowadzić go z błędu, może się zezłościć i zaatakować. Jeszcze inny będzie się bez końca uwalniać z niewidzialnych więzów, oganiać od robaków. A są też i tacy, którzy płaczą tak strasznie, że nie można po prostu tego wytrzymać… Tak bardzo boli ich dusza.

– Czy dusza może boleć, skoro jest niematerialna? – zapytała rezolutnie Teresa.

– Tak – odpowiedział bardzo poważnie Rainer i poprowadził ich przez bramę na pola.

To, co rozciągało się za bramą, było kwintesencją smutku umiarkowanych szerokości geograficznych. Ziemia miała kolor mokrego kurzu, a niebo nad nią wyglądało jak brudna płachta. Tylko nagie buki wśród wyblakłej roślinności, w tej opuszczonej przez kolor przestrzeni, były srebrnymi żyłami, które ciągnęły z nieba życiodajną, choć lodowatą moc. Ból duszy.

W czasie niepogody Rainer zabierał dzieci do siebie, do swoich pokoi na górze, tuż pod dachem budynku. Pokazywał im za każdym razem jakieś nowe ciekawe rzeczy. Na przykład hodowlę pajęczaków w terrarium (o której nie wolno im było mówić nikomu) albo albumy ze zdjęciami czy aparat fotograficzny i małą ciemnię. To właśnie dzięki temu aparatowi Teresa i Walter mieli kilka zdjęć z dzieciństwa. Dziewczynka siedzi na stołeczku, trzymając w dłoniach młynek do kawy, ma sznurowane buciki wystające spod cienkiej sukienki. Oczy patrzą spod wysokiego czoła uważnie, z napięciem. Obok stoi chłopiec i opiera się ręką o poręcz krzesła. Jest w krótkich spodenkach, z których wystają jego długie, słabo umięśnione nogi. Twarz bez wyrazu, usta lekko zaciśnięte. Albo jeszcze inna fotografia. Oto stoją oboje, trzymając się za ręce. Walter jest o głowę wyższy od starszej o pięć lat Teresy. Na tym zdjęciu wyraźnie widać jej kalectwo. Ma nienaturalnie długie i szczupłe ręce, krzywe ramiona i dużą, jakby rozdętą głowę. Ubrana jest w suknię do kostek.

Walter wiele lat później zdał sobie sprawę, że Rainer był w jakiś sposób zafascynowany Teresą. Także Teresa, zwykle małomówna i zamyślona, w jego obecności objawiała subtelny humor, którego jej młodszy brat nie był w stanie zrozumieć. Opowiadała Rainerowi sny i próbowała z nim dyskutować. Walterowi został w pamięci obraz biegnącej przez park roześmianej siostry – dziwnie wzruszało go jej nieskoordynowane utykanie. Potem, kiedy choroba przykuła Teresę na całe lato do fotela, Rainer witał ją tym samym, niezmiennie żartobliwym pytaniem:

– Czym się pani zajmuje, droga Tereso?

– Śnię – odpowiadała mu z uśmiechem.

To Rainer nauczył ich, jak przygotować planszetę i stolik do seansu. Potem zaprosił Teresę, żeby wzięła udział w seansie zorganizowanym przez panią Hanke, żonę zarządcy majątku.

Można więc powiedzieć, że Rainer odkrył medialne zdolności Teresy Frommer. Także pomysł skierowania rodzeństwa do Wrocławia po śmierci babki von Hochenburg należał do Rainera. Za niewielką zapisaną im sumę kupili we Wrocławiu mieszkanie, a resztę zainwestowali w akcje, co okazało się bardzo niefortunne. Rainer chciał zademonstrować niezwykłe mediumiczne talenty Teresy szerszemu światu i przydać sobie miano ich odkrywcy i badacza. Może miał zamiar stać się drugim sir

Crookesem, z Teresą jako następczynią Florence Cook. I choć ukrywał swoje plany przed dziewczyną, żeby jej nie wystraszyć (była przecież tak wrażliwa), to jednak rzeczywistość zaskoczyła go swoją nieprzewidywalnością. Im częściej bowiem Rainer przychodził do Frommerów, im bliżej starał się być Teresy, żeby zdobyć jej całkowite zaufanie, tym bardziej jej zdolność do wybuchania podczas seansu stekiem wyzwisk lub mówienia tajemniczymi językami malała. Wreszcie w przypływie rozpaczy, daremnie próbując ratować swoje marzenia, dopuścił do krótkiego romansu zakończonego pospiesznym zbliżeniem. Stało się to na kanapie w pokoju, gdzie wywoływano duchy. Potem nastąpiła nagła zmiana ich stosunku i definitywny koniec medialności Teresy. Rainer wrócił do pałacu w okolicach Schweidnitz, gdzie mógł dożywotnio mieszkać, hodując swoje pajęczaki. Jego kontakty z rodzeństwem Frommerów się urwały. Na początku 1887 roku dowiedzieli się, że zmarł na zakażenie krwi. Nie pojechali na pogrzeb i nie rozmawiali więcej o nim.

Od tej pory życie Waltera i jego siostry płynęło w nieodmienny sposób. Walter skończył gimnazjum i zaczął pracę w magistracie, a Teresa stała się jego gospodynią i towarzyszką życia. Jej stan zdrowia unormował się na poziomie, który pozwalał krzątać się po domu i wychodzić na krótkie, codzienne zakupy. Ataki epilepsji pojawiały się rzadko, natomiast jej życie powoli ogarniał sen. Walter, idąc własną drogą, wrócił, jak zaczarowany, do zainteresowań okultyzmem, tej fatalnej rodzinnej rozrywki. Namówił siostrę do brania udziału w seansach u pani Eltzner. Jednak Teresa nigdy już nie odzyskała swojej dawnej, młodzieńczej formy.

Walter Frommer i pani Eltzner

Następnego dnia po otrzymaniu liściku Walter Frommer zjawił się u Eltznerów. Powiesił palto na wieszaku i swoim sztywnym, niepewnym krokiem wszedł do salonu. Usiadł na fotelu i czekał na panią domu. Pani Eltzner była przeciwieństwem Frommera – on był chudy, ona pulchna, on sztywny i niewzruszony, ona giętka i szybka, on milczący i chłodny, ona rozgadana i gwałtowna. Kiedy zaczęła chaotycznie opowiadać o zdarzeniu przy wczorajszym obiedzie, Frommer nie dopytywał się, nie przerywał, nie reagował w żaden sposób.

– Niechże pan coś powie – zakończyła pani Eltzner, napotykając jego wzrok, który zawsze ją mieszał.

W duszy Frommera działo się coś dziwnego. Ogarniało go powoli podniecenie, płynące nie wiadomo skąd: z budzącej się radości, że oto zaczyna się coś dziać, czy raczej z niepokoju, że może się powtórzyć wszystko, co niebezpieczne i złe. Mimo całej swojej sztywności, która była czymś więcej niż opanowaniem, Frommer nie potrafił ukryć tego podniecenia. Jego ręce błądziły w okolicy guzików surduta, by po chwili, jakby spłoszone ich dotknięciem, wrócić na poręcze fotela.

– Co na to doktor Löwe? – spytał.

– Ach, doktor twierdzi, że pod względem medycznym Erna jest zdrowa, a ta niedyspozycja może wiązać się z jej wiekiem… bliskim pokwitania. Ale doktor Löwe nigdy nie uczestniczył w seansach i nie bierze pod uwagę możliwości objawienia się zdolności mediumicznych. Gdyby tak było, moglibyśmy znowu zacząć nasze spotkania…

Frommer chrząknął. Był świadomy, że jego zdanie liczy się dla pani Eltzner bardziej niż zdanie doktora Löwe. Kiedy próbował zastanowić się dlaczego, jego myśli dochodziły tylko do pewnego miejsca, potem płoszyły się i pierzchały. Dla Frommera nie istniały słowa, które mogłyby to określić.

Wstał i przez chwilę przechadzał się w milczeniu. Potem zaproponował, że on sam porozmawia z doktorem Löwe, choć jednocześnie wiedział, że będzie mu trudno. Czuł przed doktorem respekt, który go onieśmielał.

– Gdyby się jednak okazało, że Erna ma rzeczywiście jakieś zdolności mediumiczne i że umie porozumiewać się ze zmarłymi („Ach, jak on o tym pięknie i naturalnie mówi", pomyślała pani Eltzner) – byłby to prawdziwy skarb dla tego domu, w którym są takie korzystne fluidy.

Pani Eltzner ożywiła się jeszcze bardziej. Na jej mlecznej twarzy pojawił się rumieniec. Teraz poczuła, że wszystko może się zmienić, nabrać sensu. Ciągnące się w nieskończoność zimowe wieczory nabiorą treści, znowu w domu pojawią się ludzie, mało ważne staną się rachunki, zakupy, choroby dzieci i menu na następny dzień. Pani Eltzner była zmęczona codziennością.

– Ale z drugiej strony – ciągnął Frommer, jakby fakt wznowienia seansów był już oczywisty – to jest poważna sprawa. Ogromny wysiłek dla organizmu tego dziecka, obce siły, które przejdą przez to młode, niewinne ciało i nie ukształtowany do końca umysł, stanowią zagrożenie dla jej równowagi. To nie ulega wątpliwości. Może, jak sugeruje doktor Löwe, należałoby potraktować to wszystko obojętnie, poczekać, aż minie… albo i nie minie. Tego się nigdy nie wie. Ale walka ze skłonnością, tego jestem pewien, prowadzi tylko do nagromadzenia sprzeczności, które mogą popchnąć tak młodą osobę do szaleństwa.

Pani Eltzner zerwała się z kanapy.

– Nie mówmy już o tym, proszę – powiedziała szybko. – Może czekolady? Ach, pan nie pija. Może ciasteczko? Piekły dziewczynki. Same zagniotły ciasto.

Frommer zrozumiał, że powiedział rzecz niepotrzebną. Nie przewidział takiej reakcji. Podszedł do pani Eltzner i po krótkim wahaniu dotknął jej ramienia. Podniosła głowę. Płakała. Frommer stał, z ręką uniesioną w powietrzu, nie mogąc uwierzyć w te łzy. Oczy Frommera nie pamiętały łez, a jego temperament nie znał tak nagłych zmian nastroju. Miał wrażenie, że stoi przed czymś, co jest mu zupełnie obce, a czego perwersyjnie pragnie. Ich spojrzenia spotkały się i zaraz uciekły od siebie.

– Przyślę ją panu z tymi ciastkami. Niech pan z nią porozmawia. Sama nie wiem, co robić – szepnęła pani Eltzner i szybko wyszła.

Po chwili Erna stanęła w drzwiach. Frommer zdał sobie sprawę, że w pewnym sensie widzi ją po raz pierwszy. Zawsze, kiedy przychodził do Eltznerów, spostrzegał dzieci jako całość, jako jeden organizm, który zajmował czas pani domu, organizm wprawdzie o wielu imionach i twarzach, ale mało między sobą zróżnicowanych. Pamiętał tylko Bertę, bo była najstarsza i często brała już udział w herbatkach, a raz chyba nawet w seansie. Ernę widywał, ale gdyby mu ktoś kazał ją opisać, wziąłby cechy ze wszystkich dzieci Eltznerów i próbowałby skleić je w jedno.

Erna nie miała do tej pory własnego istnienia. Była dziećmi, „dziewczynkami", których jasne sukienki migały w korytarzu, była rozszczebiotanymi głosami, które trzeba było uciszać przez służącą. Była człowiekiem niedoskonałym, bez prawa przebywania w salonie z dorosłymi, wychodzenia samej z domu, odzywania się nie pytana. Gdy Frommer rozmawiał o niej z panią Eltzner, udawał, że wie, o kogo chodzi. Teraz uświadomił sobie, że nigdy nie istniała dla niego jako osoba. Musiał ją zobaczyć na nowo.

Była drobna i niewysoka. Miała na sobie seledynową sukienkę luźną w talii i lekko opinającą rozkwitające piersi. Kolor ubrania podkreślał żółtawy odcień jej skóry i ciemne sińce pod oczami. Spojówki były spuchnięte i lekko zaczerwienione. Włosy miała splecione w cienkie, połączone na karku warkoczyki. Patrząc mu w oczy uśmiechnęła się i postawiła tacę z ciastkami na stoliku.

Powinien był ją jakoś przywitać czy zapytać o coś, ale Frommer zapatrzył się w Ernę – ze zdumieniem, z szacunkiem, z powagą i z niecierpliwością. Podziwiał ją i nie ufał jej. Zobaczył w niej mądrą, starą kobietę i naiwną, małą dziewczynkę.

– Pan chciał ze mną rozmawiać. Mama mnie przysłała.

– Usiądź – powiedział Frommer. – To prawda, chcę z tobą rozmawiać z powodu tego, co stało się wczoraj przy obiedzie...

– Widziałam ducha – przerwała mu dziewczynka głosem tak obojętnym, że aż się wzdrygnął.

– Skąd wiesz, że to był duch?

Teraz ona wyglądała na zdziwioną.

– Mama mówiła, że wyglądał jak dziadek.

– Czy mama go widziała?

– Nie. Opowiedziałam jej, jak wyglądał.

– A więc jak wyglądał?

Frommer wypytywał o wiele szczegółów, nie dlatego, że szukał jakichś niespójności czy śladów kłamstwa, ale dlatego, że usiłował sobie wyobrazić tę dziwną postać stojącą wśród ludzi jedzących z apetytem zupę. Było w tej wizji coś groteskowego.

– Czy widziałaś go już przedtem?

– Nigdy.

– A potem?

Erna zawahała się.

– Nie, ale słyszałam różne głosy…

– Czyje to były głosy?

– Nie wiem, może innych duchów.

– Co mówiły, pamiętasz?

– Czasem to rozumiałam, a czasem nie. Teraz nie pamiętam.

Frommer milczał przez chwilę, patrząc w podłogę.

– Powiedz mi, Erno, rzecz bardzo ważną… Czy możesz to wszystko widzieć, kiedy zechcesz, czy musisz czekać, aż… to samo przyjdzie. Zastanów się, jak to jest – zapytał w końcu głosem pełnym wahania, bojąc się, że w tym pytaniu odkrywa zbyt wiele.

Ku jego zaskoczeniu Erna odpowiedziała natychmiast.

– Sądzę, że już wiem, gdzie są drzwi.

– Drzwi? – zdziwił się Frommer.

– Tak tylko mówię, bo to jest tak, jakbym szła korytarzem i widziała drzwi, którymi można wejść do innego pomieszczenia. Ale teraz nie chcę. A dlaczego nie przyszła pani Teresa?

Frommer zamrugał oczami.

– Nie mogła. Nie czuła się dobrze.

Nie odezwała się więcej. Zaczęła machać chudymi nogami w białych pończochach.

Nie był pewien, czy słuchała, gdy opowiadał jej, czym jest medium i w jaki sposób istoty duchowe, tak właśnie powiedział: „istoty duchowe", a nie „duchy", komunikują się z medium. Mówił, że te istoty są duszami zmarłych albo jeszcze nie narodzonych ludzi, ludzkie ciało bowiem służy tylko za tratwę do przepłynięcia rzeki życia. Wędrówka przez życie wzbogaca i oczyszcza duszę, której celem jest dotarcie w końcu do Boga. Są dusze czyste, wysoko rozwinięte, bliskie boskiej światłości, które pojawiają się w świecie ku pomocy i dla nauczania. Ale są też dusze unurzane w błocie pożądań – i te mogą być złośliwe. Powiedział jej też uczciwie o wszystkich niebezpieczeństwach – opętaniu, szaleństwie, chorobie fizycznej, smutku, który pozostaje na całe życie. Mówił tak, jakby była dorosłą kobietą, i dziwił się, że nie reaguje, że wyraz jej twarzy się nie zmienia.

– Rozumiesz, Erno? Czy rozumiesz, co mówię?

Kiwnęła głową, uśmiechając się znowu.

– To jest dar. Zostałaś obdarzona jako jedna z niewielu. Ale ten dar nie daje lekkiego życia, dlatego możesz, jeśli nie jest już za późno, podjąć decyzję. Jeżeli się zgodzisz przyjąć to, co niespodziewanie dostałaś, oboje z twoją matką wykorzystamy te zdolności. Wiesz, jak wygląda seans? Jeżeli nie chcesz, możesz się jeszcze od tego wszystkiego odwrócić w sobie, zamknąć. I wszystko przejdzie jak sen. Jestem tego pewien.

Patrzył na nią z nagłym zatroskaniem, jakby dopiero poprzez wypowiadane słowa uświadomił sobie powagę sytuacji. Napotkał jej niezmienny uśmiech i przez głowę szybko przebiegła mu myśl, że Erna jest szalona.

Spuścił oczy i wstał.

– Możesz już iść i rozważyć sobie to, co ci powiedziałem.

Pani Eltzner, wchodząc do salonu, miała w oczach jedno wielkie pytanie. Wzięła Waltera Frommera za ręce i patrząc mu głęboko w oczy, zapytała:

– I co? Co pan o niej myśli?

– No cóż... – zaczął Frommer, czując się nieswojo z tymi unieruchomionymi dłońmi. – Co mogę powiedzieć po pierwszym

kontakcie? Ale jeżeli ona utrzymuje, że widziała go i słyszy głosy…

– Słyszy głosy? – zdziwiła się pani Eltzner. – Nie wiedziałam o tym.

– No właśnie, nie wiemy dokładnie, co się z nią dzieje.

Erna Eltzner

Matka zostawiła Ernie białą sukienkę, pierwszą sukienkę Erny sięgającą kostek. Położyła ją na łóżku i wyszła. Erna kręciła się wokół niej niezdecydowana. Miała na sobie cienką, batystową halkę, zupełnie nową, kupioną w sklepie, a nie odziedziczoną po Bercie czy Marii. Była z niej dumna. Stanęła przed lustrem i patrzyła. Potem podniosła halkę wysoko do góry i zafascynowana oglądała swoje nagie ciało, a szczególnie miejsce poniżej pępka, gdzie pojawiło się kilkanaście ciemnych włosów.

Jakiś szelest z korytarza spłoszył ją i Erna szybko sięgnęła po majtki z nogawkami. Gdy je włożyła, delikatnie podniosła z łóżka sukienkę. Nie mogła się zdecydować na jej założenie. Odświętna biel sukienki wydawała się niewłaściwa. Kto nosi się na biało, musi mieć dla siebie wiele miłości, a Erna nie lubiła siebie z powodu tych włosów pod brzuchem i krostek na czole. Nie lubiła siebie za marne włosy i duży nos. Gdyby była taka jak Berta, wtedy mogłaby się lubić. W końcu jednak włożyła sukienkę przez głowę, żeby zaoszczędzić sobie zapinania guzików. Wciągnęła do płuc powietrze i napinający się materiał ścisnął mocniej jej bolące, nabrzmiałe sutki. Podeszła do lustra bliżej i zobaczyła teraz nie siebie, lecz mlecznobiałą plamę sukienki. Skóra Erny była ciemniejsza i zlała się z mrokiem pokoju. Dotknęła swojej twarzy i przysunęła się jeszcze bliżej, tuż do powierzchni szkła. Jej twarz wydawała się szara i niedoskonała w porównaniu z perfekcyjną bielą sukienki. Duży nos, błyszczące czoło, wąskie usta, jak narysowane ołówkiem, z kącikami opuszczonymi do dołu. Suknia Erny była lepsza niż sama Erna, była pasożytem, który ściągał z dziewczyny kolor, blask i życie. Zaciskała się na ciele, nie pozwalała wziąć głębszego oddechu, dokuczała jej swoją nieskazitelną czystością. Erna opuściła ręce i stała nieruchomo przed lustrem, dopóki nie wróciła pani Eltzner.

– Jesteś gotowa? Masz ochotę tam pójść? Dobrze się czujesz? – pytała matka i w pewnym sensie sama sobie dała odpowiedź. Popchnęła

dziewczynkę lekko w kierunku drzwi.

Erna szła ciemnym korytarzem pół kroku przed matką. Miała wrażenie, że dom był dzisiaj wyjątkowo cichy i uroczysty. Ta cisza (maluchy zabrała siostra pani Eltzner), pogaszone światła, zamknięte drzwi do kuchni – wszystko to sprawiało, że w mieszkaniu panowała atmosfera odświętności. Pachniało jeszcze obiadem i wodą z szarym mydłem, którym Greta zmywała dziś podłogę w kuchni. Ale na wieszaku przy drzwiach wisiały już jak winogrona obce palta. Kiedy matka zatrzymała się chwilę przed samymi drzwiami do salonu, żeby muśnięciem dłonią po policzku dodać jej odwagi, Erna zrozumiała, że cały ten odświętny, milczący dom czekał na nią.

Wszystkie oczy obecnych w salonie ludzi odwróciły się do niej. Erna zobaczyła tkwiącego w fotelu pana Frommera w ciemnym, zapiętym pod szyję mundurze biurokratycznej armii. Przy nim siedziała jego siostra, Teresa, garbata kobieta w nieokreślonym wieku. Jej drobne, zniekształcone ciało robiło wrażenie wiecznie młodego, niedojrzałego, w fazie pąka. Nieproporcjonalnie duża głowa nie pasowała do tego ciała, buntowała się przeciwko niemu, wysunięta do przodu, poza strefę czarnych koronek, zdawała się mówić: „Ach, jestem tylko chwilowo przyfastrygowana do tego ciała, na chwilę, tylko na dziś, na teraz". Teresa uśmiechnęła się do Erny.

Pod zasłoniętym brązowymi kotarami oknem siedziała pani Schatzmann, cała w żałobie, oraz doktor Löwe. Doktor Löwe miał minę niepewną, a mimo to mrugnął do Erny.

Doktor Löwe

Löwe po raz pierwszy miał brać udział w seansie, i to tylko dlatego, że były tu aż trzy jego pacjentki: pani Schatzmann, pani Eltzner i Erna.

Doktor miał do duchów stosunek mieszany, niezupełnie wiedział, co myśleć o takich sprawach. Urodzony w Królewcu i wychowany jako ortodoksyjny Żyd, głowę miał w dzieciństwie nabitą dybukami, golemami, aniołami, dziwnymi, niewytłumaczalnymi tajemnicami stworzonego przez Boga świata. Lata jego studiów medycznych przypadły na okres pary i żelaza i nad tą dziecięcą wiarą zapadła ciężka klapa, która zwykle oddziela w domach jasne, czyste pomieszczenia mieszkalne od ciemnej i wilgotnej piwnicy. W świecie medycyny, prawdziwej nowożytnej nauki, nie było miejsca na duchy. Naukowe słowo „histeria" stanowiło klucz do chorób nerwowych i doktor Löwe jeszcze tego samego wieczoru, kiedy wezwano go do Erny, przywołał w pamięci ten termin i trzymał się go. Lojalnie ostrzegł panią Eltzner, czym może się skończyć udział Erny w seansie. Z drugiej strony ton, jakim to Löwe powiedział, był jakoś nieprzekonywający i pani Eltzner wcale nie przejęła się tym ostrzeżeniem. W głębi duszy bowiem doktor Löwe nie wierzył w histerię. Przynajmniej nie całkowicie i nie wyłącznie. Był już starym człowiekiem i zdawał sobie sprawę, że w medycynie, jak w branży konfekcyjnej czy meblarstwie, przychodzą i odchodzą różne mody. Histeria była absolutnym przebojem, ale była też czymś wyjątkowo niekształtnym, nieokreślonym. Czasem miewał nawet wrażenie, że to słowo spływało z ust jego kolegów, kiedy usiłowali pokryć zmieszanie.

Dlatego może gdzieś głęboko (w tych ciemnych i wilgotnych piwnicach umysłu) doktor Löwe wierzył w coś, czego sam nie umiał nazwać. Nie musiały to być duchy czy opętanie, ale było to coś wykraczającego poza obszar oświetlony potężnym reflektorem wiedzy. Może to nigdy nie opuszczający go lęk przed śmiercią nie pozwalał mu pozamykać raz na zawsze wszystkich drzwi, a może po prostu doktor nie umiał wyplenić

w sobie śladów dziecka: lęków, ślepych wierzeń, fantazji. Może Erna Eltzner rzeczywiście widziała duchy? Zgodził się tu przyjść, bo chciał czuwać jako lekarz nad tym, co mogło się wydarzyć. Ostrzegł panią Eltzner, że przerwie seans brutalnie, jeżeli według niego będzie się działo coś, co zagrażałoby zdrowiu Erny. Dlatego mrugnął do niej. Chciał dodać jej otuchy.

Zobaczył, że matka znowu lekko popchnęła Ernę w kierunku stołu. Erna usiadła i złożyła ręce na białej sukience.

– Jak tam, panno, twoje samopoczucie? – spytał ją szeptem, kiedy gaszono lampy i przysuwano do stołu krzesła.

– Niczego sobie – powiedziała, próbując się uśmiechnąć.

Erna Eltzner

Odstawiono filiżanki po kawie i zebrani usiedli wokoło stołu. Frommer chwycił kościstymi, mocnymi palcami prawą rękę Erny i położył ją na stole, tak żeby dotykali się małymi palcami. Jej kciuki zetknęły się ze sobą i blade dłonie Erny wyglądały na tle zielonego stołu jak rozpostarta ćma. Erna widziała, że pojawia się więcej takich ciem, większych, mniejszych, delikatnych i kościstych; tworzą nierówny okrąg. Nawet nie zauważyła dotknięcia palca Teresy, która usiadła po jej lewej stronie. Pani Eltzner powiedziała coś na ucho Frommerowi, a potem wyprostowała się z głową nieco uniesioną i zamknęła oczy. Ktoś jeszcze westchnął, zaskrzypiało krzesło, gdzieś zza okna doleciał przytłumiony przez kotary dzwonek tramwaju, a potem zapanowała prawdziwa chłodna cisza.

Erna poczuła się ściśnięta pomiędzy rodzeństwem Frommerów. Bała się wziąć głębszy oddech, żeby nie popsuć ciszy, jaka naraz zapadła. Zamknęła oczy jak matka, nie po to, żeby się skupić, ale raczej żeby nie patrzeć na doktora Löwe, który ją śmieszył: taki był uroczysty, a jednocześnie taki nienaturalny. Pod powiekami było bezpiecznie, Ernie wydawało się, że zamykając oczy, może się schować przed natrętnym oczekiwaniem. Mimo że nie widziała nikogo, nadal czuła, że wszyscy skupili uwagę na niej, że to skupienie zaczyna ją dotykać w ten sam szczególny sposób, w jaki robiła to krawcowa, kiedy pobierała z Erny miarę lub robiła przymiarkę. Muśnięcia palców, zimny dotyk centymetra na karku i potem w dół, wzdłuż kręgosłupa, kiedy szwaczka kredą zaznaczała miejsca na guziki. Dotknięcie w kolano, niezamierzone, przypadkowe, gdy trzymająca kredę ręka ześliznęła się z materiału. Dreszcze na skórze płynęły falą za wskazującym palcem krawcowej, gdy ta pokazywała matce, gdzie będą zaszewki, a gdzie odcięcie karczka. Wtedy Ernie zaczynały ciążyć powieki, włoski na skórze jeżyły się przyjemnie, a ciało ogarniał bezwład galopujący w głąb, do snu, do ciemności. „Erna, Erna", mówiła

matka i potrząsając ją za brodę, zaglądała głęboko w oczy. „Zagapiłam się", tłumaczyła.

To, co czuła teraz, było podobne i choć nikt jej nie dotykał, zrobiło jej się ciepło i przyjemnie. Wstrzymała nawet oddech, żeby nie płoszyć tej nagłej przyjemności. Jej ciało odprężyło się, zwiotczało i Erna miała wrażenie, że odchodzi od niego. Zobaczyła nagle pusty korytarz i jakąś postać ginącą na jego zakręcie. Cofnęła się i na chwilę otworzyła oczy. Na stole nie było już rąk-ciem. Teraz z mroku wpatrywało się w nią kilka par oczu, otwartych, nachalnych, ciekawskich. Czegoś od niej żądały, a ona była zbyt słaba, zbyt zajęta sobą, żeby chcieć być z nimi. Zamknęła oczy i zobaczyła rozbłyskujące kolorowe światełka. „Kto jest?", zapytał jakiś pospieszny głos. Odpowiedział mu bezładnie cały chór głosów. Nie mogła zrozumieć, co mówiły, ale też zbytnio się o to nie starała. Wiedziała, że śpi cudownym snem. Jej ciało unosiło się teraz i oddawało przypadkowym dźwiękom, westchnieniom, niezrozumiałemu falowaniu, które dosięgło samego środka jej brzucha i było zaprzeczeniem, drugim biegunem mdłości. Kiedy Erna próbowała popłynąć w to jeszcze głębiej, poczuła z rosnącym gniewem, że jest przytrzymywana. Spojrzała od spodu i zobaczyła wielkie trzymające ją motyle. „Puść", powiedziała, nie słysząc siebie i już chciała powtórzyć, kiedy motyle zwolniły uścisk i uwolniły ją. „Nie odchodź", powiedział jakiś głos z korytarza. „Odszukaj ich", rozkazał jej inny, nie wiadomo skąd. „Kogo?", zapytała. Wymieniono jakieś kolory czy liczby, które Erna natychmiast zapomniała. „Ja, ja", z chóru wyłonił się jeden głos kobiecy, donośny. „Oto fioletowa bluzka", powiedziała Erna nie otwierając ust, ale wreszcie siebie słysząc. „Odsuń się", zażądał donośny bas i Erna zaczęła iść korytarzem przed siebie. Zanim zorientowała się, że korytarz nie ma końca i idąc nim nie posuwa się do przodu, musiało minąć mnóstwo czasu. Zawróciła więc i spojrzała pod spód, gdzie przy okrągłym stoliku siedziało kilka osób, trzymając się za ręce. Zobaczyła czubki ich głów i okrąg stolika, który stawał się mądrą źrenicą. Potem spojrzała na dziewczynę leżącą na sofie i jej biała sukienka wydała jej się znajoma. „To moja sukienka", pomyślała czy też powiedziała. Usta dziewczyny nie poruszały się, były blade i zaciśnięte. Ernę ogarnął lodowaty strach, że oto umarła albo właśnie umiera. Chciała zbliżyć się do dziewczyny, ale wyglądało na to, że dzieli je jakaś gruba, idealnie przezroczysta szyba. Usta

dziewczyny na sofie poruszyły się i zaczęła mówić. Było to dziwne, bo Erna nie mogła nic zrozumieć. Zaczęła się niecierpliwić, aż znalazła się znowu w korytarzu bez końca, gdzie dopadły ją przekrzykujące się głosy. Teraz przechodziły przez nią, jakby w ogóle nie istniała. Płynęły przez jej ciało i umysł, zostawiając strzępki znaczeń, obrazów tak obcych doświadczeniu Erny, że niezrozumiałych i przez to ulotnych. Rozmywały ją i z nią się utożsamiały. Erna już nie była kimś, kto czuje, myśli i patrzy, była teraz czymś zupełnie pozbawionym granic. Nie mogłaby już nawet umrzeć, ponieważ rozciągała się poza życiem, poza śmiercią i poza czasem. W tym rozpierzchnięciu się był spokój, ale gdzieś głęboko tkwiło, jak w baśniowych piernatach, ziarnko świadomości, które bolało. „To boli", powiedziała czy też pomyślała Erna. I to był koniec.

Przebudzenie było nagłe i oszałamiające. Leżała na sofie, w mokrej od potu białej sukience.

Zobaczyła klęczącą obok matkę i wynurzającą się z brązowego rękawa dłoń doktora Löwe. Widziała błyszczące oczy Frommera i skupioną twarz jego siostry. Coś się musiało stać, pomyślała, i nagle zaczęło jej walić serce.

Pani Schatzmann

Po seansie u Eltznerów pani Schatzmann nie zmrużyła oczu do rana. Kręciła się w chłodnej pościeli podwójnego łoża, które po śmierci jej męża okazało się takie przestronne. Nie mogła spać, bo wciąż widziała obrazy z poprzedniego wieczoru: zielony stolik, garbuskę, bladą twarz dziewczyny i jej głos, gdy zaczęła do niej mówić.

Pani Schatzmann usiadła na łóżku i zapaliła naftową lampkę, bo nie mogła się przyzwyczaić do elektrycznego światła. Siedziała zgarbiona na krawędzi łóżka, aż zmarzły jej nogi. Potem znowu położyła się na wznak i patrzyła w ciemny sufit. Myślała. Oglądała to jeszcze raz. Sprawdzała możliwości popełnienia jakiejś pomyłki – swojej czy cudzej. Nie kwestionowała tego, co widziała u Eltznerów. Dla kobiety jej czasów, o jej wychowaniu, z jej pokolenia, oczy były najlepszym świadectwem tego, co istnieje. Pani Schatzmann nie starała się także zbyt wiele rozumieć. Musiałaby się wtedy wdawać w jakieś metafizyczne rozważania, do których nie nawykł jej nieskomplikowany umysł. Czuła tylko coś w rodzaju żalu i rozczarowania, że ten, którego kochała trzydzieści lat, nie przyszedł wprost do niej, tu, do tego pokoju, gdzie go tak brakowało, ale potrzebował kogoś innego, obcego, tak niedojrzałego jak ta mała Eltznerówna, w której twarzy pani Schatzmann rozpoznała przez chwilę rysy męża. Potem były te gesty: zataczanie ręką w powietrzu kręgów, chwytanie się w zamyśleniu za czubek nosa, pochylenie do przodu, takie, jakiego u nikogo innego nie widziała. Czy to możliwe, żeby Gustaw Schatzmann, jej mąż, ojciec jej syna, przetrwał tam gdzieś i wcielał się w piętnastoletnią dziewczynę? „Możliwe”, odpowiadała sobie skwapliwie. Ale dlaczego nie przyszedł do niej? Nie wszedł w jej sen, nie gasił lamp, nie stukał, nie przesuwał przedmiotów? Czemu ani razu nie wyczuła przy sobie jego obecności, choćby zapachu fajki? Jego ciało – czy jeszcze jest? Potrząsała siwą głową. Nie ma już zapachu tytoniu na klapach bonżurki i na skórze dłoni. Nie ma siwych, sztywnych włosów, w które tak lubiła

zagłębiać palce, ani tych zmarszczek pod oczami, których powstawania była świadkiem przez długie lata. Nie było już tego ciała, a jednak widziała je przed oczami w każdym szczególe, jak żywe, w ruchu. Mówiła „nie ma" i wyobraźnią, tym wewnętrznym wzrokiem, przeczyła słowom i rozumowi, doświadczała tego, co nie istnieje. Cóż to znaczy „nie ma", zastanawiała się, zdziwiona i zbuntowana. Przypomniała sobie słowo, które padło z ust Frommera i które spodobało się jej: „myślokształt". Kształt myśli, myśl ubrana w kształt, myśl kształtująca to, co jest – tak to rozumiała. Czy wobec tego jej Gustaw, którego nie ma, jest czymś takim? A może tworzy go tylko jej pamięć i wyobraźnia? Co mówiło przez małą Ernę, co naśladowało gesty Gustawa Schatzmanna?

Pani Schatzmann wstała, wzięła lampę i ruszyła do pokoju syna. Rzadkie, siwe włosy spadały jej na ramiona i idąc korytarzem w koszuli nocnej wyglądała jak duch. Przy drzwiach syna zatrzymała się i zmieniła zamiar. Poszła do pokoju, gdzie stały meble Gustawa, i usiadła z lampką w ręku przy jego biurku. Wsłuchiwała się w ciszę, próbując znaleźć w niej coś niezwykłego.

– Jesteś tu? – zapytała szeptem i zaraz zawstydziła się swojego pytania.

Nic się nie stało, nic nie poruszyło.

– Wiem, że tu jesteś – powiedziała już śmielej i głośniej, stawiając wszystko na jedną kartę. – Moglibyśmy się tu spotykać, ale musiałbyś mi powiedzieć, jak to robić. Jeżeli nie mogę, to nie muszę cię słyszeć, ale chciałabym jakiegoś znaku, że ty mnie słyszysz, że rozumiesz, co przeżywam... Jest mi tak ciężko bez ciebie, Gustawie...

Zamilkła, bo wydawało jej się, że usłyszała szelest. Nic. Gładziła krawędź starego biurka i łzy łaskotały jej pomarszczone policzki. Przywołała teraz obraz umierającego męża, jego twarz zniszczoną bólem. Nikt nie potrafił mu pomóc. A on tak długo wzbraniał się przed morfiną. Kiedy skapitulował, wiedział już, że niedługo umrze. Śmierć przyszła nie wiadomo kiedy, po kryjomu. Dopiero rano zauważyli, że nie oddycha. Na to wspomnienie pani Schatzmann zagryzła wargi. Gustawa już nie było. Ta myśl przytłaczała jak zbyt ciężka pierzyna, która nie pozwala oddychać. Pani Schatzmann znowu przypomniała sobie Ernę Eltzner leżącą na sofie i mówiącą głosem Gustawa: „Nie wiem, co się ze mną stało ani gdzie jestem".

– Nie musisz dawać mi znaku – powiedziała nagle. – I tak wiem, że jesteś wciąż ze mną. Jesteś ze mną, choć umarłeś. Po prostu to wiem.

Pani Schatzmann gładziła chłodny blat biurka. Czuła się tak, jakby podjęła ważną decyzję. Teraz wszystko wydawało się inne niż pół godziny temu. Cicho zamknęła drzwi i podreptała do kuchni, bo właśnie zaczęło świtać.

Kiedy przyszła Ivana, czeska służąca, pani Schatzmann była już ubrana i parzyła w kuchni kawę. Ivana była zdziwiona.

– Znowu nie mogę spać – powiedziała pani Schatzmann.

Wzięła tacę ze śniadaniem i poszła do pokoju syna. Artur stał przed lustrem i zapinał ostatni guzik białej koszuli.

– Czemu tak wcześnie, mamo?

– Chciałam z tobą porozmawiać, zanim wyjdziesz.

– Stało się coś? – zapytał z niepokojem Artur.

Pani Schatzmann uspokoiła go i nalała mu kawy. Patrzyła, jak pije ją małymi, spiesznymi łyczkami. Musiała być pewna, że nie odejdzie, gdy ona zacznie opowiadać.

– Znasz Ernę Eltzner? – zapytała.

– Musiałem kiedyś ją widzieć…

– Taka niepozorna, drobna…

– Mamo, o co ci chodzi?

Pani Schatzmann wzięła głęboki oddech i zaczęła opowiadać. Opisała dokładnie dziwne zachowanie Erny podczas obiadu, jakby próbowała syna, przyszłego lekarza, zainteresować tymi objawami. Potem przeszła do seansu, podkreślając, że to był tylko eksperyment pod okiem doktora Löwe.

– A więc i doktor tam był – powiedział Artur.

– Erna mówi niewiele, a czasem, gdy się odezwie, zdarza się jej powiedzieć coś zupełnie nie na temat. Jej matka twierdzi, że Erna słyszy też głosy, które chcą przez nią mówić. Teresa Frommer spostrzegła w oczach Erny niespotykaną głębię, właściwą tylko mediom, a przecież Teresa się na tym zna. Sprawdziła też ponoć fenomenalną wrażliwość Erny

na dotyk. Ale najważniejsze jest to, co zdarzyło się tam… na tym seansie – zakończyła pani Schatzmann pierwszą część swojej opowieści.

Syn nie od razu zrozumiał, co chciała przez to powiedzieć. Dopiero gdy zobaczył toczące się po jej policzkach łzy, domyślił się, że musiało to mieć związek z ojcem, ponieważ łzy jego matki zawsze wiązały się z ojcem.

Pani Schatzmann wytarła nos i opowiedziała spokojnie i rzeczowo o przebiegu seansu. To była jedyna szansa, że Artur jej uwierzy, że podzieli jej smutek czy radość – sama już nie wiedziała co – że wysłucha jej do końca, nie zmieni tematu. Zaczęła od tego, że Erna niewiarygodnie szybko wpadła w trans, moment po tym, jak zebrani utworzyli krąg. Stało się to tak nagle, że doktor Löwe chciał nawet wszystko przerwać. Potem Erna osunęła się na krzesło i trzeba ją było przenieść na kanapkę. Pani Schatzmann poczuła się rozczarowana, bo na stoliku była przygotowana filiżanka i planszeta z literami. Myślała, że Erna usnęła. Ale ona położyła się na tej sofie i nagle, ni stąd, ni zowąd, wcale nie pytana zaczęła mówić. Wtedy jej matka dramatycznym szeptem powiedziała, że słyszy swoją babkę, że ją poznaje. Erna rzeczywiście mówiła z trochę dziwacznym, śląskim akcentem. A ponieważ babka pani Eltzner była spokrewniona z rodziną Gustawa, pani Schatzmann poczuła się ośmielona i poprosiła Ernę, żeby przemówił jej mąż. Zapytała, czy ma z nim kontakt, gdzie on jest i… jak się czuje.

– Zapytałam, jak się czuje. Boże, jak się czuje – powtórzyła pani Schatzmann nerwowo, nie patrząc na Artura.

– Wtedy Erna powiedziała: „Media vita in morte sumus", i po jej twarzy przeszedł taki straszny skurcz. I zbladła, a potem powiedziała tylko jedno słowo: „Wiewiórko". – Pani Schatzmann przełknęła ślinę, z trudem powstrzymując łzy. Artur zmieszał się. – Tak właśnie powiedziała: „Wiewiórko" – powtórzyła pani Schatzmann.

Kiedy to usłyszała, siedząc przy stoliku do kart w dusznym mroku salonu Eltznerów, zrobiło jej się słabo. Nie mogła uwierzyć w istnienie tu, w tym cudzym domu słowa „Wiewiórko". A jednak Erna wymówiła je po raz drugi.

Zebrani poruszyli się skonsternowani, ale kiedy zobaczyli twarz pani Schatzmann, zrozumieli, że to słowo było przeznaczone tylko dla niej. Potem blada Erna z zamkniętymi oczami usiadła i powiedziała ochrypłym

głosem kilka zdań. Robiła przy tym takie gesty jak Gustaw. Poznał to doktor Löwe i pani Eltzner.

– Wiewiórko – powiedział Gustaw-Erna – nic mnie nie boli. Nie wiem, gdzie jestem. Wszystko jest podzielone. Nie wiem, gdzie jest moja fajka.

Tyle mniej więcej powiedział i zaraz zniknął z bladej twarzy Erny. Potem nastąpiły potoki słów, ale pani Schatzmann już nic nie rozumiała. Odwróciła się do Teresy Frommer, która na twarzy miała wypisany strach. Padały jakieś obce, niezrozumiałe słowa. Widać było, że to wyczerpuje Ernę. Pani Eltzner chciała, żeby przerwano seans. Frommer porozumiał się wzrokiem ze swoją siostrą. Przerwano krąg i doktor Löwe podszedł do dziewczyny, aby zbadać jej puls. Frommer zatrzymał go, mówiąc, że nie wolno dotykać medium. Erna powiedziała jeszcze coś o córkach, „ujrzysz me córki", coś w tym rodzaju, a potem resztki słów ją zakrztusiły. To był koniec.

– Arturze, ona miała z nim kontakt! Skąd mogła wiedzieć, że Gustaw nazywał mnie kiedyś Wiewiórką? On nie umarł!

– On umarł, mamo.

– Więc co to było? – krzyknęła pani Schatzmann.

Artur wstał i założywszy ręce do tyłu, zaczął przemierzać pokój.

– Mamo, nie wierzę w duchy, wybacz mi – powiedział. – To, co dzieje się na takich seansach, nie ma związku z duchami. Ludzie uruchamiają swoją pamięć, doświadczenia, działa sugestia i autosugestia, a może nawet jakiś rodzaj hipnozy. Może coś w rodzaju przekazywania myśli, ale to jest tylko hipoteza, nic pewnego. Nie powinnaś tam chodzić, mamo.

Pani Schatzmann ukryła twarz w dłoniach.

Artur Schatzmann

W 1908 roku Artur Schatzmann o mało nie musiał zrezygnować ze studiów, ponieważ okazało się, że po śmierci ojca oboje z matką stali się nagle ubodzy.

Najpierw musieli zamienić swoje duże mieszkanie przy Kaiserstrasse na mniejsze i brzydsze po drugiej stronie Odry. Teraz Artur miał na uniwersytet kilka minut drogi – dojście do mostu i przejście go – jednak stawało się coraz bardziej prawdopodobne, że będzie musiał zacząć chodzić w inną stronę, do pracy, żeby utrzymać matkę i siebie.

Lecz Artur Schatzmann, nieodrodny syn Gustawa Schatzmanna, nauczyciela literatury niemieckiej w Gimnazjum Świętego Marcina, uparty i konsekwentny, postanowił walczyć. Wystąpił natychmiast do władz uniwersytetu o pomoc finansową i załączył do podania kilka stron rękopisu, na których formułował swoje pomysły co do przyszłych badań i błyskotliwe, ozdobione ogólnikami hipotezy. Zredagował swój tekst tak, żeby nie drażnić konserwatywnych umysłów panów profesorów, ale przekonywająco, w głębi duszy bowiem zawsze wierzył, że będzie wielkim uczonym.

Pewność tę zaszczepił mu ojciec, stawiając za wzór Harveya, Pasteura, Kocha, a także, i może przede wszystkim – Goethego. Poczucie naukowego posłannictwa pielęgnowała w młodym Schatzmannie także matka, zakochana w synu, jak tylko bywają matki jedynaków. Artur widział więc siebie jako kogoś zupełnie innego niż reszta jego rówieśników. Tamci wydawali mu się dwuwymiarowi, bez głębi, bez zdolności refleksji i stawiania dociekliwych pytań, z których tak dumni są ojcowie. Mając dwadzieścia pięć lat, postrzegał innych jak dziecko, które nie przyznaje zjawiskom otaczającego go świata żadnej autonomii.

Dlatego też Artur Schatzmann, badając fizjologię mózgu, nie zajmował się ludźmi. Interesował go sam mózg jako maszyna, jako zamknięta w sobie doskonałość, jako instrument, jako wyzwanie.

Zaczynał ostatni rok studiów i był w trakcie tych badań. Miał też pomysł na genialną pracę dyplomową. Chciał być słynnym fizjologiem, który za pomocą skalpela szuka praw rządzących życiem człowieka. Kiedy to postanowił, już się właściwie nim stał. Już był słynnym Arturem Schatzmannem, którego wizję nosił w sobie. Już siebie określił i nazwał. Teraz należało tylko szybko przebyć drogę od zamysłu do celu, żeby nie pogwałcić praw czasu, praw przyczyny i skutku.

Kiedy pisał podanie do rektora, był po sześciu latach intensywnych studiów na kierunkach medycznym, filozoficznym, historii naturalnej i chemii. Odbył też dwa długie staże w klinice psychiatrycznej w Lipsku, gdzie uczestniczył między innymi w kilku eksperymentalnych operacjach na otwartym mózgu. To, że do tej pory nie zaproponowano mu pracy na uniwersytecie, wiązało się z kilkoma czynnikami. Po pierwsze, aktywność naukowa Schatzmanna mogła wydawać się jeszcze chaotyczna, „histeryczna" – jak to określił prywatnie jeden z profesorów. Po drugie, Artur ostentacyjnie obnosił się z socjalizującymi poglądami, a po trzecie, miał żydowskie pochodzenie. Gdyby to ująć statystycznie, to okazałoby się, że te trzy cechy predestynują wręcz Artura do dokonania ważnego odkrycia, może nawet do zrobienia przewrotu w wybranej przez niego naukowej dziedzinie. Wprawdzie jego chaotyczność była większa niż roztargnienie na przykład Webera, jego poglądy mniej rewolucyjne niż poglądy Darwina, a jego asymilacja głębsza niż asymilacja Freuda.

Na przełomie wieków, w czasach dojrzewania Artura Schatzmanna, nauka nabierała rozpędu niczym powodziowa fala. Przełamała już ograniczające ją ochronne wały dotychczasowych metod i pchała się teraz naprzód, niszcząc po drodze wszelkie nawyki ludzkiego myślenia. Artur Schatzmann dryfował na tej fali, zataczając kręgi od Kanta po etiologię psychoz, od doboru naturalnego do budowy mózgu. Kiedy pisał podanie o pomoc finansową, obok na biurku leżał rękopis pracy o systemie podwzgórzowo-limbicznym mózgu, jego budowie i roli. Chciał skończyć tę pracę, chciał raz na zawsze dowieść, że z układu tego pochodzą najprawdopodobniej wszystkie emocje, od nienawiści i strachu, poprzez poczucie winy i rozczarowania, aż do miłości i ekstazy. Ta idea urzekała go swoim czystym pięknem płynącym z prostoty i oczywistości i przyprawiała go o taką radość, że miał ochotę jak dziecko śmiać się na głos. Zresztą

pozwolił sobie niedawno na wybuch samozadowolenia, kiedy popijając z kolegami „Pod Papirusem", opowiadał im z aktorskim drygiem o roli podwzgórza w miłości. Było to jego pierwsze spotkanie towarzyskie od śmierci ojca.

Artur potrzebował słuchaczy jak powietrza. Wśród kolegów miał opinię duszy towarzystwa. Podobał się też kobietom, tym wszystkim Gretom i Mariom, które kręciły się zawsze w okolicach winiarni. Ale w domu z hałaśliwego, towarzyskiego kawalera nie zostawało już nic. Był czuły i opiekuńczy wobec matki, która nie mogła pogodzić się ze śmiercią męża. W domu, przy biurku i wśród książek Gustawa Schatzmanna, stawał się molem książkowym, myślicielem, przyszłą sławą naukową. Grał rolę już dawno przypisaną mu przez rodziców, którą zresztą głęboko akceptował.

Koncepcja systemu podwzgórzowo-limbicznego była jego przepustką do świata nauki, do kariery. Dawała mu ponadto jakąś pewność co do tego, czym jest nasze życie i świat, w którym żyjemy. Mieć pewność – czy nie jest to najważniejsze dla naukowca?

Pewność jest afirmacją. Pewność jest też formą konsumpcji rzeczywistości. To, co zrozumiałe, co stanowi już figurę – jak mówili niemieccy psychologowie – zostaje połknięte przez wiecznie głodny umysł i zużyte do budowy ogromnych budowli z pojęć, systemów i hierarchii.

Pewność była uczuciem nieczęsto doświadczanym przez Artura, ponieważ zbyt wcześnie nauczono go sceptycyzmu, ale kiedy już przychodziła, dawała mu możliwość przeżycia niemal religijnej ekstazy, a jako że był ateistą, miało to dla niego podwójną wartość. Kiedy czytał wieczorem w fotelu ojca Feuerbacha i Marksa, to „tak" krzyczało w nim radośnie. Kładł wtedy książkę grzbietem do góry i nerwowo przemierzał mieszkanie. Matka patrzyła na niego z niepokojem, a potem już z wyrozumiałością, bo znała te stany z młodości męża.

Kiedy żył jeszcze Gustaw Schatzmann, Artur szedł w takich momentach do jego gabinetu, żeby porozmawiać. Mówił wtedy szybko i bardzo chaotycznie, wymachiwał rękami, co starego Schatzmanna irytowało i zmuszało do udzielania krótkich wykładów na temat gramatyki. Zawsze starał się zaszczepić synowi nawyk prostego wyrażania się, co było według niego oczywistym dowodem jasności umysłu. Dyskutowali czasem godzinę, czasem dwie i zawsze wtedy matka sama przynosiła im herbatę.

Traktowała te rzadkie spotkania pokoleń jako rodzaj ściśle męskiej rozrywki, takiej jak polowanie. Artur potrafił być wtedy prowokacyjny, zadziorny, wykrzykiwał na przykład przeczytane gdzieś zdanie: „Nie ma myśli bez fosforu", albo: „Myśl jest tym samym dla mózgu czym mocz dla nerek", co ojca bardzo denerwowało. Zaczynali się kłócić i wkrótce okazywało się, że przemawiają do siebie z dwóch ambon i że jeden drugiego nie słucha. Artur był potem zły na siebie za to, że w ogóle poszedł do ojca. Skłonność starego Schatzmanna do „definiowania" każdego pojęcia, do cytowania Goethego i Heinego oraz dopytywanie się o każdy niezrozumiały dlań medyczny czy fizjologiczny termin, co było rodzajem obrony starzejącego się romantycznego umysłu przed tą barbarzyńską galopadą myśli, chłodziły rozpaloną głowę Artura. Kiedy syn wracał do własnego pokoju, obiecywał sobie, że już więcej nie będzie się zwierzać ojcu ze swoich odkryć dotyczących porządku w świecie.

Choć ojciec wielokrotnie słyszał od Artura o układzie podwzgórzowo-limbicznym, nie zdążył jednak poznać wszystkich szczegółów jego hipotez, od maja do sierpnia bowiem jego świadomość wypełniało tylko cierpienie.

Śmierć ojca była dla Artura zaskoczeniem, z którego wciąż jeszcze nie mógł się otrząsnąć. Razem z ojcem umarło dzieciństwo Artura i mieszkanie na Kaiserstrasse. Korytarz, nie rozjaśniany kilka razy dziennie poblaskiem atłasowej bonżurki ojca, osunął się w wieczny półmrok, salon pozbawiony dymu cygara, które ojciec palił codziennie przy kawie, i opuszczony gabinet, w którym nie było już słychać szelestu papierów, sprawiały teraz przygnębiające wrażenie opuszczenia. Dlatego łatwiej było im obojgu, jemu i matce, wyprowadzić się do mniejszego mieszkania po drugiej stronie Odry i spróbować zacząć żyć od początku. Z okien ich miejsca wygnania widać było teraz gmach uniwersytetu.

Doktor Löwe

Postanowiono przerwać naukę Erny do Bożego Narodzenia. Wyglądała ostatnio tak szczupło, tak mizernie. Ze szkoły przemysłu artystycznego na Schweidnitzer Strasse 48, gdzie Erna chodziła pierwszy rok, przysłano do niej w odwiedziny cztery koleżanki. Przyniosły jej pudełko pierników w kształcie serca i pięknie wyszytą poduszeczkę na szpilki. Erna żywo z nimi rozmawiała. Przysłuchująca się tej rozmowie pani Eltzner miała nawet wrażenie, że Erna chętnie chodziłaby nadal do szkoły, doktor Löwe radził jednak poczekać ze stałymi obowiązkami. Mogły być nadmiernym obciążeniem dla przemęczonego umysłu. Na razie na dwie godziny dziennie przychodziła do Erny młoda nauczycielka, aby doskonalić jej francuski i grę na pianinie. Chodziło o to, żeby nie izolować Erny od całego świata. To było trudne, bo jednak Erna była trochę inna. Ale czy to była choroba?

Nauczycielka, Anna Martius, mówiła doktorowi, że Erna jest pilna i obowiązkowa, czym nadrabia brak szczególnego talentu do języków i muzyki. Skarżyła się jednak na nagłe zamyślanie się dziewczynki, zapadanie w siebie, nieobecność, może marzycielstwo. Właśnie te momenty absencji najbardziej niepokoiły doktora. Obawiał się, powiedzmy to jasno, że Erna jest powoli opanowywana przez demencję. Ponieważ nie znał się dobrze na psychopatologii, postanowił się z kimś skonsultować. Pierwszy na myśl przyszedł mu Joachim Vogel, już profesor, choć młodszy od doktora Löwe o całe pokolenie. Löwe znał go od lat, można powiedzieć, od dziecka. Imponowało mu to, że Vogel myślał o chorobach psychicznych bardzo nowocześnie i nie bał się wykraczać poza utarte akademickie schematy. Ponadto Vogel miał kontakt ze światem. Z pewnością można go było uważać za eksperta.

Drugą osobą, którą brał pod uwagę doktor Löwe, był Artur Schatzmann. Ale skoro pani Schatzmann uważała, że przez Ernę mówi jego ojciec,

doktor wahał się – czy Artur w tej sytuacji mógłby zachować obiektywną postawę naukowca?

Kiedy pan Eltzner wyjechał na dwa tygodnie w interesach i jego żona zaczęła namawiać doktora na zorganizowanie drugiego seansu, doktor Löwe nie powiedział ani tak, ani nie. Czuł, że w imię ostrożności, która przede wszystkim powinna cechować lekarza, nie należało się zgadzać. Uważał, że te seanse, czymkolwiek były, stanowią niebezpieczeństwo dla niedojrzałej osobowości Erny. Z drugiej jednak strony to, co przeżył ostatnim razem, tak go poruszyło, że w jego prawie siedemdziesięcioletnim umyśle już drgnął pierwszy kamyk, zapoczątkowując lawinę zmian. Nawet jeżeli był to skutek chorej wyobraźni, Löwe chciał brać udział w docieraniu przez Ernę do świata, który już niedługo miał się stać jego światem.

Dlatego doktor Löwe przychodził teraz codziennie na Ursulinenstrasse do Eltznerów, tęskniąc wręcz do tej bladej, milczącej dziewczynki, traktując ją jak swojego anioła, zwiastuna tego, co ma nastąpić.

– Jak się dziś czuje nasza Erna? – pytał od drzwi, a ona odpowiadała pytaniem:

– Zagramy w domino, doktorze?

Lubił te popołudniowe godziny, kiedy przy tym samym stoliku, przy którym wywoływano duchy, grał z nią w domino albo, kiedy przyłączały się do nich bliźniaczki, w loteryjkę. Przyglądał się wtedy ukradkiem Ernie, próbując dostrzec w niej tę skazę, to piętno, które sprawiało, że nagle stawała się obojętna i zamyślona, że mówiły przez nią… co? Duchy? Inne osobowości? Ale nie widział nic poza bladością jej mizernej buzi, poza blaskiem jasnych oczu.

Rosół z kury, buraczki, krwista wątróbka i chude befsztyki – karmiona specjalną pożywną dietą, którą wymyślił dla niej doktor, blada dziewczynka wracała do sił. „Mogłaby być moją wnuczką”, myślał doktor Löwe i z jakimś smutkiem dostrzegał, że jej sukienka opina się na maleńkich piersiach.

Erna Eltzner

Erna nie chciała już leżeć po posiłkach. Gdy rodzeństwo wychodziło do szkół, a doktora jeszcze nie było, plątała się po domu, wyciągała z półek ojca książki i czytała je potem w jego fotelu. Kiedy w połowie listopada spadł pierwszy śnieg i przysypał miasto ażurową koronką, poprosiła doktora i matkę o zgodę na codzienne spacery. We Wrocławiu śnieg nigdy nie utrzymuje się długo, lecz tym razem chwycił tak silny mróz, że nie tylko zatrzymał śnieg, ale skuł w ciągu kilku godzin Odrę.

Następnego dnia, na spacerze z panną Anną, Erna przyglądała się, jak na Werderbrücke zapalano gazowe latarnie. Choć się zmierzchało, pod mostem pełno było saneczkarzy i łyżwiarzy, którzy tłumnie wylegli na zamarzniętą rzekę.

– Chodźmy już, panienko – ponaglała Ernę nauczycielka, ale Erna jakby jej nie słyszała. Oparła się o balustradę i patrzyła w dół na rozbawionych, pokrzykujących ludzi. Na łyżwach, omotani długimi szalikami, popychali sanki, trzymając je za poręcz z tyłu. Na nich popiskiwały kobiety otulone w chusty i futerka. Kiedy ktoś się wywrócił, wszyscy wybuchali śmiechem. Nauczycielka z żalem pomyślała, że Erna musi zazdrościć tym ludziom radości ruchu, ale myliła się. Erna nie lubiła wysiłku fizycznego, hałasu i głośnej zabawy. Przyglądała się z zaciekawieniem, bo zdała sobie sprawę, że ci ludzie bawią się na lodzie, na fałszywej ziemi, która powstała w ciągu kilku godzin ze zwykłej rzecznej, nieokreślonej wody. Pod spodem, choć niewidoczny, nadal był żywy, lodowato chłodny nurt rzeki. Ludzkie postaci widziane z mostu wydały jej się bezbronne i kruche. Erna miała niejasne poczucie, że zaraz coś się stanie. Nie wiedziała tylko kiedy; czekała.

– Chodźmy, już całkiem ciemno, panienko – pociągnęła ją za rękaw Anna, która z zimna zaczęła przytupywać obcasami.

Erna niechętnie odwróciła się i obie zaczęły iść powoli w stronę Schmiedebrücke.

Tej nocy Erna miała sen. Szła po ogromnym, zamarzniętym stawie. Miała na sobie wełnianą, kolorową czapkę i rękawiczki. Nagle pod jej nogami lód pękł. Pęknięcia rosły wszerz jak rośliny, jak powój. Mogła się ratować, uciekać, ale urzekły ją podnoszące się lodowe krawędzie. Delikatnie i bez strachu wsunęła się do wody, która ukazała spod lodu swoją potęgę. Erna zdziwiła się, że woda jest ciepła i ma piękny miodowozłoty kolor. Było tu cicho i miękko, tak jak lubiła. Poruszała się wolno, ni to płynąc, ni idąc. Potem zobaczyła na zielonym dnie granitowe budowle w kształcie sześcianów i ostrosłupów. Miały lśniącą szarą powierzchnię, od której odbijały się rozmyte wodą przestrzenie. Wzruszenie pięknem tego widoku ścisnęło jej serce. Podniosła głowę i zobaczyła rozbite na refleksy światło słońca. Było dalekie i słabe, ale przez to bezpieczne. Nigdy nic nie wydawało jej się tak piękne jak słońce widziane spod wody. Była szczęśliwa, chciała tu zostać na zawsze.

Obudziło ją jej własne wzruszenie. Otworzyła niechętnie oczy i zobaczyła zimny blask księżyca, wpadający przez szparę między zasłonami wprost na jej łóżko. Może to jego światło wzięła we śnie za blask słoneczny.

To, co działo się z Erną w ciągu ostatnich kilku tygodni, było niezwykłe, choć nie zawsze zauważalne dla doktora Löwe, jej sióstr, rodziców, nawet obu służących, u których strach przeważał nad ciekawością i sympatią – unikały Erny jak mogły. Erna tkwiła w sobie, nieporuszona, obojętna. Wstawała rano, miała apetyt, swą codzienną porcję lekcji z panną Anną przyjmowała bez entuzjazmu, ale i bez specjalnej niechęci. Potem, jeśli była pogoda, wychodziła z Gretą albo z nauczycielką na godzinny spacer. Mało się odzywała, raczej wszystko dokładnie oglądała, jakby miasto widziała po raz pierwszy w życiu. Gdy zostawała w domu, godzinami potrafiła siedzieć na parapecie okna i patrzeć na podwórko, na którym zawsze się coś działo: przychodził druciarz do garnków, brodaty mężczyzna ostrzył noże, bawiły się dzieci, służące wracały z koszami pełnymi zakupów. Gdyby jednak poprowadzić prostą linię między źrenicą a oglądanym przedmiotem, okazałoby się, że Erna patrzy gdzieś obok, na zarys, krawędź, granicę oddzielającą przedmiot od tła, jakby nie była zainteresowana samą rzeczą, ale tym, co jest poza nią.

W Ernie zachodziły jakieś powolne, ale i potężne zmiany, a ona obserwowała je w sobie bez strachu, chociaż nie potrafiła ich nazwać. To, co istniało poza jej świadomością, przestawało być dla Erny realne. Było to całe miasto, jego rzeki, kanały, mosty i uliczki. Było to podwórko i ludzie, którzy napełniali je swoim hałaśliwym nieistnieniem. Było to też mieszkanie, jej rodzeństwo, jej matka i ojciec, goście, służące. W domu uznano, że Erna stała się obojętna i zimna. Doktor Löwe zaczął czytać Breuera i skrzętnie wynotowywał objawy opisywanych tam chorób.

Sen o lodzie zapoczątkował u Erny prawdziwą lawinę snów. Noce stały się teraz tłoczne, a sny swoim realizmem były bliskie namacalności jawy. Poranne ablucje, rytuał śniadaniowy, ścielenie łóżka, gry z doktorem i dwugodzinne lekcje przywracały ją rzeczywistości, ale około południa granice między jawą a snem zacierały się, bo siedząc na parapecie albo przeglądając w gabinecie ojca encyklopedie, Erna znowu miała wrażenie, że zaczyna spać i to, co widzi, jest sennym rojeniem. Z czasem zaczynało jej się śnić, że się rano budzi, że myje się i czesze, że idzie na śniadanie, a potem z panną Anną przerabia szkolny materiał. I zdarzało się, że musiała się zastanawiać, gdzie teraz jest i co jest rzeczywistością.

Kilka dni po swoim śnie o lodzie Erna usłyszała, jak kucharka Lucyna opowiada pani Eltzner o wypadku na Odrze:

– ...lód się załamał pod nimi i cała trójka wpadła do wody. Zaraz wyciągnęli mężczyznę i jedną kobietę, ale ta druga poszła na dno. I koniec, proszę pani. Pewnie ją znajdą dopiero na wiosnę.

Opowiadanie kucharki zrobiło na Ernie duże wrażenie po pierwsze dlatego, że zazdrościła tej utopionej kobiecie znalezienia się tam, gdzie we śnie jej samej było tak dobrze. Po drugie, Erna zrozumiała, że wszystko, co się wydarza, łączy się ze sobą może chaotycznie, lecz bez wyjątku.

Artur Schatzmann

Artur Schatzmann szedł szybkim krokiem przez most Uniwersytecki w stronę domu. Było mokro, ciemno i nieprzyjemnie. Śnieg zniknął z ulic Wrocławia, jak tylko ludzie zaczęli się cieszyć, że poleży do Bożego Narodzenia. Spod śniegowego pokrowca wyłonił się teraz świat szary i pełen błota. Artur miał zmarznięte nogi (nienawidził nosić grubych wełnianych skarpet) i właśnie zamierzał przyspieszyć kroku, gdy zatrzymała się przy nim dorożka, z której wystawił swą lwią głowę doktor Löwe. Artur ucieszył się, że w ten sposób za darmo podjedzie pod dom.

– To dobrze, że jedzie pan do nas. Mama miała już po pana posłać, bo ma kłopoty ze spaniem – powiedział, moszcząc się obok doktora i usiłując poruszyć zziębniętymi palcami w wąskich butach.

– Mam pacjentkę na waszej ulicy i do niej jadę. Ma gruźlicę.

Artur się zmieszał.

– To może wpadnie pan do nas na coś gorącego. Mama nie wybaczyłaby panu, że był pan tak blisko i nie odwiedził nas.

– Prawdę mówiąc, napiłbym się ponczu, który robi zawsze zimą twoja matka – powiedział Löwe.

– Wobec tego zapraszam pana na poncz – zaśmiał się Artur.

Rozmawiali teraz o pogodzie, o chorobach, o czosnku, który leczy wszelkie przeziębienia, a jednak Artur czuł, że doktor jest zajęty czymś innym, o czymś uporczywie myśli. A może po prostu był zmęczony. Traktował z sympatią tego nieco nudnego, obstającego przy swoim staruszka, który na wszelkie dolegliwości zapisuje lewatywę i napar z melisy. Artur bał się pomyśleć, że w ten sam sposób doktor Löwe leczy gruźlicę. Ale lubił go. Lubił dlatego, że uwielbiała go matka, że przyzwyczaił się do jego częstych odwiedzin i dyskusji o medycynie, w których ścierały się zawsze odmienne przekonania, lubił go za jego takt i ciepło emanujące z jego dużej postaci.

Pamiętał z dzieciństwa jego lekarską torbę pełną trąbek, szpikulców, buteleczek, jakichś dziwacznych zakrzywionych nożyczek i niezwykłego zapachu. Pachniało z niej karbolem i spirytusem i ta mieszanka powodowała, że gdy doktor otwierał swą torbę, wszystko wokół nabierało metalicznego smaku. Może to z powodu tego zapachu Artur zaczął kiedyś marzyć, że zostanie lekarzem.

Pamiętał też doktora przecinającego mu wrzód na przedramieniu, który skrzętnie ukrywał pod rękawem aż do momentu, gdy w ciągu nocy ciemna krecha zaczęła piąć mu się do serca. To wtedy, przy tym wrzodzie, Artur uświadomił sobie po raz pierwszy, że może umrzeć, że jest śmiertelny, a śmierć tak samo dotyczy jego, jak i świątecznych karpi i kurczaków. Teraz łączył to poczucie własnej śmiertelności z osobą doktora. Może dlatego, że doktorowi nie pozostało już wiele czasu, a może Artur wciąż jeszcze miał przed oczyma trzymaną tymi starymi dłońmi strzykawkę, która przenosiła ojca w kojący stan między życiem a śmiercią.

Artur widział, że doktor trzyma coś w zanadrzu, żeby powiedzieć to potem. Czy zbankrutował jakiś wspólny znajomy albo pan Klein czy Kosack miał romans z pokojówką? A może okazało się, że jakaś pani Hermann jest morfinistką, a choroba pana Meyera to rak? Dopiero wysiadając przed domem, Artur pomyślał o seansie u Eltznerów, ale było za późno, żeby zadawać pytania. Zaczął siąpić deszcz ze śniegiem. Artur podniósł kołnierz i ruszył do bramy.

W ciemnym przedpokoju paliło się tylko małe światełko pod lustrem. Artur rozbierał się, gdy z saloniku wyjrzała matka.

– Zaraz będzie tu Löwe – powiedział Artur i poszedł do kuchni.

– To dobrze, tak chcę z nim porozmawiać. Jak było, synku?

Artur mruknął coś pod nosem.

Pani Schatzmann przygotowała posiłek dla syna: zupę grzybową i pudding z warzyw z pulpetami. Kiedy Artur jadł, kroiła szarlotkę i układała kwadraty na dużym porcelanowym talerzu.

– Uderzenia krwi do głowy, ataki gorąca, zawroty głowy, bezsenność… od kilku nocy nie zmrużyłam oka. Czyżby było ze mną tak źle? – słyszał Artur, przeglądając pożyczoną z biblioteki książkę, którą ukradkiem wyjął z kieszeni.

– Masz po prostu za wysokie ciśnienie i zbyt przejmujesz się błahostkami – powiedział.

– Nie mów z pełnymi ustami – mruknęła urażonym tonem pani Schatzmann.

– Powinniśmy przyjąć służącą. Nie możesz się tak przemęczać, mamo.

– Nie stać nas na to.

– Owszem, stać. Dostałem stypendium.

Pani Schatzmann odwróciła się do syna z talerzem w ręku.

– Arturze, naprawdę? Dlaczego nie powiedziałeś od razu? Jesteś zupełnie taki jak twój ojciec – stwierdziła.

Löwe przyszedł, gdy dobry nastrój rozkwitł w pełni. Pani Schatzmann wyciągnęła z blaszanej puszki ciasteczka z cukrem i układała je na talerzyku, przez cały czas mówiąc. Doktor ucieszył się jej ożywieniem. Zatarł ręce i rozsiadł się w fotelu. Pani domu nalała mu ponczu do kryształowego pucharka. Było ciepło i domowo.

Schatzmannowie żyli zawsze dość dostatnio. Lecz po śmierci Gustawa okazało się, że zostawił rodzinę właściwie bez środków do życia. Pani Schatzmann często snuła przypuszczenia na temat tego, co mogło stać się z hipotetycznymi pieniędzmi.

– Pomyślałam, że Gustaw ukrył te pieniądze i nie powiedział mi o tym – oznajmiła teraz.

Jej syn roześmiał się.

– To dlatego bywasz na tych seansach u Eltznerów. Chodzisz tam w interesach. Chcesz się dowiedzieć, gdzie są pieniądze.

– Nie powinieneś żartować w ten sposób – zganiła go pani Schatzmann i wstała, żeby zapalić drugą lampę. – Niechże pan coś mu powie, doktorze.

Doktor Löwe popijał poncz małymi łyczkami.

– Z pewnością dzieją się tam rzeczy z punktu widzenia medycznego dziwne i niezrozumiałe – stwierdził ostrożnie. – Nie jestem znawcą ani psychologii, ani spirytyzmu. Studiowałem klasyczną medycynę, gdzie nie ma miejsca na takie rzeczy.

– Pan się wymiguje od zajęcia stanowiska – powiedział Artur.

– Mogę cię zapewnić, że wydarzenia na tym seansie wyszły daleko poza to, co ja w swoim życiu i w praktyce lekarskiej uważam za rzecz zwykłą, oczywistą. A wyjaśnią to zjawisko na pewno nie starzy lekarze domowi, tylko tacy młodzi jak ty.

– A nie sądzi pan, że to oszustwo?

– Oszustwo? Nie. Nawet jeżeli tamten świat nie istnieje i duchów nie ma, to czy atak histeryczny, epilepsję, szaleństwo nazwałbyś oszustwem? W oszustwie musi istnieć intencja wprowadzenia kogoś w błąd przez udawanie, musi być jakaś gra… Nie jest ono spontaniczne. A tamto, co widzieliśmy z twoją matką, było prawdziwe, nieprzewidywalne. Po prostu musiałbyś to zobaczyć.

– Czy pan czasem nie sugeruje Arturowi, że mała Erna jest jakąś epileptyczką? – zaniepokoiła się pani Schatzmann.

– Ależ nie, mamo. Doktor stwierdza, że istnieją co najmniej trzy wytłumaczenia tego, co widzieliście. Po pierwsze świadome oszustwo, po drugie szaleństwo, histeria czy przypadłość chorobowa. Po trzecie – kontakt ze światem duchów. – Artur trzymał podniesione trzy palce i wyzywająco patrzył na doktora. – A teraz, doktorze, niech pan wyzna z ręką na sercu, że wierzy pan, iż Erna Eltzner kontaktuje się z duchami zmarłych.

– Nie mogę tego powiedzieć. Ale chciałbym wierzyć.

Pani Schatzmann dolała ponczu i położyła na stoliku karty do gry.

W czasie tego wieczoru, który upłynął na wypisywaniu recept dla pani Schatzmann i grze w tryktraka, Artura powoli opanowywała myśl podsunięta mu przez doktora, żeby zbadać fenomen spirytyzmu naukowo. Nie od strony ciekawostek, opisywania seansów, ale czysto psychologicznej, prawdziwie naukowej obserwacji. Jego podniecona wyobraźnia zaczęła tworzyć obrazy sal laboratoryjnych, pracowni pełnych przyrządów mierzących ciśnienie i tętno, w które wprzęga się szalejące dziewczyny, auli wykładowych wypełnionych szczelnie studentami, wykresów rysowanych na tablicy. I powiew tajemnicy, prawdziwej, nieprzenikalnej tajemnicy, którą należałoby rozłupać jak orzech. Byłby to świetny temat na pracę doktorską otwierającą cały cykl badań, program badań. Musiałby się najpierw przygotować, znaleźć literaturę… Czy

Amerykanie tym się już nie zajmują? Co się wtedy dzieje z ludzkim mózgiem, jak zachowuje się układ podwzgórzowo-limbiczny, czy można wyróżnić specjalne ośrodki takich przeżyć, czy ma to związek z rozdwojeniem jaźni? Artur Schatzmann zobaczył swoją uniwersytecką bibliotekę i widział nawet półki z tymi książkami, które byłyby mu potrzebne. Zobaczył też cały ruchliwy wydział, osobny Wydział Badania Mediumizmu i Zjawisk Spirytystycznych. W końcu ujrzał też siebie samego, jako starszego pana, osobliwie podobnego do Gustawa Schatzmanna, lekko przygarbionego, z siwą bródką, idącego po schodach. Był profesorem kierującym tym wydziałem.

– Artur jest taki dziecinny – powiedziała pani Schatzmann, gdy zamyślony syn położył niewłaściwą kartę. – Widzi pan – odwróciła głowę do doktora – on już jest zbyt podniecony tym, co mu pan powiedział, żeby grać.

Artur żachnął się. Matka miała rację. Odłożył odkryte karty.

– Chciałbym tam pójść następnym razem – powiedział.

Artur Schatzmann

Przywitała ich pani Eltzner. Miała na sobie prostą spódnicę i jasną bluzkę, uwydatniającą duży biust. Wprowadziła ich do długiego, ciemnego przedpokoju, gdzie służąca wzięła od nich płaszcze. Obok lustra paliło się małe czerwone światełko. Nie wiadomo dlaczego pani Schatzmann zaczęła mówić szeptem.

Arturowi mimo woli udzielił się ten nastrój tajemniczości. Uważnie rozglądał się po mieszkaniu Eltznerów. Pani Eltzner podobała mu się. Emanowała od niej kobiecość, która budziła zaufanie.

Kiedy weszli do pokoju, na ich powitanie podniósł się wysoki, szczupły mężczyzna. Ale uwagę Artura przykuła kaleka kobieta siedząca w fotelu pod oknem. Miała dziwnie gładką, bladą twarz, bez wieku, bez śladów doświadczeń i uczuć. Ich spojrzenia spotkały się i Artur skłonił głowę. Odwzajemniła to ledwie zauważalnym skinieniem, jakby każdy ruch sprawiał jej ból.

Pani Eltzner półgłosem dokonała prezentacji, a potem kazała podać kawę.

– Nie powinniśmy pić przed seansem kawy – odezwał się Frommer głosem tak donośnym, że wszystkie głowy natychmiast odwróciły się ku niemu. Budowana przez panią Eltzner teatralna atmosfera tajemniczości prysła.

– A to dlaczego? – zapytał ktoś z obecnych.

– Kawa jest środkiem podniecającym i może zwiększać napięcie. To nie wpłynie dobrze na medium. Medium potrzebny jest przede wszystkim spokój i nasza przychylność.

– Ma pan rację – powiedziała zaraz pani Eltzner i poleciła zabrać kawę.

Artur nie śmiał zatrzymać swojej filiżanki, którą wziął jako pierwszy. Czekał na medium, ale wyglądało na to, że najpierw wszyscy będą w nieskończoność prawić sobie grzeczności, mówić i mówić. Doktor

Löwe usiadł przy garbusce i szeptał jej coś do ucha. Słuchała go z zamkniętymi oczami. Pani Eltzner starała się być bardzo miła dla matki Artura. Z zatroskanym wyrazem twarzy zapytała ją o samopoczucie.

Artur ukradkiem przyglądał się Frommerowi. Miał minę mistrza ceremonii, kogoś, kto najlepiej zna się na tym, co za chwilę się tu wydarzy. Położył na stole spory karton z wyrysowanymi na nim literami i cyframi. Oglądał filiżankę, jakby była jakimś cennym przedmiotem, starą miśnieńską porcelaną, zabytkowym naczyniem wykopanym przez archeologów. Potem przeniósł ten swój badawczy wzrok na panią Eltzner i skinął głową. Pani domu natychmiast przeprosiła panią Schatzmann i wyszła przyprowadzić Ernę. Zapadła cisza.

– Zdarza się niejednokrotnie, że obecność osób nastawionych sceptycznie do tego typu fenomenów może wpływać zaburzająco na stan medium – odezwał się nagle Frommer tym swoim donośnym głosem, wyraźnie patrząc na Artura.

– Nie jestem nastawiony sceptycznie, wręcz przeciwnie… Kieruje mną ciekawość – odrzekł Artur. Nie chciał pokazać po sobie, jak bardzo zaskoczyła go i zmieszała ta niespodziewana uwaga.

Pomógł mu doktor.

– Artur jest zbyt młody, żeby być sceptycznym – zażartował. – W tym wieku jest się po prostu otwartym…

Weszła pani Eltzner z Erną. Dygnęła u drzwi jak mała dziewczynka. Jej spokojny wzrok zatrzymał się chwilę na młodym Schatzmannie.

– To nowa osoba, Erno. Pan Schatzmann, syn naszej drogiej przyjaciółki – powiedziała jej matka.

Erna dygnęła jeszcze raz, a Artur niezręcznie się ukłonił.

Zrobiło się małe zamieszanie, przenoszono krzesła i zajmowano miejsca, okazało się bowiem, że pani Eltzner ma jakąś własną wizję rozsadzenia gości.

Artur obserwował medium. Był rozczarowany. Spodziewał się osoby demonicznej, raczej kobiety niż dziewczynki. Erna według niego nie wyglądała na kogoś, kto rozmawia z duchami. Może była tylko trochę anemiczna, to wszystko. Siedziała na swoim miejscu lekko przygarbiona i patrzyła ciekawie po twarzach ludzi zajmujących krzesła. Z jednej strony

usiadł przy niej Frommer, z drugiej jego dziwna siostra. Artur od razu zauważył, że dyrygentem tego wszystkiego był Frommer, a pani Eltzner wyglądała na jego powabną pomocnicę, asystentkę prestidigitatora. Porozumiewali się wzrokiem, jakby znali nawzajem swoje myśli. Potem Frommer dał znak, żeby chwycić się za dłonie, i zamknął oczy. Większość zebranych zrobiła to samo. Artur spojrzał na doktora i jego twarz z zamkniętymi oczami wydała mu się zabawna.

Przez długi czas nie działo się nic i Artur zaczął się niecierpliwić. Obserwował wszystko spod przymkniętych lekko powiek, ale nie uchwycił tego momentu, kiedy z Erną zaczęło się coś dziać. Zobaczył ją już nienaturalnie odgiętą w tył, z twarzą pobladłą, jakby zamazaną. Zaczął sobie zdawać sprawę, jak bardzo wzrosło przy stole napięcie. Zapanowała absolutna cisza. W tej ciszy ruch Frommera kładącego dłonie medium na filiżance wydał się gwałtowny. Teraz palce wszystkich spotkały się na porcelanowej powierzchni. Artur ze zdziwieniem zobaczył, że filiżanka zaczęła się poruszać. Zataczała małe kręgi, bardziej się kołysząc, niż sunąc. Potem te ruchy stały się gwałtowniejsze, kanciaste, jakby filiżance chodziło o wyznaczenie na planszecie skomplikowanych figur geometrycznych. Kąty tych figur pokrywały się z polami, na których narysowano litery. Teresa Frommer cichym głosem zaczęła je czytać. Wychodziły z tego proste zdania, niewolne od błędów ortograficznych i gramatycznych. Pytał Frommer. Artur nie bardzo rozumiał, jak się to wszystko dzieje. Przyszło mu do głowy, że ktoś musi popychać filiżankę, ale z drugiej strony nie czuł jakiegoś silniejszego nacisku. Pojawiające się zdania mówiły o tolerancji i miłości bliźniego. Zadziwiała ich banalność, jakby wyjęto je z jakiejś prymitywnej umoralniającej książki. Nagle Artur usłyszał swoją matkę. Natychmiast poczuł, że się poci.

– Duchu przewodniku, czy możesz sprowadzić tu mojego męża, Gustawa? – zapytała pani Schatzmann.

– „Musisz poczekać, on jest daleko" – odczytała monotonnym głosem Teresa Frommer.

Artur potoczył wzrokiem po twarzach siedzących przy stole ludzi. Wszyscy mieli poważne, skupione miny i przymknięte powieki. Filiżanka zaczęła się poruszać o wiele żwawiej, a nawet gwałtownie.

– „Jestem… znowu, moja droga… Witaj, synu… Wzruszam się, patrząc na was…”

– Jak ci tam jest? – zapytała pani Schatzmann drżącym głosem.

– „Nie… wiem… gdzie… jestem… brakuje słów…” – przeczytała Teresa.

– Czy jest coś, czego nie zdążyłeś mi powiedzieć… Coś ważnego… – głos pani Schatzmann załamał się.

Filiżanka zatrzymała się na moment, a potem ruszyła jeszcze szybciej, tak szybko, że wydawało się niemożliwe, aby ktokolwiek mógł nią świadomie kierować.

– „Grzechem jest zbaczać z drogi, która prowadzi do celu… Wy, póki jeszcze możecie, idźcie prosto… Bądźcie pełni miłości i miłosierdzia…”

Artur słuchał tego z niedowierzaniem i niesmakiem. Jego ojciec nigdy nie opowiadałby takich banałów. Ale widział, że matka jest bardzo przejęta. Podejrzewał, że chciała zapytać o coś innego. O pieniądze. Czy wypadało pytać ducha o pieniądze, i w dodatku jeszcze wśród znajomych?

„Duch” opowiadał teraz o czystości moralnej i sile codziennej modlitwy. W brzuchu Artura, gdzieś głęboko, zaczęła się budzić wesołość. Zobaczył całą tę sytuację jako zdarzenie z teatralnego przedstawienia. Przełknął ślinę, żeby zatrzymać spazm śmiechu. Gdyby nie matka, z pewnością wstałby i poszedł sobie. Jednak teraz coś się zmieniło. Filiżanka stanęła nagle w pół słowa, Erna położyła ręce na stole i zaczęła mówić. Głos miała nieznacznie zmieniony, grubszy, płynący bardziej zgłębi ciała. Teraz mówił przez nią ktoś, kto przedstawił się imieniem Koloman. Artur dostrzegł na twarzach siedzących zaskoczenie.

– Od czasu do czasu – mówiła Erna – dla równowagi, żeby utrzymać napięcie między tym, co jest jasne, a tym, co ciemne, należy się wam kara. Żyjecie jak zwierzęta, nie dbając o ducha. Jecie, pijecie, rozmnażacie się i umieracie. Marnujecie czas. Będziecie to w stanie zrozumieć dopiero stąd, gdzie ja jestem…

– A gdzie ty jesteś? – spytał Frommer.

– Moje ciało umarło, moja dusza jest w niebie, a ja jestem tutaj. Oddal od siebie pokusę zrozumienia wszystkiego i ujęcia na dodatek w martwe schematy. Powiem ci, że będzie trzęsienie ziemi, żeby wam pokazać, jak bardzo jesteście krusi.

– Kiedy i gdzie będzie to trzęsienie? – niepewnym głosem zapytała pani Eltzner.

– We Włoszech. Niebawem.

Erna umilkła, ale charakterystyczny wyraz jej twarzy nie mijał. Wyglądało to tak, jakby Koloman czekał jeszcze na coś. Artur porozumiał się wzrokiem z doktorem Löwe, a ten wstał i zmierzył Ernie puls. Dziewczynka nie poruszyła się, w żaden sposób nie pokazała, że to w ogóle zauważyła.

– Ona jest już zmęczona – powiedziała nagle o sobie głosem Kolomana. – Dajcie jej spokój.

Stojący wciąż przy medium doktor spojrzał wymownie na Frommera.

– Odejdź. Odejdźcie wszyscy, którzy przemawialiście przez to medium – powiedział Frommer z namaszczeniem i jak magik wykonał przed twarzą Erny kilka delikatnych ruchów. Erna natychmiast obudziła się. Otworzyła oczy i Artur zauważył, że nie było w nich absolutnie nic. Wyglądały, jakby były namalowane.

Ktoś zapalił lampę, zaszurały krzesła. Pani Eltzner podeszła do córki i pomogła jej wstać. Erna słaniała się na nogach, sukienka lepiła się jej do ciała od potu, choć w pokoju nie było gorąco. Matka narzuciła na jej ramiona swój wełniany szal. Przy drzwiach Erna oglądnęła się i spojrzała już zupełnie przytomnie wprost na Artura. Nie wiedział, co zrobić, i skinął jej głową, jakby się żegnał. Nie zareagowała i delikatnie popchnięta przez matkę, wyszła.

Panowie dyskutowali teraz o seansie. Pani Schatzmann pochlipywała w fotelu, a Teresa Frommer trzymała ją za rękę. Kiedy wróciła pani Eltzner, dołączyła się do rozmowy o postaci, która pojawiła się dziś po raz pierwszy. Kim był ten złowróżbny Koloman? Dlaczego się pojawił? Co go tu przyciągnęło? Czy to może czyjś krewny, przodek? Frommer jako pierwszy wysunął hipotezę, że obecność na seansie nowej osoby mogła zadziałać stymulująco. Pojawiły się nowe wibracje i ściągnęły byt bardziej odległy.

– Co pan o tym myśli, panie Schatzmann, jako młody adept nauki? – zakończył pytaniem Frommer.

– Wie pan, trudno mi wypowiadać jakieś określone sądy bez badań. Jest to niewątpliwie interesujące zjawisko. Wyzwanie dla nauki.

– Zapewne słyszał pan o słynnych amerykańskich badaniach dotyczących zdolności mediumicznych. Mimo iż wielu badaczy startowało z bardzo sceptycznych pozycji, większość z nich dała się całkowicie przekonać. Kilka lat temu zmarł jeden z nich, Hodgson, słyszał pan to nazwisko? Otóż on właśnie należał do przekonanych sceptyków. I co się dalej stało? Zaczął brać udział w seansach z tamtej strony, jako duch informujący, bardzo rzeczowo i naukowo informujący. Niejaka pani Piper jest jego medium. Dysponuję materiałami na ten temat.

– Chętnie skorzystam – powiedział Artur wesoło, choć Frommer budził jego niechęć. Miał wrażenie, że tamten go zaczepia, i postanowił nie dać się wciągnąć.

– Czy pan jest psychologiem? – zapytał go jeszcze Frommer.

– Niestety nie. Zajmuję się fizjologią mózgu.

– Ach, te wasze specjalności, specjalizacje… Pytam dlatego, że pewien słynny psycholog, William James, był współzałożycielem Amerykańskiego Towarzystwa Badań Parapsychicznych…

– Słyszałem. On właśnie dlatego, że był psychologiem, a nie, powiedzmy, fizjologiem, stosował określoną metodologię badań.

Frommer wydawał się zaciekawiony, ale podeszła do nich pani Eltzner i zaprosiła wszystkich na kolację.

– Ach nie, droga pani. Musimy już iść – powiedział Frommer. – Bardzo się cieszę, że pana poznałem, panie Schatzmann. Mam nadzieję, że będziemy się jeszcze spotykać i mieć więcej okazji do dyskusji. Nic tak nie rozwija jak rzeczowe dyskusje.

Frommer pomógł wstać siostrze. Przy drzwiach porozmawiali jeszcze z panią Eltzner. Artur słyszał, że mówili o następnym seansie.

Schatzmann z matką i doktorem Löwe zostali na kolacji.

Gdy jechali w trójkę dorożką, doktor wspomniał Arturowi o profesorze Voglu.

– Jesteśmy obydwaj laikami, Arturze. On jest specjalistą od takich spraw. Moglibyśmy z nim porozmawiać. Ja jako lekarz Erny, ty jako ktoś, kto mógłby zbadać jej fenomen.

– To dobry pomysł, doktorze. Czuję, że mam wgłowie zamęt.

– Ach, mój Boże… – westchnęła pani Schatzmann.

Artur nie miewał kłopotów z zaśnięciem, ale tego wieczoru długo kręcił się w pościeli. Był podniecony. Wciąż miał przed oczami zanurzony w gęstniejącym mroku salon Eltznerów i bladą twarz Erny z otwartymi oczyma, które patrzyły w pustkę. Potem pojawiła się jej mokra od potu sukienka przyklejona do drobnych piersi i chuda postać Frommera. I pani Eltzner, teatralnie poważna, i jego matka z twarzą pełną nadziei. Artur pomyślał, że powinien to wszystko sobie zapisać, dowiedzieć się od matki i doktora czegoś więcej o samej Ernie. „Studium przypadku histerycznej kilkunastolatki, która rozmawia z duchami", tak można by to roboczo zatytułować.

Zapalił lampkę przy łóżku i sięgnął po papier i ołówek. U góry napisał: „Seans I". Zamknął na chwilę oczy i przypomniawszy sobie chwila po chwili, co się zdarzyło kilka godzin temu, zaczął pisać.

Teresa Frommer

Zima przyszła nagle, wraz z pierwszym śniegiem. Była jak sztywna, nakrochmalona bielizna, którą wkładało się w niedzielny poranek. Czuło się na skórze jej szorstki dotyk, do którego w końcu ciało musiało się przyzwyczaić. Już w poniedziałek bielizna stawała się oswojona jak druga skóra. Dni były sterylne, bez zapachów i kolorów. Dopiero wczesny zmierzch potrafił je ocieplić swoją szarością i zatarciem ostrych krawędzi.

W grudniu Frommer zaczął chodzić do Eltznerów częściej niż zwykle. Tłumaczył Teresie, że małej Eltznerównie trzeba pomóc unieść to, co dostała w darze; trzeba przede wszystkim nakreślić jej wizję świata w ten sposób, żeby znalazło się tam miejsce dla niej samej jako osoby wyjątkowej. Inaczej jej młody umysł może się załamać pod takim ciężarem. Teresa patrzyła na niego ze swojego fotela i milczała. Nie chciał już siedzieć w domu i porządkować swoich tabel, a nawet jeżeli już zostawał, to i tak myślami był daleko. Teresa czekała, aż jej brat wróci do siebie. Dwa, trzy razy w tygodniu zostawała na całe wieczory sama i tkwiła w fotelu odwróconym do okna, z którego widać było Odrę, mosty i kościół. Nie zapalała nawet światła. Mrok powoli wpływał do jej pokoju jak opiumowy dym i Teresa tonęła w nim, aż w końcu przychodziła matka. Siadała w bliźniaczym fotelu i wpatrywała się w kaleką córkę ze spokojem i aprobatą. Tak ją przynajmniej widziała Teresa. Czasem próbowała z nią rozmawiać. Nie, nie skarżyła się. Po prostu opowiadała jej, co się z nimi dzieje, z nią i Walterem, mówiła o ich życiu. Ale matka, jeżeli nawet słuchała, to jej odpowiedzi mijały się z pytaniami, jakby zostały wzięte z innej rzeczywistości, z innego czasu. Nic nie znaczyły.

Walter Frommer

Walter Frommer cicho zamykał drzwi, kiedy wychodził z domu. Nie chciał budzić siostry.

Głęboko wdychał na ulicy świeże, chłodne powietrze. Skręcał w prawo i przez most Piaskowy wchodził na Ritterplatz, skąd Ursulinenstrasse dochodził do domu Eltznerów. Cała ta droga zajmowała mu niewiele ponad dziesięć minut, dlatego czasem, złakniony spaceru, szedł jeszcze nad Odrę, a potem wracał koło uniwersytetu.

Uważał, że jest osobiście odpowiedzialny za Ernę. Może ze względu na jej matkę. A może dlatego, że przypominała mu młodą Teresę. Erna ziszczała jego głębokie pragnienia, była potwierdzeniem jego życia. Frommer nie uświadamiał sobie tego jasno, ale zaczynał ją traktować jak córkę. Zajmował miejsce wiecznie nieobecnego pana Eltznera. Tak, musi dbać o Ernę. Powinna zostać jego uczennicą. Zaproponował pani Eltzner, że będzie się widywał z Erną trzy godziny tygodniowo. Pani Eltzner oczywiście się zgodziła.

Erna wcale nie wyglądała na zainteresowaną; po prostu była grzeczna, tak jak jej przykazała matka. Siedziała na kanapie z rękami złożonymi porządnie na kolanach, a gdy się trochę rozluźniała w czasie wykładu, zaczynała majtać nogami. Patrzyła na poruszające się usta Frommera wzrokiem, który on nazywał „kocim", bo wyrażał tak niewiele. Nawet nie był pewien, czy go słucha. Dlatego każdą trudniejszą kwestię kończył pytaniem:

– Rozumiesz?

Kiwała potakująco głową.

Wykłady przygotowywał sobie w domu. Nie mógł mówić bez planu, z pamięci. Popadałby wtedy w dygresje, w rozważania, przytaczałby ścierające się stanowiska różnych szkół, tradycji. Musiał wyjaśniać Ernie skomplikowane, prawie filozoficzne tematy w sposób najprostszy, zniżając

się do jej wieku. Systematyzował całą wiedzę okultystyczną i spirytystyczną w tabele i wykresy, które potem podsuwał pod „koci" wzrok Erny.

Na jednym z tych rysunków były trzy koła, jedno w drugim. To najmniejsze, w środku, symbolizowało świat materialny; większe było światem wyobrażeń, przeżyć; największe zaś przedstawiało świat myśli. Przestrzeń poza kołami, reszta kartki – miała ukazywać ogrom świata duchowego, który zawiera wszystkie pozostałe, a jednocześnie poza nie daleko wykracza. Frommer przyglądał się okręgom, dumny z pomysłu prostego graficznego ujęcia tak skomplikowanego problemu, ale szybko zrozumiał, że Erna szybciej je weźmie za bransolety niż reprezentację światów. Poza tym, jak wyjaśnić dziecku, czym się różnią uczucia od wyobrażeń, a wyobrażenia od myśli? Przyjął więc inny podział. Narysował schody. Najpierw stopnie podzielił na trzy strefy. Tę dolną zakreskował czarnym atramentem i to było ciało, drugą – atramentem zielonym, i to była dusza. Najwyższe stopnie zamalował na niebiesko – i to był duch. „Czy nie jest to jednak zbyt proste?" – zastanawiał się. Nieporadnie dorysował u stóp schodów postać małego człowieczka, którego jednak zaraz zamazał. Sugerowałoby to zewnętrzność człowieka wobec samego siebie. Zastąpił go abstrakcyjnym kółkiem. Napisał obok niego „monada". Przy czarnych schodach napisał: „plan fizyczny", przy zielonych – „plan eteryczny", przy niebieskich – „plan astralny", a nad schodami – „plan myślowy". Potem zawahał się, zabrakło mu słów.

– Świat duchowy nigdy nie może zostać wyrażony z braku odpowiednich terminów – powiedział potem Ernie. – Rozumiesz?

Podniosła wzrok znad kartki i popatrzyła na niego.

– Spróbuj spojrzeć na wszystko, co nas otacza, z tej właśnie perspektywy. Zobaczysz domy, kamienie, czyli przedmioty martwe. One istnieją tylko na płaszczyźnie materialnej, są tylko materią fizyczną, ubraną w formę za pomocą siły eterycznej, która daje materii kształt. Potem są rośliny, wszystkie drzewa, trawy, kwiaty... One są materialne i posiadają formę – czyli działa na nie siła eteryczna – ale różnią się przecież od martwej skały. Jak myślisz, czym różni się drzewo od kamienia?

Wzrok Erny powędrował ku oknu i zaraz wrócił.

– Że jest żywe? – zapytała niepewnie.

– No właśnie. Jest żywe. A co znaczy „być żywym”? To czuć i doznawać. To rosnąć i rozwijać się. To jest właśnie cecha ciała astralnego. Plan astralny jest planem życia. Z ulotnej substancji naszych przeżyć zbudowane jest ciało astralne. Nie jest ono tak gęste jak materia, jest dużo rzadsze, rzadsze od wody i od powietrza… Teraz wyobraź sobie zwierzę. Zwierzę to materia, jej forma i uczucia, instynkty. Jest więc zarówno fizyczne, eteryczne jak i astralne. Ale zwierzę jest także, w pewnym sensie, myślące. Wprawdzie nie tak jak człowiek, ale jest na swój sposób mądre. Potrafi przewidzieć pewne rzeczy. Oprócz ciała astralnego ma więc również ciało mentalne, myślowe. I w końcu jest człowiek, taki jak ja i ty…

– Ja? – zdziwiła się Erna, wyrwana z zamyślenia.

Frommer przystanął w swojej wędrówce od stołu do kredensu i z powrotem. Spojrzał na nią chłodno.

– Uważaj, proszę… Wszystkie te cztery poziomy, od fizycznego po mentalny, są śmiertelne. Prędzej czy później ulegają rozkładowi. Ale człowiek jest pierwszym stopniem rozwoju, w którym tkwi już ziarno nieśmiertelności. Człowiek jest ukształtowaną w formę materią, ulega poza tym instynktom, uczuciom i afektom, myśli konkretnie, ale także myśli abstrakcyjnie… Jak to powiedzieć? Człowiek ma zdolność dotykania swoim umysłem przyczyn i sensu świata. Te przyczyny i ten sens, z grubsza rzecz biorąc, to idee. Więc człowiek umie się w swoim umyśle posługiwać ideami. Kształci ponadto w sobie etykę – czyli wiedzę o dobru i złu. Bez tych dwóch rzeczy człowiek tkwi na poziomie zwierzęcia, gdyż zwierzę też można nauczyć posługiwania się narzędziami czy wykonywania pewnych czynności. Ale żadne zwierzę nie wie, co dobre, a co złe.

Erna zareagowała na słowa, które niejednokrotnie słyszała: „co dobre, a co złe”.

– Jak w Biblii, drzewo wiadomości dobrego i złego – powiedziała szybko.

– Właśnie. Cieszę się, że teraz uważasz… od tego momentu zaczyna się poziom duchowy. To, co duchowe, nie daje się opowiedzieć. Nasze słowa są mało doskonałe, bo same pochodzą z niższego poziomu… – Frommer zamilkł na moment, jakby kontemplował ową niedoskonałość słów.

– Ponad człowiekiem są aniołowie, postacie, które nie są zbudowane z materii, dużo doskonalsze od ludzi. Nie mając w sobie materii fizycznej, posiadają jednak formę. To trudno wyjaśnić… Ale chodzi mi o to, żebyś miała świadomość hierarchiczności światów. To znaczy, że są one jakby drabiną ku niebu. Istnieją oczywiście byty jeszcze doskonalsze, które jednak ciężko jest zrozumieć i opisać. Nie mają one ani postaci fizycznej, ani formy, mają za to ciało astralne.

– Czy to są duchy?

– Ogólnie mówiąc, tak – powiedział Frommer po chwili zastanowienia. – Ale nie zawsze są to te istoty, z którymi rozmawiasz. Na razie opowiedziałem ci pokrótce, jak zbudowany jest świat. Uprościłem wszystko, żebyś mogła łatwiej zrozumieć. Teraz powinienem opowiedzieć ci o śmierci, bo to, o co pytasz, zaczyna się tam, gdzie jest śmierć. Śmierć jest końcem ciała fizycznego, niczym innym. Dlatego nie powinna być dla nikogo przerażająca. Prawda?

Erna bez przekonania kiwnęła głową.

– Nieśmiertelna dusza opuszcza ciało fizyczne, ale przez jakiś czas pozostaje jeszcze w swoich innych, niematerialnych ciałach: eterycznym i astralnym. Niedługo po śmierci fizycznej rozkłada się ciało eteryczne, czyli znika forma. Teraz zmarły istnieje jako ciało astralne; to stadium trwa, dopóki nie wyczerpią się jego afekty, żądze i przywiązania. Czasem krócej, czasem dłużej, to zależy, kim był zmarły, co robił, jak myślał, jak żył. Nazywamy ten czas przebywania w ciele astralnym „czasem czyśćca". Po rozpadnięciu się ciała astralnego człowiek istnieje nadal jako ciało mentalne. Istnieje tak długo, aż dojrzeje do powtórnego przejścia w życie fizyczne.

Frommer westchnął, jakby to, co teraz miał powiedzieć, było szczególnie ciężkie.

– Duch wyszukuje sobie takie warunki życia, które byłyby najlepsze do zebrania nowych doświadczeń. Kiedy już wybierze ciało swojej przyszłej matki, wciela się w nie i przychodzi na świat, rodzi się. Powstaje nowy człowiek. Ze starego zostaje tylko duch, a ciała fizyczne, eteryczne i astralne są zupełnie nowe. A ponieważ pamięć dawnych doświadczeń mieści się w ciele astralnym, nowy człowiek nie pamięta już tego, kim był przedtem. Rozumiesz, Erno?

Erna właściwie po raz pierwszy wykazała żywsze zainteresowanie. Frommer zauważył to z satysfakcją.

– Pewnie chciałabyś teraz zapytać, po co to wszystko. Po co umierać, żeby się znowu odradzać? Z pewnością zadawałaś już sobie takie pytania. Po co? Dlaczego? Jaki to ma sens? Otóż nasza droga prowadzi z dołu do góry, od czegoś mniej doskonałego ku bardziej doskonałemu, od czegoś ciężkiego ku lekkiemu, od materii i ciemności ku jasności i duchowi. Doskonalimy się poprzez zbieranie nowych doświadczeń. Życie jest naszym nauczycielem. Uczymy się, co dobre, a co złe, uczymy się właściwych wyborów. Stajemy się doskonalsi, a więc bliżsi Absolutu, Boga. Kiedy to się zrealizuje, staniemy się wolni od materii i nie będzie już potrzeby wcielać się po raz kolejny... Słuchasz mnie, Erno? Rozumiesz?

Erna kiwnęła głową, ale Frommer nie widział w jej oczach zrozumienia. Opanowało go nagłe zniechęcenie. Chłodnym, zesztywniałym spojrzeniem ogarnął postać siedzącej przed nim dziewczynki. Potem bez słowa puścił się w milczący spacer od stołu do dębowego kredensu. Wreszcie jego oczy powędrowały na stojący między oknami zegar. Minęła prawie godzina i Frommer uświadomiwszy to sobie, poczuł się zmęczony.

– To już koniec na dzisiaj, Erno – oświadczył.

Dziewczynka wstała, dygnęła i ruszyła do drzwi. Przez chwilę jeszcze szarpała się z ciężką klamką. Frommer stanął przy oknie, za którym przejeżdżające dorożki brukały białą niewinność spadłego w nocy śniegu.

Greta

Kolejny seans miał się odbyć jeszcze w grudniu. Ale zaczęły się przygotowania do świąt, a poza tym pan Eltzner zachorował, dużo teraz przebywał w domu i krzywił się z niechęcią, gdy jego żona próbowała namówić go na zaproszenie gości.

Pani Eltzner wpadła w szał zakupów. Brała ze sobą do miasta Bertę i znosiła do domu mnóstwo pakunków, paczuszek i toreb. Zarządziła też gruntowne porządki: pranie zasłon, trzepanie na śniegu dywanów i czyszczenie foteli. Sama zajęła się porcelaną i srebrami. W mieszkaniu czuć było zapach pasty do podłóg. Pan Eltzner skarżył się na przeciągi i na wieczne hałasy i pokrzykiwania, które nie pozwalały mu się w dzień zdrzemnąć.

Potem zaczęły się wypieki. Najpierw pieczono pierniki według polskich przepisów pani domu. Greta wyciągała blaszane foremki i pozwalała małej Linie wycinać serduszka, pieski i ptaszki. Pani Eltzner sama ozdabiała kolorowym lukrem piernikowe anioły, które miały potem zawisnąć na choince. Po piernikach szły ciastka posypane cukrem i zamykane do czasu świąt w blaszanych pudełkach, a także kruche makaroniki, migdałowe i orzechowe, i maleńkie babeczki do wypełniania kremem. Wreszcie nadchodził czas na ciasta i wtedy kulinarne mistrzostwo pani Eltzner osiągało niebywałe wyżyny. Były więc biszkopty ubijane nad parą z ogromnej liczby jajek, strudle i bezowe podkłady do tortów. Na końcu pani domu piekła ptysie, które w czasie świąt napełniało się bitą śmietaną. Resztę zostawiano na potem: wszystkie te kremy, polewy, galaretki. Na potem zostawiano też ulubione ciasto pana Eltznera, które nazywało się „użądlenie pszczoły".

Trwało to dobrych kilka dni, po których pani Eltzner opadała z sił i entuzjazmu. Teraz berło królowej kuchni przejmowała Ada, kucharka. Zaczynało się przygotowywanie mięs, a jako że pani Eltzner powstrzymywała się od jedzenia mięsa, od kiedy zaprzyjaźniła się

z Frommerem, odmawiała także jego przyrządzania. Prawdę mówiąc, były to dla niej ciężkie chwile, gdyż w rodzinnym domu pani Eltzner mięsa przyrządzano znakomicie, tu natomiast Ada nie była mistrzynią. Była dobrą niemiecką kucharką, ale Niemcy nie potrafią dobrze przyrządzać mięs. Dlatego pani Eltzner zaglądała do kuchni, sprawdzając, czy do galarety dodano odpowiednią ilość warzyw i czy Ada porządnie oprawiła zające. Zawsze jednak potem miała migreny i całe wieczory nie wychodziła z sypialni. Chyba że przychodził Frommer, a ostatnio zdarzało się to często.

Gdy wiecznie roztargniona, niezbyt przytomna Greta otwierała mu drzwi, często go nie poznawała.

– Słucham pana? Pan do kogo? – zaczynała.

Tłumaczyła się potem w kuchni:

– Nie wiem, jak to możliwe, ale zawsze widzę w nim nieznajomego.

Ada, krojąc ogromnym nożem kapustę, uspokajała dziewczynę, że może to wina mrocznego korytarza albo mało charakterystycznej twarzy pana Frommera, a Greta, zapatrzona w paski kapusty, zamyślała się nad tą dziwną obecnością w ich domu człowieka podobnego do parasola. Służące zaczęły nawet między sobą mówić na Waltera Frommera „Parasol".

Greta z prawdziwą niechęcią brała od Frommera ciemny płaszcz i wieszała go na ostatnim wieszaku, tak, żeby znajdował się z dala od innych okryć. Wełniane rękawiczki wkładała do kapelusza i umieszczała razem z laską na stoliku z taką rezerwą, jakby były narzędziami jakiejś potwornej zbrodni. Rzeczy Frommera, tak zresztą jak on sam, wydzielały zapach lawendy zmieszanej z naftaliną, co w Grecie wzbudzało wstręt.

– Czy panienka jest już w salonie? – pytał Frommer i nie czekając na odpowiedź, swoim sztywnym krokiem ruszał wgłąb korytarza.

Greta musiała go teraz wyprzedzić i otworzyć mu drzwi. Kątem oka widziała, jak panienka Erna zrywała się wystraszona z kanapy. Kiedy drzwi zamykały się za Frommerem, Greta miała wrażenie, że wpuściła do pokoju bezbronnej dziewczyny jakieś złe moce, chłód, mrok, sama nie wiedziała co. Po chwili wahania zdarzało się jej czasem przysunąć ucho do szpary i usłyszeć szuranie krzesła, szelest papierów, niewyraźne, przytłumione pytanie i niepewną odpowiedź. Można by pomyśleć, że to nauczyciel

arytmetyki lub rysunków przychodzi do Erny, żeby ją uczyć rzeczy pożytecznych. Ale Greta wiedziała równocześnie, że Frommer nie jest nauczycielem, że przychodzi raczej jako lekarz czy policjant, żeby chorą panienkę obserwować i kontrolować. Żeby nie dać jej odetchnąć, żeby ją wiecznie naciskać, wypytywać i kazać jej czytać jakieś niezrozumiałe, szalone książki.

– Czego on od niej chce? – pytała kucharkę.

– On ją wybaduje. Chce wszystko wiedzieć: co jej się śniło, o czym myśli, na co ma ochotę...

– Chciałby ją zamknąć w jednej ręce. O tak! – mówiła zapalczywie Greta i pokazywała kucharce silną dłoń zaciśniętą w pięść.

Po jakiejś godzinie Erna wychodziła z salonu, za to zaraz zjawiała się tam jej matka. Greta przynosiła wtedy tacę z ciastkami i kawą i zaciągała zasłony w oknach. Pani, jeżeli nie była chora, siedziała w fotelu i wyszywała atłaskiem różę na serwetce – robótka z różą miała już ze trzy lata. Pani nie była dobra w wyszywaniu. Jeżeli zaś czuła się źle, siedziała na kanapie w pozycji półleżącej, z nogami uniesionymi lekko na podnóżku. Frommer siadał w fotelu przy stoliku z kawą. Tak było na początku. Jednak po kilku kwadransach, gdy pani na nią dzwoniła, żeby odprowadziła gościa, Greta zastawała ten porządek zburzony. Pani stała przy oknie, a Frommer przechadzał się po pokoju. Może zresztą nie miało to większego znaczenia. Greta widziała potem, że wychodził z ociąganiem. „Do jutra", zdawał się mówić całą swoją osobą. Ubierał się w milczeniu i zamyśleniu, a potem bąkał coś niewyraźnie i znikał w czeluściach klatki schodowej. Greta czekała jeszcze, aż usłyszy zamykające się za nim drzwi na dole, a potem oddychała z ulgą.

Pani Eltzner po wyjściu Frommera kazała podawać do kolacji. Sama szła po męża do jego gabinetu. Pan Eltzner chodził po domu w czarnej błyszczącej bonżurce, w której wyglądał jeszcze bardziej elegancko niż w surducie. Ciągnął się za nim zapach olejku kamforowego, którym smarowano mu bolące stawy. Greta natychmiast poruszała się szybciej i sprawniej, dzieci były bardziej posłuszne; wszystko nabierało powagi, pokrywało się cienką skorupką dobrych manier. A przecież pan Eltzner nie budził strachu. Był pełen godności, i przy tym dobrego humoru. Wcale się nie wysilał, żeby wszystko wokół niego chodziło jak w zegarku. Jeśli jego

wzrok przesuwany z dziecka na dziecko miał coś z surowości, to kiedy napotykał żonę, natychmiast miękł i łagodniał. Coś podobnego działo się, gdy patrzył na małego Klausa. Dlatego pani Eltzner imałemu Klausowi wolno było tak wiele. Greta kiedyś zauważyła, że pan nie wiedział, do której klasy chodzi jedna z jego córek. Pani musiała mu często podpowiadać imiona, gdy zwracał się do dzieci. Właściwie chodziło tylko o córki, obu chłopców bowiem pan Eltzner jawnie faworyzował. Maks miał być przecież jego następcą w tkalniach, a Klaus był taki rozkoszny.

Eltznerowie jedli kolację przy długim stole przykrytym kremowym obrusem. Pan i pani Eltzner siedzieli naprzeciwko siebie, a po bokach zajmowały miejsca dzieci. Podawała Greta. Czasem matka prosiła Marie, żeby pomogła służącej. Był to rodzaj szkoły umiejętności domowych. Kiedyś robiła to Berta, ale odkąd miała narzeczonego, stała się już kobietą, drugą kobietą po pani Eltzner, i została zwolniona z tego obowiązku.

Greta była w tym samym wieku co Berta i dlatego z pewną zazdrością przyglądała się panience. Berta była postawna, wyższa prawie o głowę od matki i zupełnie do niej niepodobna. Miała ciemne włosy i jasną, piegowatą cerę. Wciąż jeszcze była smukła, lecz już nie chuda jak jej młodsze siostry. Marie, która zawsze siedziała koło Berty, była bardziej filigranowa. Z karnacji przypominała matkę, miała jej piękną cerę. Jednak jej włosy kręciły się tak jak u ojca, a w rysach było coś ptasiego. Gdy Greta, usługując do stołu, patrzyła na Ernę, zawsze było jej żal dziewczynki – mała Erna była tak inna niż jej starsze siostry. Jej drobna, chuderlawa postać, z ledwo zaznaczonymi pod sukienką zawiązkami piersi, wzbudzała czułość. Popielate, rzadkie włosy podkreślały bladość i ziemistość cery. Papierowa skóra wydawała się cienka, naciągnięta i z ledwością kryła sieć małych niebieskich żyłek, ten jedyny dowód, że tak jak inni jest z krwi i kości. Według kanonów piękności służącej, Erna nie była ładna. Erna nigdy nie miała apetytu i jako ostatnia wstawała od stołu, z trudem dając sobie radę z całą porcją. Gdyby Greta miała coś do powiedzenia, poradziłaby, żeby Ernę leczono na robaki. Ta dziewczyna musiała je mieć.

Po Ernie był Maks – chudy, wysoki, pewny siebie wyrostek, który dokuczał Grecie, próbując ją objąć albo przynajmniej uszczypnąć. Był podobny do ojca: piegowata twarz i rude, kręcone włosy. Miał, tak jak Erna, nierówne zęby, ale u niego to bardziej rzucało się w oczy, bo usta mu się

nigdy nie zamykały. Maks był bałaganiarzem. Nie składał ubrania, zostawiał po sobie ogryzki i zabłocone buty. Ciągle gubił swoje rzeczy i trzeba go było gonić do mycia. Greta z kucharką lubiły tego bezczelnego chłopaka. Często przychodził do nich do kuchni i wtedy Ada wykrawała mu z kapusty głąb albo smarowała smalcem grubą pajdę chleba. Maks siadał na stole i przekomarzał się z nimi swoim łamiącym się jeszcze głosem. Miał własne zdanie na każdy temat, jaki sprytnie podsuwały mu kobiety. Według niego Erna miała anemię i niedotlenienie mózgu, a Frommer podkochiwał się w mamie.

– Jeżeli Berta nie wyjdzie w przyszłym roku za mąż, to zostanie starą panną – mówił, odgryzając potężny kęs chleba z kiełbasianym smalcem. – Tatuś dostał zamówienie rządowe na tkaninę na płaszcze. Będzie ubierał naszych żołnierzy. Zarobi dużo pieniędzy i na wakacje pojedziemy do Włoch. Zabierzemy cię, Greta.

– A ja? Co będzie ze mną? – z udawanym smutkiem dopytywała się kucharka.

– Ty, moja droga, na nic byś się tam nie zdała. Tam się je makaron i tylko makaron, a ty robisz makaron twardy jak sznurówki.

Ada udawała, że się złości.

Kolejnymi po Maksie dziećmi Eltznerów były bliźniaczki – Katharine i Christine. Miały dziesięć lat i były bardzo podobne do siebie. Regularne, ładne twarzyczki o wystających kościach policzkowych i pełnych ustach musiały pewnie pochodzić od słowiańskich przodków. Nosiły identyczne fryzury i sukienki i zawsze były razem. W zamieszaniu wywoływanym przez liczną rodzinę nie brały udziału, ich ścieżki nie pokrywały się ze ścieżkami innych domowników, zajmowały się głównie sobą. Kiedy chorowały, to zawsze razem, i chociaż ich matka podejrzewała, że w istocie chora jest tylko jedna z nich, to i tak nie potrafiła odróżnić, która udaje. Zresztą związek pomiędzy nimi był tak silny, że gorączka pojawiała się wcześniej czy później także u tej zdrowej. Rządziły się własnymi prawami, pilnowały własnej niezależności – najczęściej poprzez dokuczanie małej Linie.

Lina w rzeczywistości miała na imię Magdalena. To imię jednak wydawało się dla niej za duże, skrócono je szybko. Lina – ukochana córka pani Eltzner. Lina – maskotka i pieszczoszek. „Moje pieścidełko", mówiła

do niej matka, brała ją na kolana i gładziła po jasnej główce. Lina była rozpieszczona przez rodziców do granic możliwości. W ich obecności mogła sobie pozwolić na więcej niż inne dzieci, kiedy jednak znalazła się wśród rodzeństwa, zwłaszcza w towarzystwie bliźniaczek, stawała się pokorna i posłuszna. Miała pięć lat. Była jeszcze tłuściutka i okrągła na buzi, ale widziało się, że w najbliższych miesiącach stanie się chuda i szczerbata. Pani Eltzner twierdziła, że Lina ma zdolności muzyczne, chyba jako jedyna z dzieci Eltznerów, i dlatego kupiono nowe pianino.

No i wreszcie Klaus. Klaus zaczął jadać przy stole dopiero od niedawna. Przedtem traktowano go jak niemowlę, chociaż miał już trzy lata. Ciężka choroba Klausa zeszłej wiosny sprawiła, że stał się on oczkiem w głowie całej rodziny. Starsze dzieci z zazdrością patrzyły, jak to Klaus nic nie musiał robić, żeby być kochanym. Wszystko mu wybaczano: zasikanie dywanu, stłuczenie porcelanowej figurki, wymazanie czekoladą drzwi od salonu. Przedtem miał niańkę, ale pani Eltzner uznała, że to przez nią Klaus tak strasznie zachorował. Żadna kobieta nie nadawała się na opiekunkę Klausa. Tylko ona sama.

Po kolacji dzień dla młodszych dzieci nieodwołalnie się kończył. Pani Eltzner kładła spać Linę i Klausa. Bliźniaczki musiały same zadbać o siebie. Starsze dzieci mogły jeszcze czytać w swoich pokojach, ale przywilej przebywania wieczorem w salonie miała tylko Berta. Zwykle przedtem pomagała sprzątać ze stołu albo kłaść spać maluchy.

Kiedy w domu było już zupełnie cicho, pani Eltzner szła do gabinetu męża. Rozmawiali o dzieciach i rachunkach. Czasem pani Eltzner siadała mężowi na kolanach i żaliła mu się na swoje zdrowie i nawał obowiązków. Pan Eltzner mówił wtedy do niej „Muszko".

Czasem w nocy przychodził do ich podwójnego łóżka mały Klaus. Rozespana pani Eltzner brała swoją poduszkę i zabierała małego do jego pokoiku, położonego tuż przy małżeńskiej sypialni. Kładła się obok synka i spała z nim do rana, rozgrzeszając się sennie, że przecież Klaus jest taki malutki.

Greta spała w swojej służbówce na końcu korytarza. Przed snem sprawdzała, czy są na miejscu jej oszczędności schowane w szufladzie z butami, które kiedyś miały stać się jej posagiem.

Profesor Vogel

Zaraz po świętach, na początku stycznia 1909 roku doktor Löwe przyjechał do Schatzmannów, żeby zabrać Artura na spotkanie z doktorem Voglem. Vogel umówił się z nimi na wczesne popołudnie i przyjął w swoim gabinecie na Schweidnitzer Strasse.

Artur czuł się onieśmielony świadomością, że ten oto niepozorny człowieczek, o wyglądzie chłopca ucharakteryzowanego na mężczyznę, rozprawia się tu z ludzkim szaleństwem. Vogel był szczupły i drobny, jego gładka twarz wyglądała, jakby nie zaznała golenia. Zupełnie siwe włosy paradoksalnie jeszcze ją odmładzały, sprawiając wrażenie płowych. Przy tym Vogel miał bardzo niski, wibrujący głos – i to wydawało się niepojęte.

Gabinet był urządzony bardzo skromnie. W centrum stało ciemne biurko z przyborami do pisania i klepsydrą, a za nim znajdowała się półka z książkami. Usiedli na miękkich krzesłach wokół niedużego stolika. Stara sekretarka przyniosła filiżanki i dzbanek z kawą. Przy oknie, przez które widać było kamienice po drugiej stronie ulicy, stała niewielka kozetka. Artur nie zauważył tu niczego, co mogłoby wskazywać, że jest to gabinet lekarski – żadnych narzędzi, słuchawek, oszklonych półek z lekarstwami, nawet białego fartucha.

Vogel podał Arturowi na przywitanie małą, zimną dłoń. Był już dobrze wprowadzony w przypadek Erny Eltzner przez doktora Löwe.

Wręczył mu filiżankę z gorącą kawą.

– Chciałbym jednak od razu zapytać o pana osobisty stosunek do tej sprawy.

Artur nie zrozumiał.

– Proszę mi powiedzieć, czy pan wierzy w te rzeczy. Życie pozagrobowe, możliwość kontaktu z duszami zmarłych i tak dalej – sprecyzował Vogel, mieszając swoją kawę.

Artur zdziwił się i rzucił pytające spojrzenie na doktora Löwe.

– Pytam o to pana, przyjacielu, bo wiem, że światopogląd badacza wpływa na wyniki badania. W gruncie rzeczy udowadnia się to, w co się wierzy. Badacz porusza się w świecie, który zna – wytłumaczył Vogel.

– Jestem racjonalistą, tak to można najogólniej ująć. Zajmuję się fizjologią mózgu. Widziałem w ciągu ostatnich lat wielu chorych z uszkodzeniami mózgu i rodzaj ich zaburzeń zależał od uszkodzonego ośrodka. Szkoda, że fizjologia mózgu latami czeka na okazję badania. Pacjent musi najpierw umrzeć – Artur uśmiechnął się; czuł, że już nabiera swojej zwykłej śmiałości. – Nasza wiedza jest wiedzą a posteriori, ale jest za to pewna. Przypomina trochę archeologię – dopiero gdy pacjent umrze, jesteśmy pewni, co mu było. Na tym etapie rozwoju mojej specjalności można tylko stawiać hipotezy i skrupulatnie zbierać dane… Ale nie chcę, aby pomyślał pan, że jestem ograniczony fizjologicznym punktem widzenia. Wcale nie wykluczam myśli, że na zaburzenia nerwowe i psychiczne wpływają także sprawy rodzinne czy nawet społeczne.

Vogel uniósł brwi w podziwie; a może była to kpina.

– Czytał pan to? – powiedział i wyciągnął z półki jakąś książkę.

Artur zobaczył tytuł – *Studien über Hysterie* Zygmunta Freuda.

– Przyznam się, że nie.

– Bardzo to panu polecam, choć wiem, że traktuje się tę książkę wciąż jako niebezpieczne nowinkarstwo. Pan wie, że jestem psychoanalitykiem. Jestem przekonany, że badając jakiś problem, trzeba się oprzeć na konkretnej teorii, koncepcji świata. Dopiero kiedy nie uda się do niej dopasować faktów, trzeba stworzyć nową koncepcję. Psychoanaliza jest najszerszą koncepcją, jaką znam w psychiatrii… Nie sądzę, żeby jakikolwiek fizjologizm był w stanie opisać psychiczny fenomen tej dziewczyny – Vogel zaczął się przechadzać po gabinecie. – Opis oparłby się na spekulacjach. No cóż, nie będę ukrywał mojego zdania na temat psychologii eksperymentalnej. Uważam, że podąża jakimiś bocznymi ścieżkami, mając przy tym wielkie ambicje. Wszystko przebadać wszelkimi możliwymi narzędziami. Każdą funkcję, każdy organ z osobna. Tymczasem do lekarza zgłasza się cała osoba, a nie boląca głowa czy nerwy. Czy nie mam racji, Leo?

Artur ze zdziwieniem spojrzał na doktora Löwe i dopiero teraz skojarzył, że ma on na imię Leo. Leo Löwe skinął głową. Vogel odchrząknął i zrobił w powietrzu dłońmi dwa płynne ruchy, którymi podzielił całą psychologię na dwa kierunki.

– Psychologia eksperymentalna, ta chemia i fizyka umysłu, jak ją niefortunnie nazywają, zajmuje się w gruncie rzeczy sprawami mniej istotnymi, szybkość przebiegu impulsów nerwowych, lokalizacja funkcji psychicznych w mózgu… to akurat pana działka. A także, na przykład, odruch ślinienia się… Nie chcę robić wrażenia, że tym pogardzam, ale naprawdę uważam to za sprawy mniej ważne. Psychoanaliza zajęła się tym, czego w warunkach laboratoryjnych nie tylko nie udawało się wychwycić, ale co wręcz przeszkadzało.

Vogel zawiesił głos, więc doktor Löwe odruchowo zapytał:

– Co to takiego?

– No właśnie, co? Całym kłopotem współczesnej psychologii i psychologów jest to, że właściwie nie wiemy, czym jest jej przedmiot. Nie możemy się dogadać. Mówimy „psychika”, ale pod tym pojęciem każdy rozumie swoje. Trzeba się zdecydować, czy się zajmujemy ludzką duszą, czy przejawami aktywności mózgu. Może będąc na jakimś następnym etapie rozwoju, stwierdzi się, że jest to dychotomia pozorna, ale teraz jest czas, kiedy się trzeba opowiedzieć po jednej ze stron. Choćby po to, żeby po jakimś czasie stanąć na przeciwnej pozycji. Pan pewnie nie bardzo rozumie, skąd ta moja przydługa przemowa na temat teorii… Chcę pana przekonać, że jedyną teorią zdolną sensownie opisać przypadek tej dziewczyny jest psychoanaliza. I tu mogę panu pomóc. – Vogel z dziecinnym uśmiechem patrzył na Artura.

– Nie wiem, co odpowiedzieć – powiedział po chwili spłoszony tym spojrzeniem Artur. – Nigdy nie zajmowałem się psychoanalizą, nie miałem nawet zamiaru zostać takim psychiatrą, sądziłem, że laboratorium…

Vogel przerwał mu:

– Kolejnym argumentem za stosowaniem w tym przypadku psychoanalizy jest istnienie literatury próbującej opisać podobne zjawiska, przynajmniej z zewnątrz podobne. Choć bardzo często zajmowali się tym różni hochsztaplerzy i badacze duchów.

– A więc powinienem zacząć od początku. Od literatury – stwierdził Artur.

Vogel zapalił lampę, tak szybko się już ściemniało. Zapadła krótka cisza, która była jakby podsumowaniem gorączkowej rozmowy. Teraz Vogel wyciągnął z kieszeni fajkę i zaczął ją nabijać. Kiedy się zaciągnął, Arturowi wydało się, że siedzi przed nim zupełnie inny człowiek.

– Właściwie nie wiem, dlaczego tak mi zależy, żeby zajął się pan psychoanalizą – odezwał się profesor cichym, spokojnym głosem. – Może czuję w panu talent, a może pana polubiłem i chcę się podzielić tym, co uważam w moim zawodzie za najważniejsze – obcowanie z tajemnicą.

– Tak – powiedział Artur – to jest tajemnica. Kiedy się przyglądam tej dziewczynie, mam wrażenie, że ona balansuje na granicy dwóch światów. Pan to pewnie zna lepiej, widzi pan to u chorych… Ona najpierw jest tu, gdzie wszyscy, siedzi, mówi, śmieje się, a potem następuje moment… hm… wycofania się do wewnątrz i stamtąd jakby przejścia gdzie indziej…

– W świat duchów, w „inną rzeczywistość"; to się od razu nasuwa, prawda? Tak, tak, tak – powiedział Vogel – ludzki gatunek nie potrafi znieść niczego, co zbyt rzeczywiste. Fakt, że nie potrafimy czegoś zrozumieć, sprawia, że uciekamy zaraz w metafizykę.

Teraz odezwał się Löwe, który do tej pory tylko się przysłuchiwał:

– Tak, ja też mam takie wrażenie. Ona w jakimś emocjonalnym sensie znika, przestaje z nami być. Ale gdzie jest?

– To jest „tamten świat", Leo, ale pytanie dotyczy tego, czymże jest „tamten świat"? Nie mam wątpliwości, że w sytuacjach niezwykłych, jak na przykład szaleństwo, głęboko odczuwamy tę dwoistość. Ten świat staje się światem zwyczajnym, powszednim, który potrafimy zrozumieć i przez to nad nim zapanować. Tamten – jest daleki, trudny do pojęcia, antyintelektualny; jego wpływy są potężne i nieprzewidywalne. Jest pierwotny w stosunku do „tego" świata, jest naszą kolebką i naszą przyszłością. W tym sensie jest światem realnym, ten zaś, w którym żyjemy na co dzień, wydaje się przemijającą dekoracją, poczekalnią. Czy dobrze mówię?

– Wkroczyłeś w obszar religii, teologii, metafizyki czy czego tam jeszcze – powiedział doktor Löwe.

– To jest psychologia. My nie badamy świata, ale to, jak człowiek ten świat postrzega. Rzeczywistość psychiczną. – Vogel wypuścił kłąb aromatycznego dymu, który na chwilę spowił go szarym całunem. – Coś mi się przypomniało – powiedział. – W latach osiemdziesiątych, kiedy studiowałem w Berlinie, chodziłem na wykłady z historii. Prowadził je bardzo znany i bardzo wtedy już stary profesor, którego uwielbialiśmy. Jego wiedza, pomieszczona w trzęsącej się starczo głowie, była imponująca. Był na wpół ślepy, nic nie mógł już czytać, niedosłyszał. Pamiętam, że na jednym z wykładów mówił o Atenach z czasów Sokratesa. Z pamięci narysował na tablicy plan miasta z V wieku przed Chrystusem. Pokazywał, którymi uliczkami spacerował Platon z Fajdrosem i w jakim gaju przystanęli. Jego pamięć i niezwykła erudycja zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Wydawało mi się, że ten człowiek osiągnął prawie nadludzką sprawność intelektualną – odtworzył miasto z tak odległej przeszłości i jak żywe pokazał je studentom, w każdym szczególe! Gdy się go słuchało, miało się wrażenie, że on tam był. – Vogel przerwał, jakby odczuł na nowo tamto doznanie. – Po tym wykładzie po profesora przyszedł służący i jak dziecko wziął go łagodnie pod ramię. Jeden ze studentów powiedział mi wtedy, że profesor sam nie potrafi wrócić do domu. Ktoś, kto swobodnie spaceruje po Atenach, których już nie ma, jest kompletnie zagubiony we współczesnym Berlinie. Czy to nie przekonuje, że „tamten" świat znajduje się w nas, a nie w innych wymiarach, gdzieś poza nami, poza sklepieniem nieba? Dla profesora starożytne miasto było jego światem, tam przebywał. Berlin wydawał mu się złudzeniem… A wracając do naszej pacjentki, Arturze… Czymże jest to, co się manifestuje? Póki są to fenomeny psychiczne, kłopot jest mniejszy. Z literatury dotyczącej osobowości histerycznych znane są fenomeny fizykalne: głosy, odgłosy, błyski światła, ruchy przedmiotów. Także te bardziej wątpliwe, jak materializacje, ektoplazma i tym podobne… – Vogel mimo chłodu w gabinecie wytarł chusteczką spocone czoło. – Chyba będziesz mnie musiał zbadać, Leo. Musimy się umówić.

– A co ci jest?

– Chyba się przeziębiłem.

Doktor jednak chwycił go za rękę i zaczął badać puls.

– Skoro mnie już dorwał ten medyk, niech pan, Arturze, przejrzy tę małą biblioteczkę. Sądzę, że znajdzie pan coś dla siebie.

Artur podszedł do półek. Były tu podręczniki psychologii i, co wydało mu się niezwykłe, sporo książek z antropologii – kilka pierwszych tomów *Złotej gałęzi* Frazera, *Cywilizacja pierwotna* Taylora, a także sporo o mitologii, zarówno greckiej i rzymskiej, jak i germańskiej. Ale Artura zainteresowały bardziej książki medyczne. Wyciągnął Charcota i Janeta.

– A więc zaczynamy od hipnozy? – z nieoczekiwaną radością wgłosie zapytał go Vogel, badany teraz słuchawkami przez doktora Löwe. – Niech pan koniecznie weźmie te *Studien über Hysterie*. Od nich można by rozpocząć. Ma pan temat na niezwykłą pracę doktorską.

Notatki Artura Schatzmanna

Panna E.E., lat piętnaście, wyznania ewangelicko-augsburskiego. Ojciec to człowiek bardzo konkretny, można powiedzieć – przyziemny. Nie ma danych, że w rodzinie ojca występowały jakieś zaburzenia psychiczne czy niedorozwój.

Matka, Polka z pochodzenia, słabej konstrukcji psychicznej i delikatnej budowy fizycznej, cierpi na migreny i ataki nerwowości. Ojciec jej był ponoć dziwakiem, człowiekiem o wybujałej fantazji, jasnowidzem. Jego matka z kolei, jak informuje doktor L., miała w chwilach zdenerwowania zapadać w krótkotrwałe letargi. Rodzeństwo E.E., pięć sióstr i dwóch braci, normalne.

Panna E.E. jest delikatnej konstrukcji. Odznacza się rachityczną budową czaszki, z wysokim, wypukłym czołem i drobną szczęką. Oczy duże, bardzo jasne, o szczególnym wyrazie. W dzieciństwie nie przechodziła poważniejszych chorób ani urazów. Nie przejawia szczególnych uzdolnień, bywa do tego roztargniona, często nieobecna myślami. Inteligencja, jak się wydaje, bardzo przeciętna. Nie wykazuje talentów plastycznych czy muzycznych. Edukacja E.E. jest tylko dostateczna. Zna na pamięć kilka pieśni Schillera i Goethego oraz kilka urywków z Biblii. Mówi językiem o małym zasobie słownictwa.

Jeżeli chodzi o stosunki rodzinne, to państwu E. można postawić, jak się wydaje, wiele zarzutów co do wychowania dzieci. Z powodu licznego potomstwa nie poświęcano im zbyt wiele uwagi. Dzieci ucierpiały ponadto z powodu egoistycznej i infantylnej postawy matki. Ojciec, jako człowiek zajęty interesami, mało czasu poświęca dzieciom. Wyraźnie faworyzowany jest najmłodszy syn.

Do października 1908 roku nie zauważono u E.E. żadnych szczególnych odstępstw od normy.

Dziewczyna, będąc prawdopodobnie pod wpływem matki i starszej siostry, zainteresowała się spirytyzmem; w domu E. jakiś czas temu

organizowano seanse spirytystyczne. Mimo że E.E. nie brała w nich udziału, to jednak wychwyciła coś z otaczającej je atmosfery niezwykłości. W październiku wystąpiły pierwsze stany somnambuliczne. Za pierwszym razem E.E. niespodziewanie zbladła przy stole, po czym osunęła się powoli na podłogę, zemdlała. Nastąpił krótkotrwały stan katalepsji, po wyjściu z którego (pod okiem lekarza domowego) E.E. stwierdziła, że widziała przy stole stojącą postać. Opis tej postaci wzbudził zdumienie, ponieważ pani E. natychmiast rozpoznała w niej swojego nieżyjącego od siedemnastu lat ojca. Spowodowało to narastanie wokół E.E. atmosfery niesamowitości. Jej matka, mniemając, że w dziewczynce obudziły się talenty mediumiczne, postanowiła wciągnąć ją do uczestnictwa w domowym seansie spirytystycznym. Zorganizowano go w listopadzie. Według relacji osób tam obecnych (lekarz domowy, doktor L., oraz jedna z uczestniczek) E.E. bardzo szybko popadła w stan omdlenia. Na próby przeniesienia jej na sofę zareagowała ostro: „Nie dotykaj". Następnie zaczęła mówić niezwykłym dla niej językiem. Po pewnym czasie słowom towarzyszyły gesty, które zostały rozpoznane przez osoby uczestniczące w seansie jako należące do ich bliskich zmarłych. Kiedy zadawano jej pytania, odpowiadała sensownie. Po około trzydziestu minutach zarówno spontaniczne wypowiedzi, jak i odpowiedzi na zadawane pytania zaczęły następować po coraz to dłuższych momentach milczenia, aż wreszcie E.E. całkowicie zamilkła i sprawiała wrażenie śpiącej (stadium kataleptyczne?). Jej puls był bardzo słaby, ale regularny i o normalnej częstotliwości. Oddech lekki, powierzchowny.

Do domu rodziny E. zostałem wprowadzony w grudniu1908 roku przez moich krewnych i lekarza domowego w roli osoby zainteresowanej spirytyzmem. I chociaż rodzinie E. wiadomo było, że zajmuję się badaniami z dziedziny medycyny, to jednak między E.E. i mną nie mogła zaistnieć relacja pacjent – lekarz, z tego też powodu nie mogłem przeprowadzić wielu fizjologicznych badań; pozostawało mi oparcie się jedynie na obserwacji.

W mieszkaniu rodziny E. przywitała nas matka E.E. i wprowadziła do saloniku. Rozmawialiśmy przez pewien czas z pozostałymi gośćmi, oczekując na rozpoczęcie seansu. Przyprowadzona przez matkę

E.E. zachowuje się bardzo nieśmiało, ale naturalnie. Ponieważ jestem w tym towarzystwie nową osobą, wzbudzam jej wyraźne zainteresowanie.

SEANS I

Obecni siadają przy okrągłym stoliku, na którym leży przygotowana zawczasu planszeta z wyrysowanymi na niej literami i cyframi oraz filiżanka. Zebrani układają na stoliku dłonie w charakterystyczny sposób, tworząc łańcuch. Wchodzenie medium w trans trwa około kwadransa. Wreszcie E.E. nagle odchyla się do tyłu i zamknąwszy oczy, zasypia. Przez szczelinę między powiekami widać, że gałki oczne są wywrócone do góry. Oddech staje się równy, prawie niezauważalny. Taki stan trwa około dziesięciu minut, po czym E.E. przenosi dłonie na filiżankę, ręce innych dołączają do niej. Po chwili filiżanka zaczyna się poruszać, najpierw bardzo wolno, potem coraz szybciej, aż w końcu obecni mają trudności z czytaniem. Z odczytywanych liter wynika, że oto zjawił się „duch" widziany poprzednio przez E.E., jej przewodnik. Wypowiada (przez planszetę) kilka banalnych, religijnie budujących zdań. Jedna z uczestniczek seansu prosi o sprowadzenie „ducha" jej zmarłego przed półrokiem męża. Następuje kilka minut bezruchu i milczenia. Nagle coś zmienia się w twarzy E.E. Staje się ona woskowo blada, a oddech robi się głębszy i wyraźniejszy. Zaniepokojony lekarz domowy mierzy E.E. puls. E.E. nie reaguje na dotknięcia, a puls okazuje się przyśpieszony. Głowa medium opada do tyłu, ciało sztywnieje. Łańcuch rąk na stole zostaje przerwany. Z ust E.E. pada kilka charczących, niezrozumiałych słów. Jedna z obecnych osób pyta: „Kim jesteś?". E.E. odpowiada po chwili głosem swoim, ale powolnym i namaszczonym, że jest właśnie tym przywołanym „duchem". „Duch" zwraca się do bliskiej osoby z nieoczekiwaną poufałością, na wszelkie pytania odpowiada jednak niedokładnie i wymijająco. Na koniec wygłasza kilka zdań dotyczących konieczności życia w miłości i modlitwie.

Następnie pojawia się inny „duch", przedstawia się jako „Koloman" i wypowiada się na temat upadku obyczajów, moralności. Karą ma być trzęsienie ziemi we Włoszech, w czasie którego zginie wielu ludzi.

Następuje długie milczenie. Potem zjawia się duch-przewodnik i każe kończyć seans ze względu na zmęczenie medium.

E.E. szybko wychodzi z transu. Jest blada, chwieje się na nogach. Matka wyprowadza ją z salonu.

Bliźniaczki

Po Bożym Narodzeniu uznano widocznie, że Erna jest już zdrowa, bo musiała wrócić do swojego pokoju, który dzieliła z Bertą i Marie. Ale starsze siostry nadal traktowały ją jak osobę chorą: z pełną szacunku troskliwością i ostrożnym dystansem.

– Droga Erno, czy nie miałabyś nic przeciwko temu, żeby… – mówiły za każdym razem, gdy chciały otworzyć okno, poczytać w łóżku, pograć w chińczyka. Milkły, gdy wchodziła, a potem udawały, że ciągną dalej rozmowę, jak gdyby nigdy nic. Erna czuła ich brak swobody i to właśnie spinało ją najbardziej. Krępowało ją, że krępuje innych. Nie miała jednak dość siły, żeby przedzierać się przez te zasłony. Przez większą część dnia czuła się zmęczona. Godzinami potrafiła wpatrywać się w jeden punkt na ścianie. Na pamięć znała wszystkie nierówności sufitu. Rzadko odzywała się pierwsza. Udając, że śpi, podsłuchiwała rano, jak opowiadały sobie sny. Wolała słuchać ich snów niż z nimi rozmawiać. Lubiła zwłaszcza sny Berty, w których zawsze pojawiał się jej narzeczony, Eryk. Były w nich małe kotki, jeziora, domy z otwartymi oknami, kwiaty i kolory. Marie zaś śniła same głupstwa, niczym ze sobą nie połączone, bezbarwne, nudne. Jakieś pierścionki, zakupy, zguby, drobne zdarzenia. Na dodatek opowiadała je bez ładu i składu. Leżącej z zamkniętymi oczami Ernie wydawało się, że przynajmniej lepiej niż siostra potrafiłaby opowiedzieć te sny. Ale one jej nigdy o sny nie pytały. Cały swój wolny czas poświęcały robieniu porządków w szafach i szufladach bieliźniarki. Przekładały swoje stroje z miejsca na miejsce, przymierzając je przy tym i pożyczając je sobie nawzajem. Oglądały też pisma kobiece, najczęściej te już zupełnie nieaktualne, które wyleżały się na stoliku w salonie. Pełna pomysłów Berta potrafiła na wzór rysunków z tych pism udrapować na Marie prześcieradło czy kapę i kazała jej przechadzać się na palcach przed lustrem w drzwiach szafy.

– Bon, très bien – powtarzała Marie, chodząc w tę i z powrotem i naśladując akcent nauczycielki francuskiego. Berta uspokajała ją bez przekonania, rzucając niepewne spojrzenia na Ernę. Dyskutowały też zawzięcie o kapeluszach z futrzaną bordiurą i o rodzajach modnego aksamitu. Nie nudziły się ze sobą. Erna czasem próbowała się wkupić w ich łaski. Dawała im się czesać i głośno zachwycała się dziwacznymi fryzurami, jakie tworzyły z jej marnych kosmyków.

Erna czuła się o wiele lepiej w pokoju bliźniaczek i małej Liny. Była tam zawsze pełna szelestów cisza, nic z tego gwaru, jaki robiły młode kobiety.

Pokój młodszych dziewczynek mieścił się w drugim końcu korytarza, naprzeciwko pokoju chłopców. Bliźniaczki mieszkały z Liną, która w ich obecności stawała się smutna i płaczliwa. Traktowały Linę jak wroga, choć tak głupiutkiego, że aż niegroźnego. Ich walka z nią polegała na wiecznym dokuczaniu, złośliwościach, drobnych prześladowaniach, takich jak włożenie pod kołdrę pająka czy wywrócenie nocą ubrania na lewą stronę. Wojna była prowadzona tylko w pokoju, poza nim spontanicznie następowało zawieszenie broni. Dlatego mała Lina często szukała pomocy i towarzystwa starszych, a wtedy bliźniaczki osiągały to, o co im chodziło: miały cały pokój dla siebie.

Wyciągały spod szafy swoje oklejone kolorowymi papierami pudełka, grzebały w nich i zamieniały się ich zawartością.

Katharine i Christine mogłyby być jedną osobą, która przyjęła dwie postaci tylko po to, żeby móc więcej poznać, zdziałać, zobaczyć, posmakować. Ich ciekawość, pragnienie dotykania, sprawdzania, doświadczania nie dało się zaspokoić. Szperały nawet w biurku ojca, w kuchennych szufladach kredensu, w szafach na stare rzeczy, w koszu z zakupami z targu. Wyciągały stamtąd rzeczy niezauważalne dla innych, przeoczone przez dorosłych z powodu ich niepozorności czy nikłej wartości: fragment fotografii, na której widać męskie buty, ułamany klucz zakończony kształtem dłoni, guzik z orłem, stare nasiona jakiejś rośliny zawinięte w pożółkłą gazetę, druciany kolczyk bez oczka, gałkę od drzwiczek szafki, kłębek brudnych nici. Znosiły to wszystko do siebie i trzymały w swoich pudełkach. Wierzyły, że każda taka rzecz jest osobnym światem, który ma swoją własną siłę i magiczne znaczenie. Czytały baśnie

i uczyły się z nich czarować. Nauczyły się robić magiczny krąg, który oddzielał je od Liny i innych intruzów.

Zeszłej wiosny zdarzył się wypadek, który przekonał je, że są potężne.

Gdy tylko słońce zaczęło docierać w kwietniu do ich okna, przesiadywały całe godziny na szerokim parapecie, rzucając lusterkiem zajączki – prosto w oczy podwórzowych kotów, które wygrzewały się na dachu pralni. Zajączek zaczepiał też przechodzących mężczyzn i odbijał się od szyb. Potem dziewczynki zrezygnowały ze straszenia kotów i złapanym w lusterko słońcem oświetlały wnętrza mieszkań w oficynie, w których pootwierano okna. Na drugim piętrze mieszkała samotna nauczycielka muzyki. Kiedy jej okno było otwarte, dochodziły stamtąd monotonnie ćwiczone na pianinie gamy. Uporczywie niedoskonałe, odbijały się od ścian podwórka i jeszcze bardziej pokiereszowane wznosiły w niebo. Czasem, gdy firanki nie były dokładnie zaciągnięte lub gdy podwiewał je wiatr, dziewczynki widziały skromny pokój z niewielką liczbą mebli i jasnym pianinem stojącym pod przeciwległą ścianą. Sama panna nauczycielka rzadko podchodziła do okna i rzadko wychodziła na zewnątrz. Jeszcze rzadziej płynęła stamtąd inna muzyka niż nie kończące się etiudy, a i ona nie była nigdy doskonała. Załamywała się na jakimś fałszywym dźwięku i milkła na całe dnie. Refleks światła z lusterka dziewczynek wpadał ostrą, prawie materialną wiązką do tego wnętrza, ukazując fragmenty mebli i drażniąc ich właścicielkę. Któregoś południa zatrzymał się na jej bladej, nieruchomej twarzy. Bliźniaczki cieszyły się zawsze z figla, jaki płatały nauczycielce muzyki, ale tym razem ona nie zmrużyła oczu, nie odwróciła głowy, nie podniosła, zagniewana, ręki do twarzy. Poruszały z satysfakcją zajączkiem światła, chcąc wywołać jakąkolwiek reakcję. W końcu zrozumiały, że twarz nauczycielki jest martwa.

Nikomu nie powiedziały o tym odkryciu, jakby ich zabawa plamką światła mogła mieć związek z tą śmiercią. Popatrzyły na siebie i wróciły do grzebania w swoich pudełkach. Po południu przyjechała policja i doktor z czarną torbą. Dziewczynki widziały, jak szli przez podwórko. Nauczycielka powiesiła się na żyrandolu.

– Mogę u was posiedzieć? – zapytała je Erna, podchodząc do okna. Widok z niego był taki sam jak z jej pokoju. Bliźniaczki nie odpowiedziały

od razu. Porozumiały się wzrokiem i przez chwilę zajęte były zbieraniem czegoś z podłogi.

– Pozwolimy ci, ale pod pewnym warunkiem – zaczęła Katharine. – Że nam opowiesz o duchach.

– Nie – powiedziała Erna.

– Więc dobrze, zostań – bliźniaczki znowu popatrzyły na siebie, kończąc zbierać rozsypane na podłodze koraliki. Erna przyglądała się im kątem oka. Ich rytmiczna ruchliwość i milczenie (ponoć bliźniakom słowa są niepotrzebne) wpływały na nią kojąco. Sunęła za nimi wzrokiem coraz bardziej ciężkim i sennym; czuła ten ich ruch we własnym ciele – przyjemny dreszcz, ślina napływająca do ust i fizyczna błogość. Dziewczynki zebrały korale; jedna z nich wspięła się na krzesło i sięgnęła na półkę, gdzie stało oklejone ciemnym papierem pudełko. Ściągnęła je i postawiła na podłodze. Teraz zasłoniły je sobą przed Erną. Słyszała szeleszczenie, przesuwanie, otwieranie i zamykanie tekturowego wieczka. Przesypywały koraliki z dłoni w dłoń, a potem nagle – bum, bum – szklane paciorki zabębniły o dno. Dziewczynki coś poszeptały między sobą i Katharine otworzyła szufladę komódki. Po kolei wyciągała wstążki i pokazywała je siostrze. Wybrały jasnoniebieską i tą przewiązały pudełko. Teraz, zerkając na Ernę, włożyły je na dół szafy.

Erna patrzyła na nie bez ciekawości. Widok ich namaszczonych, pełnych powagi ruchów uspokajał ją. Patrzyła, jak grzebały w tych swoich szufladkach, jak przekładały jakieś papierowe torebki, woreczki po naftalinie wypełnione Bóg wie czym, jakieś ramki, bezwłose szczoteczki. Nagle jedna z nich, Erna nie wiedziała która, zaśmiała się krótko i schowała coś szybko do kieszeni. Ich rozbawione spojrzenia spotkały się ze wzrokiem Erny. Dziewczynki zastygły na chwilę, jakby czekając na jej reakcję, a gdy ona o nic nie zapytała, znowu zaczęły to swoje grzebanie.

Za jakiś czas drzwi się otworzyły i do pokoju weszła mała Lina.

– Obiad – powiedziała. – Macie iść na obiad.

– Powinnaś zapukać, kiedy chcesz wejść – skarciła ją Christine.

– One są niemożliwe – wybuchła Lina, patrząc z nadzieją na Ernę.

Erna bez słowa wzięła ją za rękę i poszły do jadalni.

Było jej żal małej Liny. Po obiedzie zawarła z nią układ: na dzień oddawała jej do dyspozycji swoje łóżko i swoje terytorium w pokoju dzielonym z Bertą i Marie. Lina powoli zaczęła przenosić tam swoje zabawki i książeczki. Tym sposobem Erna uzyskała prawo przebywania w pokoju bliźniaczek. Katharine i Christine nie zareagowały, udawały, że nic się nie stało. Z czasem zaczęły jej dawać swoje rysunki i prosić o pomoc w lekcjach. Pod koniec stycznia Erna uzyskała oficjalną zgodę matki na zmianę pokoju. Zamieszkała z bliźniaczkami.

W lutym czy marcu, gdy seanse stały się częstsze i bardziej wyczerpujące, bliźniaczki zaintrygowane niespokojnym snem Erny zaproponowały, że będą trzymać przy niej wartę w nocy. Zdziwiona Erna nie zgodziła się. Nie mogłaby spać, wiedząc, że ktoś przy niej siedzi.

– Wiemy, co ci się śni – powiedziała jakiś czas później Katharine. – Zaglądamy w twoje sny lusterkiem, ale nie po to, żeby cię podglądać czy śledzić, tylko żeby wiedzieć, co się dzieje…

Po jednym z seansów, gdy osłabiona Erna leżała w dawnym łóżku Liny, obłożyły ją szarym papierem, a kiedy uznały, że „nasiąkł", zaniosły go uroczyście do spalenia. Erna rzeczywiście poczuła się lepiej. Na zelówkach jej butów rysowały kredkami krzyżyki, wkładały jej do kieszeni muszle i kasztany, których całe pudełko trzymały pod szafą. Rysowały wokół jej posłania niewidzialne kręgi. Ale potem przyszedł czas, że to Erna musiała zaopiekować się nimi, kiedy nagle obie zachorowały na szkarlatynę. Miały wysoką gorączkę i doktor Löwe kazał zawijać je w mokre prześcieradła. Pani Eltzner płakała całą noc, ale rano okazało się, że nastąpiło przesilenie. Erna siedziała przy ich łóżku, czytając im mechanicznie bajki braci Grimm.

– Opowiedz nam lepiej o duchach – poprosiła Christine z takim błaganiem w oczach, że Erna odłożyła książkę.

– Przecież widzicie je w swoim lusterku.

– Ach, nie – powiedziała Christine. – My tylko wiemy, że one tam są, ale nie widzimy ich… Ty je widzisz.

Erna zmyślała. Mówiła, że duchy są białe, przezroczyste i że poruszają się płynnie jak dym. Ale przecież tego też nie wiedziała, nawet nie była pewna, czy to, co czasem widuje, ma coś wspólnego z takimi duchami. Zresztą gdyby nawet miało, jak mogłaby to opowiedzieć? Powtarzała więc,

co słyszała o duchach od sióstr, matki, koleżanek, Frommera, że przechodzą przez ściany, stukają, czasem nawet dotykają obecnych na seansie…

– Jak one to robią? Jak przechodzą przez ściany? – oczy dziewczynek błyszczały z gorączki i z ciekawości.

– Nie wiem, może po prostu przepływają przez przeszkody, tak jak my przepływamy przez wodę.

– Dlaczego więc nie spadają na dół, do sąsiadów?

– Może są tam, gdzie chcą. Potrafią też poruszać przedmiotami.

– Erna, ty kłamiesz, one nie są takie, one są dużo straszniejsze. Powiedz, kim one są i czego chcą od nas?

– To są dusze zmarłych. Przychodzą do nas, żeby nam powiedzieć, jak tam jest.

– A gdzie się jest, jak się umrze? W piekle? W niebie?

– Chyba jeszcze gdzie indziej.

– Czy to jest jakaś kraina?

– Tak, to jest kraj, gdzie wszystko zrobione jest z cienia. Zamiast lampy jest tylko cień lampy, zamiast stołu cień stołu…

– Czy na takim stole można postawić filiżankę?

– Można postawić cień filiżanki.

– Aha – powiedziały razem, jakby nagle wszystko zrozumiały.

Obecność niezwykłej siostry podsycała wyobraźnię dziewczynek. Czuły, że jest inna. Snuła się w milczeniu po domu, nigdy nie odzywała się pierwsza, nie chciała rozmawiać, jęczała przez sen, a czasem w nocy siadała na łóżku i mówiła coś bez ładu i składu. Kiedyś powiedziała: „Nucąc, pląsają na mchu”, a kiedy indziej powtarzała: „Chłopcze, chłopcze”. Zapisały to na kartkach, które schowały w pudełku. Zazdrościły jej. Matka sama przebierała ją do seansu, schodzili się ludzie, pytano o jej zdrowie. Uczył ją pan Frommer, a Erna nie chciała mówić, o czym z nim rozmawia. Bliźniaczki traktowały ją jak księżniczkę, jak świętą. Dlatego oddały jej swoją część słodyczy i orzechów, które dostały na święta. Próbowały ją oswoić i zjednać sobie jak bożka.

Podarowały jej także lusterko, to samo, którym odkryły martwą nauczycielkę muzyki. Wręczyły je zawinięte w bibułkę.

– To lusterko pozwala zobaczyć więcej – powiedziała Christine.

Erna odwinęła je i przyglądała się najpierw damie w kwiecistym kapeluszu na odwrocie, a potem sobie. Zobaczyła czerwone krostki na czole i wzbudziło to w niej jakąś niechęć. Potem obejrzała swój nos, który wydał się jej zbyt wydatny. Usta – zbyt małe, jak narysowana kreseczka. Coś było w tym widoku takiego, że Erna poczuła się smutna i rozbita, schowała lusterko do kieszeni sukienki i nie wyjmowała go przez kilka dni.

Teresa Frommer

Teresa Frommer płakała. Łzy spływały po jej drobniutkiej, zasuszonej twarzy i wpadały za kołnierzyk czarnej sukni. Łaskotały jak pieszczota.

Usłyszała kroki brata w korytarzu i szybko wytarła nos rękawem. Przypomniało jej się wtedy, że babka naszywała im na mankietach guziki, żeby oduczyć ich tego nieeleganckiego gestu. Zatęskniła za przeszłością tak intensywnie, że aż poczuła ból w piersiach. Łzy popłynęły znowu, tym razem jeszcze obficiej.

Odwróciła się od drzwi i udawała, że coś robi przy stole. Długie palce drżały.

– Tereso, wiesz, że będę musiał wyjść. Jest moim obowiązkiem zająć się Erną. Jeżeli ja tego nie zrobię, przechwycą ją psychiatrzy i rozhisteryzowane panie.

Nie odpowiedziała. Stali bez ruchu w chłodnej, za dużej na ich potrzeby kuchni. Nawet nie spojrzeli na siebie.

– Ona ma dar, ten sam, który ty straciłaś – powiedział wreszcie Frommer. – Wtedy nic nie mogłem zrobić, bo byłem dzieckiem. Ją mogę uchronić.

– Chciałabym umrzeć.

– Bzdura – rzucił Frommer. – Chciałabyś umrzeć dlatego, że zostajesz sama w domu? Tak, to rzeczywiście wystarczający powód do śmierci.

Łzy znowu potoczyły się po drobnej twarzy Teresy.

– Proszę cię, zostań dzisiaj w domu. Będziemy sobie siedzieć w salonie, zagramy w wista, zrobię suflet z jabłkami…

– Nie – powiedział krótko Frommer i wyszedł do przedpokoju.

Nie podała mu kapelusza ani palta. Stała przy stole, zbierając okruszki chleba na małą kupkę. Potem usłyszała trzaśnięcie drzwi. Znowu została sama.

W kuchni zaczęło się robić ciemno. Czas gęstniał, zwalniał bieg, zastygał, więżąc w sobie Teresę na długie godziny, aż przyjdzie jej brat i ją uwolni. Nie miała teraz innego wyjścia. Musiała znowu przypominać sobie to, co się wydarzyło i czego nie można było zmienić.

Zobaczyła więc Rainera pochylonego nad nią w pokoju, gdzie dawno, dawno temu wywoływano duchy. Jej ciało doskonale pamiętało tamten dotyk i uczucie utraty wszelkiej kontroli, zupełnie jak wtedy, gdy miał nadejść atak. Teraz, zawsze w tym samym miejscu wspomnień, zjawiał się wstyd, który przesłaniał wszystko inne. Dręczące, bolesne uczucie, bez którego Teresa nie mogła już żyć. Musiała coś zrobić, coś głośno powiedzieć, żeby pozwolić myślom płynąć dalej. Musiała przebiec jak najszybciej ten moment, kiedy Rainer zsunął się z niej i zapinał spodnie, a ona nie mogła wstać, zaplątana w swoje halki i okręcone wokół kostek długie batystowe majtki. Teresa Frommer widziała tamtą siebie z boku. Nie mogła nie patrzeć, bo obraz, który się przed nią rozwijał, był ośrodkiem jej życia. Stawała z boku i czuła tylko pogardę, lecz gdy pozwalała sobie być tam, na kanapie, w tej śmiesznej pozycji, ogarniała ją jakaś wstydliwa radość. Czuła jedno i drugie. Nie była pewna, czy ma jeszcze z tą radością coś wspólnego, czy to była ona i czy ten mężczyzna zapinający spodnie był Rainerem, czy może to wszystko jej się wczoraj śniło?

Zburzyła palcem kupkę z okruchów chleba i zimnym korytarzem poszła do pokoju, który był ich bawialnią. Usiadła w swoim fotelu, niezmiennie od wielu lat odwróconym do okna. Była senna i zmęczona. Pomyślała, że chciałaby umieć widzieć przez te kilometry powietrza, poprzez tę całą przestrzeń rozpostartą między ludźmi. Chciałaby, żeby jej wzrok umiał wędrować. Poszedłby teraz za Walterem, który sunął ulicami Starego Miasta, a potem wypłynąłby za Wrocław i nad polami leciałby na południe, gdzie Rainer może poza czasem wciąż jeszcze hodował swoje pajęczaki.

Wyobrażając to sobie, Teresa czuła obok siebie nie twarz, nie głos, ale samo ciało, które jest ciepłe i ma zapach. Wszystko zamazywało się, tylko nie ciało i zapach. Czy on ją wspominał? Potem przychodziła myśl, że przecież on nie żyje i jej wędrujący po świecie wzrok nie odnalazłby już Rainera. Wtedy właśnie najbardziej chciała umrzeć i być tylko wzrokiem, który bez bólu i tęsknoty podąża za tymi, których kocha.

Teresa zamknęła oczy i zobaczyła ciemny dym. Snuł się gdzieś głęboko nad wodą, nad studnią, którą teraz była. „Śpij – powiedział jej brat – i nie myśl o tym. Myślenie odbiera siłę". Usypiała, bo zdarzenia, wokół których wirowało jej życie, już nie istniały. Musiała odtwarzać je, tworzyć na nowo, a to męczyło i tak słaby umysł. Obrazy i zdarzenia o naturze dmuchawca delikatnie mamiły zamierające zmysły. W pokoju mrok gęstniał wokół niej, cisza stawała się taflą zimnego lodu. Poruszyły się zasłony i światło latarń z ulicy przygasło. Na krześle przy stole usiadła matka i przyglądała się jej wzrokiem uważnym, wyczekującym, pełnym zrozumienia.

Walter Frommer

Walter Frommer nie pozwalał sobie na złość i dlatego, idąc szybkim krokiem przez Ritterplatz, starał się nie myśleć o siostrze. Nie mógł się już doczekać, kiedy znajdzie się w ciepłym, pełnym ruchu mieszkaniu Eltznerów. Wcale nie spieszył się do Erny, bo Erna była dla niego jak praca, ważna i budząca poczucie obowiązku, może nawet posłannictwa, ale i tak praca. Spieszył się do pani Eltzner. Gdy jednak o niej pomyślał, zwolnił kroku. Serce Waltera Frommera nie miało w zwyczaju bić szybciej, teraz jednak biło i Frommer zanotował ten fakt ze zdziwieniem. W jego życiu w ostatnim czasie zaczęły się rzeczy nowe i nieoczekiwane. Pojawiały się jakieś przeczucia, niepokoje, radosne uniesienia i nieoczekiwane smutki. Kilka razy zapomniał o czymś ważnym w pracy, co mu się nigdy dotychczas nie zdarzyło. Któregoś dnia tak szybko i tak nieuważnie szedł po schodach, że po raz pierwszy od wielu lat nie doświadczył przejmującego lęku wysokości. Ale Frommer nie chciał widzieć żadnych zmian, bo nienawidził zmian. Swoje rozkojarzenie wolał przypisać czemu innemu: zajmującym wykładom, których udzielał Ernie, smutkowi siostry, nawet wydarzeniom na świecie.

Stawiał długie kroki i gonił swoje uciekające myśli, nie zdając sobie sprawy, że przygląda się oświetlonym wystawom sklepów. Przystanął, gdy na wystawie galanteryjnego sklepu Krakauera zobaczył damskie rękawiczki. Jedne z nich były z ciemnozielonej koronki we wzór z małych różyczek. Wyglądały bardzo elegancko, nadawały się na wieczór. Frommer przez chwilę ujrzał w nich drobną, pulchną dłoń pani Eltzner. Ale natychmiast przywołał siebie do porządku i ruszył wprost do domu Eltznerów.

Kilka wykładów dotyczyło mediów. Frommer z satysfakcją zauważył, że interesują one Ernę bardziej niż inne. Wygłaszał je z olbrzymim zaangażowaniem, sprawiając nawet wrażenie, że osobiście zna te wszystkie słynne osoby.

Zaczynał od życiorysu każdego medium, a specjalnie dla Erny podkreślał lata dziecięce, wymyślał scenki z ich życia. Kobiety media w jego opowieściach stawały się świętymi dziewicami, a tropiący je dziennikarze, naukowcy i inni sceptycy zamieniali się w pogan lub szatańskich smoków. Mężczyźni tacy jak Home, pogromca siły ciążenia, swą niezmierną uczciwością i szczerością przypominali świętego Franciszka. Frommer tworzył dla Erny swoiste żywoty świętych. Święty Douglas Home, święta Eusapia Palladino, święta Florence Cook, święta Leonora Piper.

Jednocześnie ci nowi święci byli wzruszająco zwyczajni: jedli, pili, mieli rodziny. Wcale nie żyli nieustannie w świecie duchów. Spali dobrze i długo, choć może czasem miewali skłonności do somnambulizmu. Nie wszyscy nawet popadali w trans, niektórzy z nich bowiem kontaktowali się z tamtym światem na jawie. W tworzone przez siebie fabuły Frommer wplatał wiele informacji, które według niego potrzebne były Ernie. Po pierwsze, czym jest trans, co się dzieje wtedy z medium, w jaki sposób duchy się manifestują.

Erna słuchała uważnie. Jej oczy rozszerzały się jak u dziecka, które słucha baśni. Czasami miała nawet na końcu języka jakieś pytanie, ale nie śmiała przerywać Frommerowi, a pytania nie zadane odpływały w mrok pokoju i już nie wracały.

Tego dnia Frommer mówił o zjawiskach parafizycznych produkowanych przez wielkie media. Od gaszenia lamp i poruszania drobnymi przedmiotami, poprzez dźwięki, zjawiska świetlne, aż do tajemnic ektoplazmy i pojawiania się zjaw.

– Ale – zastrzegł się zaraz – zjawiska takie wcale nie muszą występować i zależą od typu medium. Często jednak występują.

Erna słyszała w jego głosie żal.

Opowiadał o tych wszystkich unoszących się nożyczkach, lewitujących stolikach, rozbłyskach światełek, które Erna wyobrażała sobie zupełnie jak promienie Ducha Świętego z widzianego kiedyś obrazu. Mówił o rozmawiających zjawach, takich jak zjawa Katie King, zmaterializowana przez medium Florence Cook, albo o unoszących się chmurach ektoplazmy, które zamieniały się w kształty dłoni, w twarze oderwane od tułowia, białe postaci. Pokazał nawet Ernie zdjęcia z opracowania Crookesa.

– Czy mógłby mi pan pożyczyć tę książkę? – poprosiła Erna.

– Jest po angielsku.

Erna była zawiedziona.

– Kim one są, te zjawy? Czy to dusze zmarłych?

– To różnie bywa, Erno. Mówiłem ci kiedyś, że w jakiś czas po śmierci dusza wciela się w nowe ciało i rodzi się na nowo do życia materialnego. Czasem trwa to dłużej, czasem krócej. Dusze te mogą się tu pojawiać, ale czasem także pojawiają się dusze zgubione, które nie wiedzą, kim są, i które podają się za naszych bliskich czy postaci historyczne. Zmyślają wtedy i kłamią. Nie wiadomo, dlaczego przychodzą, choć nikt ich nie wołał. Zdarza się, że niektóre z nich nawet nie wiedzą, że już nie żyją w ciele, nie wiedzą, gdzie są i co się z nimi dzieje. Stanowią dla medium niebezpieczeństwo, bo chcą używać jego życiowej energii. Dlatego ktoś zawsze musi czuwać w czasie transu nad medium.

Frommer zamilkł, jakby się wystraszył, że powiedział za dużo.

– Czy nie czas już kończyć na dzisiaj? Mama pewnie czeka z kolacją – powiedział po chwili.

Erna nie odpowiedziała. Siedziała sztywno na kanapie, tam gdzie zwykle siadywała jej matka. Frommer czuł na sobie jej wzrok, choć nie widział szczegółów twarzy. W salonie zrobiło się prawie zupełnie ciemno.

– Proszę mi powiedzieć, czy pan także uważa, że jestem chora?

– Chora? – zdziwił się Frommer, zbierając po omacku swoje papiery ze stolika. – A kto uważa, że jesteś chora?

– No… doktor, mama…

Frommer uśmiechnął się do siebie.

– Mama na pewno tak nie uważa. Może doktor, ale czyż lekarze nie widzą wokół siebie tylko chorób? To ich zawodowe zwichnięcie.

Erna wstała i ruszyła do drzwi. Przed drzwiami zatrzymała się jeszcze i odwróciła do Frommera, jakby chciała o coś zapytać.

– Nie jesteś chora, Erno – powiedział Frommer i zapalił lampę, nie mogąc się już doczekać, kiedy przyjdzie pani Eltzner.

Pani Eltzner

– Wiem, że nie opowiada się snu dwa razy, ale panu muszę go opowiedzieć – powiedziała pani Eltzner Frommerowi, gdy po wykładzie siedzieli w salonie.

– Komu go przedtem pani opowiedziała? Mężowi?

– Tak, mężowi. I żałuję, bo on nigdy mnie uważnie nie słucha. Sny go nudzą, sam nigdy nie śni. Śpi na wznak, o tak – pani Eltzner zamknęła oczy i złożyła ręce na piersiach. – Jakby leżał w trumnie… Więc śniło mi się, że szłam przez piękną łąkę. Kwitnące trawy sięgały mi do pasa. Wyciągałam rękę i zrywałam kłosy. Wybierałam te, które były najdorodniejsze, największe, przejrzałe. Potem jednak uświadomiłam sobie, że niszczę coś, co żyje. I co było dziwne, dopiero teraz poczułam satysfakcję. Wybierałam kłosy z rozmysłem, sięgałam nawet po te małe, niedojrzałe. Czułam, że to jakaś konieczność, że wykonuję zapisane gdzieś wysoko wyroki. Nawet zamknęłam oczy, żeby być bardziej sprawiedliwą. Przestałam czuć przyjemność, zrobiło mi się potwornie ciężko, że muszę to robić. Ale wiedziałam, że nie mogę przestać. – Pani Eltzner umilkła i zamknęła oczy. – Byłam śmiercią, Walterze.

Frommer zaprzeczył ruchem głowy.

– Pani śmiercią? Przecież urodziła pani ośmioro dzieci, utrzymuje pani przy życiu tyle kochających panią osób. To musiało znaczyć coś innego.

– Niech więc pan powie, co to było. Może ktoś umrze przeze mnie. O Boże! – pani Eltzner zakryła dłonią usta.

Ujął tę dłoń i pocałował.

– Jest pani czystym życiem, płynnym, zmiennym, nieoczekiwanym w swoich przemianach. Ma pani w sobie tyle energii, radości. Organizuje codzienność, myśli o wszystkim, skupia wokół siebie innych…

Twarz pani Eltzner zaróżowiła się. Delikatnie oswobodziła rękę i wstała. Frommer umilkł, jakby zawstydził się tego, co powiedział. Sięgnął

po filiżankę z wystygłą herbatą ziołową. Oboje nagle zapragnęli zmienić temat. Jednocześnie odezwali się i nawzajem się nie zrozumieli. Śmiech pani Eltzner rozładował napiętą sytuację; usiadła z powrotem na kanapie.

– Walterze, powinniśmy coś zrobić, powinniśmy pogłębić jakoś te seanse. Ostatnio cały czas jest tak samo. Erna jakby zatrzymała się. Nic się nie zmienia – powiedziała z żalem.

– Co by się mogło zmienić? Ona nie ma na to wpływu… Czy nie przepowiadała przyszłości? Nie mówiła o kataklizmie?

Pani Eltzner machnęła zniecierpliwiona ręką, tą samą, którą Walter Frommer przed chwilą dotykał swymi ustami.

– Teraz wszyscy o tym mówią. Na takich seansach pojawiają się przecież różne fenomeny… Skoro ona jest według pańskiej opinii świetnym medium, to dlaczego nic się nie dzieje? Mam na myśli zjawy, głosy… – pani Eltzner splotła mocno dłonie, aż zbielały jej kostki. – Walterze, czy nigdy nie przyszło panu do głowy, że ona udaje? – zapytała z widocznym napięciem.

Frommer wstał z kanapy, na której oboje dryfowali przez ciemniejący wieczór.

– To niebezpieczne myśli, to myśli, które mogą zniszczyć tę i tak kruchą równowagę Erny. Można jej nie wierzyć, ale okazać jej jakiekolwiek wątpliwości to zniszczyć wszystko.

Pani Eltzner przeciągnęła dłońmi po twarzy. Wydawała się teraz zmęczona.

– Miała dziwny sen. Zapisuje je dla młodego Schatzmanna. Proszę to przeczytać – pani Eltzner podała Frommerowi mały kajecik obłożony w kremowy papier w ptaszki.

Na pierwszej kartce było wypisane imię i nazwisko Erny, a pod spodem pismem pełnym zawijasów, choć nieporadnym, wykaligrafowany tytuł: SNY. Frommer przewrócił kartkę i głośno przeczytał:

„29 stycznia 1909 roku. Śniła mi się noc i że byłam nad morzem. Morze było ciemne i ciepłe. Zaczęłam wchodzić do niego z dużym dzbanem, żeby nabrać wody, i zobaczyłam, że w wodzie odbija się piękny, okrągły księżyc. Kiedy przyjrzałam się bliżej, uznałam, że wcale to nie jest odbicie, ale że drugi prawdziwy księżyc istnieje pod wodą. Potem ten drugi księżyc

zaczął się wynurzać i wszedł na niebo obok tego prawdziwego. Nabrałam wody, ale dzbanek pękł i woda wylała się do morza".

– To piękne – mruknął Frommer. – Księżyc jest symbolem duszy. Grecy uważali, że na nim mieszkają dusze zmarłych dobrych ludzi. Albo uważało się, że jest statkiem wiozącym dusze zmarłych.

Przewrócił kilka kartek zapisanych dziecięcym jeszcze pismem Erny.

– Proszę przeczytać ten ostatni. Jest najdłuższy:

„Śnił mi się dom, który skądś znałam. Było tam moje mieszkanie, które przyszłam obejrzeć z mamusią. Ale mama gdzieś się zapodziała. Wchodzę najpierw do kuchni, gdzie jest mnóstwo zakurzonych, starych sprzętów. Wygląda to tak, jakby ktoś się wyprowadzał stąd w wielkim pośpiechu. Idę dalej i wchodzę do gabinetu. Na biurku leżą papiery, które sobie przeglądam. Jest tam list: «Pastor był już gotowy, teraz na mnie kolej. Idę za nim». W podpisie jest jakieś kobiece imię, ale nie pamiętam jakie. Myślę sobie w tym śnie, że ten pastor i ta kobieta musieli być poprzednimi mieszkańcami domu. Idę dalej, do sypialni. Jest całkowicie pusta i cicha. Podoba mi się. I już myślę, że to koniec, ale widzę jeszcze jakieś drzwi. Otwieram je i widzę, że jest tam wielka weranda, jakby oranżeria, i bardzo mnie cieszy to odkrycie. Wchodzę do niej i zwiedzam ją, rosną tam kwiaty i jest tyle powietrza. Wtedy widzę, że ta oranżeria nie jest pomieszczeniem, ale ogromną otwartą przestrzenią, która ma tylko dach. Jest jakimś dworcem, muzeum, pasażem bez końca, sama nie wiem. W samym środku stoi wielka donica z potężną, rozłożystą palmą. Widzę ludzi, którzy przechadzają się. Jest ich dużo, aż po horyzont. Podchodzę do tej palmy i widzę, że do jej pnia przyczepiono czaszki, rogi, jakieś włosy. To jest wstrętne. Odchodzę. Włączam się w spokojny spacer innych ludzi".

– Ten sen wydał mi się tak rzeczywisty – powiedziała pani Eltzner, kiedy Frommer skończył czytać i zamilkł na długą chwilę. – Walterze, ona ma taką wyobraźnię. Powinniśmy ją namówić, żeby rozszerzyła swój... repertuar.

– Ach, mój Boże, przecież to nie jest teatr – wykrzyknął Frommer.

Pani Eltzner cofnęła się, zdziwiona i zawiedziona jak dziecko. Jej broda zadrżała.

– Dlaczego nikt nie chce mnie zrozumieć? – zapytała, wznosząc oczy pełne łez na żyrandol.

Frommer podszedł do niej, ale nie śmiał pocałować jej dłoni. Pani Eltzner podparła czoło ręką.

– Uniosłem się, przepraszam. Powinienem już pójść. Wszystko popsułem.

Walter Frommer

Frommer, poruszony tą rozmową, w drodze do domu długo stał na moście i patrzył, jak światła miasta odbijają się w czarnej wodzie. Myślał o Ernie, o jej snach i nie potrafił poradzić sobie z tym, co powiedziała jej matka. Że Erna udaje. Tak jakby miało jakiekolwiek znaczenie udawanie i nieudawanie. Całe życie jest udawaniem. „Czy ja nie udaję, że jej nie kocham?" – pomyślał nagle o pani Eltzner, a serce ścisnęło mu się tak, że ból zatrzymał oddech. Drżały mu ręce. Smutek płynął w nim jak ta czarna rzeka pod mostem.

Postanowił nie wracać jeszcze do domu. Myśl, że będzie musiał rozmawiać z Teresą, była nie do zniesienia. Wolał pochodzić po mieście, może nawet zjeść gdzieś kolację. Starał się nie myśleć o pani Eltzner, tylko o Ernie. Chciał przeanalizować to, co mówiła, robiła. Skąd mogło się wziąć w jej matce takie podejrzenie? Inni pewnie też tak myślą. Och, ludzie ciągle potrzebują rzeczy niezwykłych, cudów, szaleństw. I po co? Żeby z jeszcze większą gorliwością akceptować swoje zwyczajne życie. Rzeczywiście, na seansach nie działo się już nic, co mogłoby zadziwić. Przyzwyczaili się do nagłego zapadania dziewczynki w trans, do ruchów filiżanki, do drżenia stolika, do dziwacznych wypowiedzi i prekognicji, jak ta dotycząca trzęsienia ziemi. Przyzwyczaili się nawet do zmian głosu medium. To, co kiedyś wydawało się niezwykłe, teraz brano za normę. Czymże Erna miała ich jeszcze zadziwić? Cóż miała robić? Frommer uważał za oczywiste, że nie był to problem Erny, jej było obojętne, czy zadziwia, czy nudzi. Żyła w innym świecie, gdzie nie było nudy i zdziwienia. Zaczął sobie wyrzucać, że nie zajmował się nią ostatnio dostatecznie, że zajął się sobą, swoimi kłopotami (Teresa) czy nadziejami (pani Eltzner). Powinien był się zainteresować tym, co powiedziała nagle w czasie jego wykładu, zdaje się: „Moje córki pląsają", ni stąd, ni zowąd, przerywając mu w pół słowa. Chyba nawet nie była tego świadoma. Powinien ją pytać, co jej się śni, o czym myśli. Nie robił tego, bo wiedział,

że młody Schatzmann wypytuje ją o sny, sprawdzając na niej jakieś swoje podejrzane teorie. Frommer nie chciał robić tego samego. Ale przecież nie dlatego, że jej sny go nie interesowały. Może było w nich więcej niż w transie. Ten sen młodej dziewczyny o mieszkaniu, które zamienia się w cały świat, czy nie był przeczuciem naszej nieskończoności?

Jakimś cudem Frommer znalazł się na Büttnerstrasse, tuż przy rzeźniach. Poczuł mdły zapach krwi. Ogarnęła go jakaś panika, lęk podobny do tego, który pojawiał się w nim na schodach.

– Rzeźnia – powiedział.

Zza wysokiego muru rzeźni buchało śmiercią. Było tu królestwo bezkarnej przemocy i rozkładu. Cuchnący powiew musnął mu twarz. „Chciałabym umrzeć" – powiedziała w jego głowie Teresa. „Byłam śmiercią, Walterze" – usłyszał gdzieś w sobie głos pani Eltzner. Zrobiło mu się nagle duszno, jakby powietrze naokoło niego zgęstniało. Miał wrażenie, że znalazł się we wnętrzu klatki, z której nigdy nie uda mu się wyjść. Zawrócił i zaczął biec. Zdjął kapelusz, a jego rozpięty czarny płaszcz powiewał jak skrzydła. Kilka osób oglądnęło się za nim, ale on zatrzymał się dopiero na oświetlonej dobrze ulicy z wystawami i kawiarnią, z której dochodził szemrzący gwar. Powoli doszedł do siebie, serce przestało mu walić. Wytarł dłonią spocone czoło. Było mu teraz wstyd, wydał się sobie śmieszny i żałosny. Wahał się przez chwilę, a potem wszedł do kawiarni i, ku zdziwieniu kelnera, zamówił kakao.

Pani Eltzner

Po wyjściu Frommera panią Eltzner rozbolała głowa i z niechęcią pomyślała o tym, że musi dopilnować dzieci podczas kolacji i układania do łóżek. Mąż od kilku dni był znowu w Hamburgu, gdzie osobiście doglądał wyładunku dużej partii wełny dla jego tkalni. Pani Eltzner nagle do niego zatęskniła i zaczęła w myślach pisać list. Potem, kiedy myła małego Klausa, pomyślała, że przydałaby się guwernantka, że ona sama jest już zmęczona i stara. „Nic się nie zmienia, nic się nie zmienia", te słowa krążyły jej po głowie; umieszczała je w tym wymyślanym liście do męża. Zanim dzieci pousypiały na dobre, panował w domu rwetes. Lina wyrywała się Bercie i nie dawała się rozebrać, Maks przekomarzał się z Gretą, Klaus chciał jeść (po kolacji!), Katharine rozlała wodę. Ale w godzinę później w mieszkaniu Eltznerów było już cicho. Pani Eltzner szła od pokoju do pokoju i całowała swoje dzieci na dobranoc. „Polskie rozpieszczanie", tak nazywał ten zwyczaj pan Eltzner. W pokoju bliźniaczek położyła na stoliczku Erny jej kremowy zeszyt.

– Mamo – szepnęła Erna – pocałuj mnie.

Pani Eltzner dotknęła wargami chłodnego czoła córki.

– Śpij spokojnie – powiedziała cicho, a potem pocałowała śpiące bliźniaczki. Patrzyła ze wzruszeniem na ich jednakowe twarzyczki. „Dzieci… wysypały się ze mnie jak ziarna z makówki", pomyślała. Kiedy szła korytarzem do siebie, było jej tak źle, tak przeraźliwie smutno, że zaczęła płakać bez powodu, niczym dorastająca dziewczyna.

Erna Eltzner

Erna zasypiała na brzuchu, z rękami podłożonymi pod siebie. Zasypiając, kołysała w myślach swoje ciało, w jedną i w drugą stronę, w lewo i w prawo, jak w niewidzialnej kołysce. Tym kołysaniem najczulej jak potrafiła zajmowała się sobą. Sama stawała się dla siebie matką, potem Bertą, potem kimś potężnym i wielkim, kogo jednak nie potrafiła określić. Wyznawała sobie przez to kołysanie miłość i wzmacniała ją przez głaskanie się po brzuchu i udach, przytulanie warg do szorstkiej tkaniny poduszki. Nie było w tym wiele ruchu. Była intencja, która uruchamiała szyfr wyjścia z siebie w sen.

Zasypianie Erny to ogromna podróż, podzielona na etapy, z przystankami i nieodłącznym błądzeniem. Najpierw zaczynała zasypiać w Ernie jej najbardziej powierzchowna warstwa, sfera doznań, zmysłów, ta cała pamięć rzeczy nieważnych. Ze skóry uwalniały się, jak para, jak dym, obrazy dotknięć, zapachów, fragmenty słyszanych zdań. Opuszki palców oddawały to, czego doświadczyły w ciągu dnia: muśnięcia zielonego aksamitu zamieniały się w obraz zielonej głębi wody. Fantastyczne papierowe, tapetowe kwiaty swym powtarzającym się rytmicznie wzorem przypominały porządek stawiania kroków. Dotknięcie przy rozbieraniu pośladków i bioder kojarzyło się z przechodzeniem delikatnego różu w ciężką purpurową czerwień. Droga powrotna, od czerwieni do różu, była jak rozkład i śmierć. To nie był jeszcze sen, ale jakiś wstęp do snu, przedsen. Brał się z ciała, które zapisuje w sobie czas.

Kiedy zamyka się oczy do snu, dusza zwija się w ciele jak kłębek. Osamotnione, pozostawione samemu sobie ciało sprawdza, czy jeszcze istnieje. Wzbudza w sobie wspomnienia, bo każdy wykonany kiedyś gest, każde doznanie zostało przez nie zapamiętane. Ciało ma pamięć absolutną, jego wspomnienia przepadają tylko wtedy, gdy ciało ginie. Bogactwo tych obrazów jest nieskończone. Nie ma takiego zasypiania, które by powtarzało poprzednie. Konfiguracje strzępków wspomnień są

niepowtarzalne, bo każdy dzień zmienia ciało. Pamięta ono nie tylko to, co zdarzyło się na zewnątrz, ale także i to, co zaistniało wewnątrz: marzenia, wyobrażenia, fantazje i wizje. Ciało nie potrafi oddzielić tego, co jest tu i co jest tam. Wszelkie doznania są jednakowo rzeczywiste.

Erna zobaczyła obraz kameleona, tak jak go sobie w dzieciństwie wyobrażała: wielka kolorowa głowa i iskrzące się oczy na szypułkach, całkiem jak u ślimaka. Potem kameleon spotworniał w jakieś krwawe mięso i zaczął odpływać, zmieniać kształty. Erna nie mogła się już bać, nie istniała już w tej postaci, która potrafi się bać, której nasuwają się skojarzenia, która przewiduje. Była okiem, które obserwuje obraz, jego powstawanie, dojrzewanie i zanikanie. Teraz pojawiło się zdziwienie, ale i ono minęło, bo ciało Erny pozbywało się emocji. Jeszcze drgnęło kilka razy, a potem osunęło się w sen, bezmyślny, twardy, obojętny. Erna wpadała w jego labirynty, a tam było już marzenie senne, najpierw niepewne, rozdygotane, potem coraz bardziej określone. Sen podszywał się pod doznania ciała, produkował złudzenia zapachów, udawał uczucia. Erna wiedziała jednocześnie, że śni. W jakiś dziwny sposób tkwiła na zewnątrz swojego snu i beznamiętnie mu się przyglądała. Sen próbował ją wciągnąć i oszukać. Imitował czas, rozciągał minuty w godziny, a dni skupiał w niezauważalne momenty. W przestrzeni, która nie istnieje, rozwijał horyzonty. I powoli Erna wyzwalała się z siebie.

Artur Schatzmann i profesor Vogel

Spotkania Artura z Voglem odbywały się dość regularnie. Artur wpadał do gabinetu doktora bez zapowiedzi i czekał niecierpliwie, aż ten skończy przyjmowanie pacjentów. W poczekalni mijały go płochliwe młode kobiety i poważne damy, które odwracały wzrok w przeciwną stronę, skromni urzędnicy i ludzie interesu ze złotymi dewizkami przy kamizelce. Artur skrycie próbował przypisać im rodzaj cierpienia, z którego przyszli się wyspowiadać na kozetce Vogla. Potworne sny, impotencja, oziębłość, smutek i poczucie bezowocności życia… Schatzmann zastanawiał się, z czym on sam przyszedłby do Vogla, o czym mówiłby, leżąc bezbronnie na kozetce? O dzieciństwie, które ledwie pamiętał? O ojcu, którego kochał i podziwiał? O życiu erotycznym, którego właściwie jeszcze nie miał? O snach, których nie śnił?… Artur Schatzmann był zdrowy.

Musiał czekać, aż wyjdzie ostatni pacjent, i dopiero wtedy zasiadał na jeszcze ciepłej kozetce i zarzucał profesora mnóstwem wątpliwości. Po Voglu było widać, że jest zmęczony, ale kolejna kawa, fajka albo cygaro powoli przywracały mu energię. Omawiali przeczytane przez Artura książki, wyjaśniali niejasności i w końcu Artur opowiadał o tym, co nowego u E.E., tak bowiem w swoich rozmowach określali Ernę. Kiedy Artur nie chciał się z czymś zgodzić, czegoś nie rozumiał, Vogel wstawał i wyciągał z półki książkę, wertował ją, po czym z satysfakcją pokazywał końcem fajki znaleziony fragment. Coraz częściej Vogel sięgał też do kartoteki, która zawierała opisy przypadków i przebieg terapii jego pacjentów. Omawiali te wszystkie histeryczne paraliże, bezsenności, lęki, melancholie, myśli samobójcze, czynności przymusowe, objawy wegetatywne – ogrom cierpienia ludzkiej duszy. Potem ich rozmowa zwalniała tempo, jakby słowa, które teraz padały, miały większy ciężar gatunkowy i jakby trudniej było nimi operować. Wtedy Artur miewał wrażenie, że przekracza dotychczasowe granice rozumienia, tworzy nowe drogi, którymi jego myśli mogą się swobodnie poruszać, kiedy bowiem już był sam, bez wspierającej

i inspirującej obecności Vogla, czuł, że myśli nowymi kategoriami, że widzi rzeczy, których przedtem w ogóle nie dostrzegał. Wydawało mu się, że rośnie.

Vogel wielką wagę przywiązywał do odkrycia nieświadomości, której Artur do tej pory nie umiał docenić. Dla Artura ta słynna nieświadomość była obszarem banalnej niewiedzy, faktem „niezdawania sobie z czegoś sprawy". Vogel zaś traktował ją jako jakiś odrębny w nas byt, jakby demona, coś pośredniego między siłą boską a diabelską. Nieświadomość w tym ujęciu była zarówno czymś indywidualnym, właściwym dla każdego człowieka, jak i wspólnym dla wszystkich. Jakimś instynktem wyższego stopnia. Vogel był jej fanatycznym tropicielem. Obserwował życie jak powierzchnię wody jeziora, na której zaraz pojawi się głowa przedpotopowego potwora. Tropił ją w snach, swoich i cudzych, w przejęzyczeniach i zapomnieniach.

Często wracali do tego problemu, aż stał się w końcu refrenem ich spotkań – zastanawiali się nad możliwością dokładniejszego poznania nieświadomości.

Skoro nieświadomość jest poza dostępem naszej świadomości, to skąd wiemy, że w ogóle jest? Vogel cytował Freuda, a raczej przypadki pacjentów Freuda: Anny O., pani X., pana J. G., Lizy L., tych wszystkich anonimowych nosicieli symptomów, którzy powinni wejść do jakiejś specjalnej, alternatywnej historii ludzkości. Albo przypominał Breughla, Boscha, Coleridge'a, Blake'a, Quevedę, którzy cierpliwie, jakby łyżeczkami do herbaty, po trochu wydobywali na powierzchnię głębiny ciemnego oceanu.

– To, co nieświadome, przedostaje się do świadomości jako symptomy nerwicowe oraz poprzez sny i symbole – powtarzał Vogel.

– Więc nieświadomość można określić tylko przez to, co ulegnie z niej uświadomieniu? Czyli dotrzeć do nieświadomości przez świadomość…

– Albo przez szaleństwo…

– Czy ta zasada nie działa także w drugą stronę, czy świadomości nie można poznać tylko za pomocą nieświadomości? Czy myśl może poznać samą siebie? Czy psychika może poznać samą siebie? Czy przedmiot może być zarazem podmiotem?

– Nasza psychika jest częścią natury, a zagadka natury nie ma granic. Nie można zdefiniować, czym w istocie jest nasza psychika. Można ją opisywać i proponować wyjaśnienia, o których trzeba jednak pamiętać, że są tylko przybliżeniami, a nie obiektywną prawdą.

Vogel traktował ludzką świadomość (czyli to, co Arturowi wydawało się niezmienne i jedynie rzeczywiste) w rozwoju człowieka jako słabą, tworzącą się dopiero cechę. Dla niego to nieświadomość była właśnie tą pierwotną, wiecznie żywą rzeczywistością, a świadomość, przeciwnie, czymś nowym, co pojawiło się zaledwie kilkadziesiąt tysięcy lat temu, gdy człowiek opisał świat słowami. Świadomość mogła rzeczywiście powiedzieć: „Na początku było słowo". Nieświadomość istniała dużo wcześniej, słowo jej nie dotyczyło. Była rówieśniczką życia. Była Wielką Pamięcią, pulsującą pod indywidualnymi umysłami. Niektórzy przeczuwali ją od dawna. W historii myśli ludzkiej nosiła różne nazwy, ale najwięcej mieli o niej do powiedzenia ludzie chorzy i ci, którzy śnią. Przy niej świadomość jest tylko delikatną, podatną na urazy skorupką na wiecznych przemianach życia, jak pancerzyk skorupiaka, który pomaga mu przeżyć we wrogim świecie. Ten pancerzyk dopiero się tworzy, dopiero kostnieje. W niejednym miejscu jest jeszcze słaby i niewiele potrzeba, żeby go uszkodzić. Skaleczenie powoduje wydobywanie się nieświadomych treści. Przypomina krwawienie. Pod tą skorupką tkwi to, czym jesteśmy naprawdę.

– Świadomość nie osiągnęła jeszcze ciągłości – mówił Vogel. – To dlatego niepowodzeniem kończą się wszelkie próby oparcia reguł życia na racjonalnych podstawach. Jest jednak cenna, bo pozwala poznawać rzeczywistość, skupić się na jej jednej cesze i zgłębiać ją, oglądać ze wszystkich stron. Świadomość może poruszać się, zmieniać obiekt zainteresowania, patrzyć z wielu punktów widzenia. Nieświadome po prostu jest, zawsze i wszędzie, w tym samym natężeniu, w tej samej wiecznej postaci. To ten cienki pancerzyk tworzy cywilizację, umieszcza ją w czasie.

Artur często nie mógł nadążyć za rozumowaniem Vogla, nie dlatego, że był młodszy czy mniej inteligentny, ale ponieważ Vogel używał innego języka: poziom rzeczywistości, otchłań, szaleństwo, przeczucie. Słowa te nie pochodziły z pachnących iskrą elektryczną laboratoriów uniwersytetu

i wydawały się Arturowi zbyt poetyckie, jakieś żenujące i niepoważne. „Czym on się różni od fanatycznego i oderwanego od świata Frommera?" – myślał czasem Artur na pograniczu buntu. „Dlaczego słucham jednego, a nie mogę słuchać drugiego?" Kiedy porównywał ich ze sobą, wydawało mu się, że dla Frommera jego wiedza odgrywała rolę religii, czegoś, z czym nie można dyskutować, Vogel natomiast był naukowcem, to znaczy przyjmował każdą teorię jako coś tymczasowego.

Artur nie odrzucał więc nowych, obco brzmiących pojęć, ale próbował tłumaczyć je sobie na te, które znał: poziom percepcji, utrata przytomności, uszkodzenie mózgu, percepcja podprogowa. Podążał za Voglem w zupełnie nowe dla siebie obszary. Nowa perspektywa wydała mu się urzekająca, nie odżegnywała się bowiem od tego, z czym się identyfikował – była w pełni naukowa, empiryczna – a dodatkowo miała jakiś szerszy wymiar, religijny, filozoficzny czy może jeszcze inny; stawała się przez to piękna i pełna grozy.

Artur Schatzmann czuł, że, jak w dzieciństwie, wszystko staje się ważne i warte zbadania, nawet ludzkie pomyłki, rozkojarzone marzenia senne, przypadki, zbiegi okoliczności. Ważny jest gest, spojrzenie, kolor sukni, sposób noszenia parasola. Filozofia Vogla obiecywała chętnemu nieskończone bogactwo. Przyjmując ją, umysł pochopny i powierzchowny trafiał na pokusę wątpliwej metafizyki, ale umysł spokojny i analityczny widział w niej niezwykle precyzyjną teorię zachowania człowieka.

Pewnego prawie wiosennego popołudnia Vogel i Schatzmann postanowili się przejść. Cały Wrocław był żółty od kwitnących forsycji. Szli wolno w dół Schweidnitzer Strasse, a potem mimowolnie skręcili w lewo, do dworca. Vogel zwrócił na to uwagę.

– Dworzec to symbol podróży, którą razem zaczęliśmy.

Przed nimi wyrósł gmach wielki jak lewiatan, oświetlony rzęsiście gazowymi latarniami. Zajeżdżały pod niego dorożki, małe figurki wchodzących i wychodzących ludzi sprawiały ruch, który niepokoił. Vogel coś sobie przypomniał.

– Kiedyś, parę lat temu, był tutaj Freud. Na pewnym sympozjum. Odprowadzałem go z Fliessem na dworzec... To było pod wieczór, tak jak teraz. Freud opowiedział nam wtedy, że kiedy był mały, miał może pięć, sześć lat, jechał z matką i rodzeństwem pociągiem z Wiednia do Berlina.

W nocy pociąg zatrzymał się na dworcu we Wrocławiu; zmieniano lokomotywę. Mały Freud wyglądał przez okno i zafascynował go ten ogromny ruch, żelazny świat, w którym zawsze jest się tylko przejazdem. Ludzie, pociągi jak wielkie zwierzęta, gazowe lampy udające słońca i stalowe sklepienie udające niebo. Jego matka zaczęła kłaść dzieci spać. Najpierw ścieliła kuszety, potem rozbierała jego siostry i w końcu położyła spać także jego, ale nie mógł usnąć, przyzwyczajony do monotonnego turkotu kół. Wtedy po raz pierwszy zobaczył matkę nagą. Jej pełne piersi musiały wzbudzić niepokój dziecka. Pragnął ich i bał się jednocześnie. Nagie ciało matki było supłem, na który zawiązany był świat. – Vogel umilkł na chwilę. – To pokazuje, jak niezwykłe są korzenie każdej idei; biorą się one ze zdarzeń pozornie przypadkowych, ulotnych, z gry świateł, dźwięków... Można uznać, że tutaj, na Dworcu Głównym we Wrocławiu, powstało przeczucie, które zamieniło się później w teorię Freuda. Tutaj narodziła się psychoanaliza.

Minęli dworzec i zawrócili do rynku. Niebo zgasło, zaczęło robić się ciemno i zimno.

– Martwi mnie to – powiedział po długim milczeniu Vogel – że doniosłość takich drobnych faktów możemy ujrzeć tylko z perspektywy czasu. Tu i teraz jesteśmy ślepi i nigdy nie wiemy, co jest naprawdę ważne.

Artur Schatzmann

Artur Schatzmann wpadł w szał pracy. Każdy dzień zaczynał się już poprzedniego wieczoru, kiedy to spisywał plan zajęć, bardzo szczegółowy, co do kwadransa. Były tam wykłady, biblioteka, obiad, herbata z matką, pisanie notatek, spotkanie z Voglem i E.E. albo seans. We wtorki i piątki miał zajęcia w prosektorium, czego bardzo nie lubił. Nie lubił właściwie tego jedynego momentu, kiedy skalpel zagłębiał się w twarde, stężałe ludzkie ciało. Wieczorami czytał jeszcze do późna, robiąc notatki i zaznaczając papierkami odpowiednie strony. Kiedy jego zmęczone oczy ześlizgiwały się z szeregów liter, rozkładał przed sobą *Atlas mózgu* Flechsiga i kontemplował labirynty bruzd.

Męczył go jakiś głód, niedosyt, przygnębiające uczucie, że jest się blisko czegoś ważnego, a jednak się do tego nie potrafi sięgnąć. Nie mógł się pozbyć miłości do fizjologii, ale równie ciekawe i pasjonujące było uprawianie psychoanalizy: był to rodzaj fizjologii duszy. Teraz nawet kładł się spać z zamiarem śnienia i porannej analizy snu. Artur jednak nie śnił. Interpretował to ortodoksyjnie, po platońsku: ten, kto nie ma snów, nie ma wewnętrznych konfliktów. Jest zdrowy.

Artur załatwił sobie możliwość korzystania z laboratoriów katedry fizjologii mózgu, lecz problemem stało się ściągnięcie do nich Erny, panny E.E., która miała stać się obiektem jego doktorskiej dysertacji. Zaczął więc przekonywać do tego pomysłu doktora Löwe, mającego wpływ na panią Eltzner. Jednak stary doktor z nie znanych Arturowi przyczyn odwlekał rozmowę z Eltznerami. Artur zaczął więc przekonywać samą Ernę, żeby wyraziła chęć poddania się badaniu. Nie byłoby to nic niebezpiecznego – zwykłe pomiary głowy, kilka testów na postrzeganie. Czytając całą dostępną literaturę na temat badań zjawisk okultystycznych, Artur marzył o tym, żeby Erna mogła zademonstrować jakieś fenomeny kinestetyczne, to słynne przesuwanie pudełek od zapałek, lewitacje nożyczek, o których

tak ciekawie pisał niedawno Baggally. Seanse zaczynały go trochę nudzić, nie działo się tam nic nowego.

Od kiedy Vogel uwrażliwił go na znaczenie szczegółów, Artur zaczął obserwować ludzi, ich gesty, zachowania. Robił to zwykle wtedy, gdy siedząc w wagonie tramwaju, stawał się anonimowy i niewidoczny dla badanych przez siebie obiektów. Z okien tramwaju patrzył na przechodniów, kobiety robiące zakupy, sprzedawców parasolek w długich płaszczach, o twarzach tak bladych, jakby przed chwilą wynurzyli się z jakichś ciemnych suteren. Oglądał rozkołysane, bujne ciała młodych dziewczyn i ciągnące się za nimi spojrzenia eleganckich panów o wąskich ustach. Zaczął spontanicznie dorabiać historie do widzianych twarzy i nie mając możliwości ich sprawdzenia, wierzył, że jego intuicja odtwarza fakty prawdziwe. Jednak po pewnym czasie zaczął powściągliwiej określać ludzi. Przyczyniło się do tego jedno zdarzenie.

Kiedyś, gdy jechał tramwajem do Vogla, zobaczył przez okno stojącą na przystanku kobietę z dzieckiem. Rozmawiała swobodnie z jakimś starszym mężczyzną. Było w niej coś, co przyciągało uwagę, i Artur poczuł palącą potrzebę zrobienia małego eksperymentu: wydedukowania z tych niewielu informacji, jakie dawał jej ubiór, jej zachowanie, gdzie ta kobieta mieszka, kim jest.

Była w brązowej sukni i czarnym, krótkim płaszczyku wykończonym wytartym futerkiem. Spod małego brązowego kapelusza wystawały kosmyki kasztanowych włosów. Śmiejąc się, pokazywała białe, równe zęby, trochę dziecinne, ale jednocześnie koło oczu i ust widać było zmarszczki. Artura zafascynowała właśnie ta niespójność: młoda twarz wyglądająca staro albo też stara twarz wyglądająca szczególnie młodo. Nie mogła mieć więcej niż trzydzieści pięć lat ani mniej niż dwadzieścia pięć. Swobodne zachowanie w rozmowie z mężczyzną mogło być wynikiem braku wychowania, ale też świadomego odrzucenia krępujących konwenansów.

Tramwaj stanął na przystanku. Rozmawiający z kobietą mężczyzna uchylił kapelusza i wskoczył do wagonu, gdzie siedział Artur. Artur zobaczył roztargnienie w jego oczach i przyklejony do ust niepotrzebny już uśmiech. Kobieta wzięła na ręce dziecko, trzy-, może czteroletnią dziewczynkę, i pomachała mężczyźnie. Tramwaj ruszył i jej wzrok

przesunął się po twarzy Artura. Potem postawiła dziecko i poszła z nim w stronę dworca.

Intuicja czy też może wyobraźnia Artura Schatzmanna oparła się na tej rodzajowej scence bez znaczenia i stworzyła następującą wersję życia kobiety z dzieckiem: Jest to samotna wdowa, ciężko borykająca się z życiem. Mieszka gdzieś na przedmieściach, uczy w szkole powszechnej rysunku albo prac ręcznych i bierze do domu szycie. Jest ciągle przemęczona, ale ma siłę i wolę przetrwania. W nocy nicuje sukienki i sama ozdabia kapelusze. Ten mężczyzna był przyjacielem jej męża i teraz pomaga jej znaleźć mieszkanie w centrum.

Jednak Artur był zadowolony tylko przez chwilę. Tramwaj ruszył, a on nadal myślał o tej kobiecie. Jasny i prosty, budujący obraz jej życia zaczął się ściemniać. Wydał się nagle komicznie pretensjonalny i fałszywy. Nieznośnie nieprawdziwy. Artur z wściekłością wstał i ruszył do wyjścia. Wysiadł na najbliższym przystanku. Szybkim krokiem zawrócił i szedł, wypatrując między przechodniami brązowego kapelusza. Zaczął podejrzewać, że rzeczywistość jest o wiele bardziej pospolita, choć i mroczniejsza, niż się to przedstawia w broszurowych romansach.

Zobaczył ją, kiedy skręcała na plac przed dworcem. Rozglądała się na boki, zwalniała i przyspieszała kroku. Przez sam dworzec przechodziła w tempie, w jakim zwiedza się galerię.

Teraz Artur był pewien, że nie jest żadną nauczycielką w szkole na przedmieściu. Z pewnością mieszkała po drugiej stronie dworca. Mogła być krawcową, modystką lub zwykłą gospodynią domową. Jej mąż pracował w porcie rzecznym i pił na umór. Wcale to jej nie przeszkadzało, miała przez to więcej wolności. Sama zresztą też lubiła pociągnąć wieczorem z koleżankami i chłopakami z zakładów Gottlieba, stąd ta jej ogorzała, zniszczona twarz. Dzieckiem zajmowała się niechętnie; brała je od matki tylko na spacer, żeby mieć pretekst do włóczenia się po mieście. Miała na pewno twarde, grube paznokcie i niezbyt czyste ręce.

– Ach, Boże, przecież to tylko zabawa – powiedział do siebie Artur, żeby usprawiedliwić fakt, że śledzi obcą kobietę.

Narastała w nim złość, że prawdopodobieństwo wszelkich pomyłek jest ogromne, zbyt duże, aby polegać na własnej intuicji, umiejętności dedukcji

i logiczności. Mogła być guwernantką, ekspedientką w sklepie galanteryjnym i przyjezdną z prowincji czyjąś kuzynką.

Szedł za nią dalej, ogłuszony hałasem ruszających w podróż pociągów. Gdy doszła do wyjścia, nagły blask słońca ozłocił jej plecy i jej płaszcz wydał się szary, nie czarny. Odwróciła się. Teraz jej twarz miała zupełnie inny wyraz. Była pospolita, pozbawiona tej lekkości, jaką nadawał jej uśmiech. Spojrzała na niego bez strachu. Z ciekawością, a nawet zalotnie. Artur zmieszał się, ale nie cofnął. Przyszło mu do głowy, że jest śmieszny, że marnuje czas, że powinien być od dawna u Vogla, a jednak kiedy kobieta ruszyła, poszedł za nią. Przeszła wolno przez park, znalazła się na ulicy zabudowanej podobnymi do siebie kamienicami i zniknęła w jednej z bram, zanim Artur połapał się, co się z nią stało. Wpadł w mroczne podwórko, ale nie zobaczył jej. Wydawało mu się, że słyszy trzaśnięcie drzwi gdzieś na górze i głos dziecka; potem zapadła cisza. Artur postał jeszcze chwilkę, rozczarowany i zły, i szybkim krokiem ruszył z powrotem. W ciągu kwadransa znalazł się u profesora. Był tam doktor Löwe, który w końcu zdecydował się poprosić państwa Eltznerów o pozwolenie przebadania Erny w laboratorium.

Notatki Artura Schatzmanna

SEANS II
Grudzień

Seans ten miał przebieg podobny do seansu poprzedniego. Trwał około czterdziestu minut i zakończył się osłabieniem. E.E. mówiła obcym głosem o postaciach, z którymi obcuje, kiedy jest w transie. Wyglądało to tak, jakby zebrani byli świadkami rozmowy, w której słychać tylko jednego rozmówcę. E.E. wymieniła parę imion, z których kilka należało do bliskich zmarłych uczestników seansu. Już po wyjściu z transu E.E. orzekła najpierw, że nic nie pamięta, a potem, że rozmowa z duchami była dla niej bardzo pouczająca i że dowiedziała się wielu rzeczy. Nie chciała dokładnie opowiedzieć treści tej rozmowy. Była blada i drżały jej ręce.

SEANS III
Styczeń

Po zapadnięciu w trans pacjentka zaczyna mówić głosem nie swoim, grubym, nienaturalnym. Ma to sugerować zebranym obecność bliskiego zmarłego jednej z uczestniczących osób. Wypowiedzi te dotyczą głównie moralności, Pisma Świętego itp. Są naiwne, napuszone, płytkie. Zauważam, że po pierwszym wrażeniu, spowodowanym zmianą głosu, uczestnicy seansu są znudzeni. Po około półgodzinie pacjentka na krótko milknie, a potem jej głos znów się zmienia. Teraz nie jest już tak nienaturalny. Wydaje się głosem medium, tyle że ochrypłym. Pojawia się równocześnie pruski akcent, który nie jest używany w domu E. Pacjentka deklamuje fragment jakiegoś wiersza, którego nie znam. Trwa to około dwóch minut. Potem następuje powrót do tego pierwszego, mentorskiego

głosu, który kontynuuje swoją wypowiedź. „Nauka" ma za temat przebywanie duchów w zaświatach. Wypowiedź jest logiczna, zwarta. Sprawia wrażenie wyuczonej lekcji.

Wyjście z transu nastąpiło samoistnie i spokojnie. Pacjentka nie była tak wyczerpana jak poprzednim razem. Zauważyłem u niej całkowitą amnezję treści wypowiedzi z transu, zarówno kazań, jak i cytatu z wiersza.

W rozmowie po seansie E.E. powiedziała, że moja obecność w seansach bardzo jej pomaga. Chodzi o to, że moje „niedowiarstwo", jak to nazwała, mobilizuje w niej wszystkie siły.

SEANS IV
Luty

Nowe próby z planszetą i filiżanką. Ruchy E.E. w transie są gwałtowne i nieskoordynowane. Filiżanka przesuwa się z litery na literę bardzo szybko, tak że czasem nie można za nią nadążyć. Ortografia jest niestała, podobnie jak gramatyka. Zmiany w pisowni są tym częstsze, im częściej pojawia się nowy „spirit". W ciągu seansu pojawia się ich kilkanaście. W tym Goethe, Nefretete, Neron, cesarz Barbarossa. Ich wypowiedzi nie są warte wzmiankowania i można je nazwać całkowitym bełkotem.

Później nastąpiła próba automatycznego pisania. Pod dłoń z ołówkiem pozostającej wciąż w transie E.E. podłożono kartkę. Z początku ruchy były gwałtowne – ołówek dziurawił kartkę lub pozostawiał ostre zygzaki. Jednak po pewnym czasie z tego mazania zaczęły wyłaniać się litery. Najpierw wyglądały dziecinnie, były duże i nieporadne. Potem zaczęły się robić mniejsze i pewniejsze.

E.E. siedzi przy stole. Prawa ręka oparta jest o stół i ta pisze. Lewa strona ciała jest zwiotczała. Głowa, z zamkniętymi oczyma, pochylona w lewo, ramię bezwładne. Usta blade, rozchylone, suche. Powieki czasem gwałtownie drżą, gałki oczne się poruszają.

Pierwszym napisanym słowem jest: „Pytaj". Pytanie zapoczątkowuje swoisty dialog.

– Kim jesteś?

– Jestem.

– Jak się nazywasz?

Bez odpowiedzi.

– Czy chcesz, żebyśmy ci dali imię?

– Tak.

– Czy jesteś mężczyzną, czy kobietą?

– Kobietą – (po długim milczeniu).

– Będziemy cię więc wzywać imieniem Pola. Gdzie teraz jesteś?

– Tutaj.

– Gdzie to jest?

– Nigdzie.

– Czy żyłaś już na ziemi?

– Nie.

– Czy będziesz żyć?

– Nie.

– Kim więc jesteś?

– Jestem.

Podobnie enigmatyczny dialog odbył się jeszcze raz ze „spiritem", którego ochrzczono Janem. Warto wspomnieć, że imiona obu postaciom nadawała pani E., matka pacjentki.

Po seansie E.E. jest małomówna i zmęczona. Całkowita amnezja tego, co działo się przez ostatnie dwie godziny. Ból głowy i oczu. Tętno w normie. Po jej wyjściu uczestnicy seansu żywo dyskutują.

Erna Eltzner

Erna przyglądała się brązowemu skorkowi, który wyszedł z dziury w drewnianym parapecie. Chodził najpierw wzdłuż pęknięcia w drewnie, w tę i z powrotem, aż w końcu znalazł okruszki ciastek, które jadła. Zatrzymał się niepewnie, badając czułkami znaleziony skarb. Erna przyjrzała mu się z bliska – poruszał się jak mechanizm, jak maszyna tkacka w fabryce ojca, jak zegar, kiedy się otworzy tarczę i zajrzy do środka: naoliwione trybiki, segmenty, łożyska. „Czy skorek to maleńka maszynka?" – zastanawiała się. „Jakie jest jej przeznaczenie, do czego służy?", „Służy do życia" – odpowiedziała sobie sama.

Delikatnie, opuszką palca, dotknęła tylnych szczypawek skorka. Zatrzymał rytmiczny ruch czułków i po sekundzie rzucił się do ucieczki. W panice spowodowanej dotknięciem olbrzyma nie potrafił jednak znaleźć dziury, z której wyszedł, i zaczął się teraz pionowo wspinać po framudze okna. Wcale nie spadał. Zatrzymał się, pewnie w poczuciu bezpieczeństwa, wprost na wysokości twarzy Erny, nie wiedząc, że dziewczynka-olbrzym patrzy na niego.

Erna zastanawiała się, jak to możliwe, że skorek nie spada z pionowej framugi. Zbliżyła oko do jego mechanicznego ciałka i ujrzała teraz wszystko tak, jakby sama stała się skorkiem. Zobaczyła ogromną powierzchnię szyby, framugi jako ogromny wał wokół płaskiej doliny – i zrozumiała, że dla skorka nie ma pionu czy poziomu. Nie ma też dalej i bliżej, nie ma pod i nad, nie ma przedtem i potem, nie ma ja i nie-ja. Wszystko wokół było nieskończone, a śmieszne mechaniczne ciałko nadawało tej nieskończoności kierunek i sens. Erna odsunęła się wstrząśnięta. Gdzieś głęboko w niej pojawiło się odkrycie jeszcze jaskrawsze, jakieś olśnienie, że wszelkie mechanizmy są obce naturze, że formę mechanizmu przybiera bezwład stworzonych rzeczy, diabeł. Tam, gdzie nie dochodzi utrzymujący wszystko w istnieniu wzrok Boga, pojawia się mechaniczność, zwiastun rozpadu.

W tym momencie ruszyła w niej cała lawina innych odkryć. Jedno po drugim – wiedza poza słowami, złożona z wrażeń i przeczuć.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wpadły bliźniaczki.

– Jesteśmy królem i królową. Proś nas, o co chcesz. Spełnimy każde twoje życzenie.

Erna potrzebowała chwili, żeby oprzytomnieć. Potrząsnęła głową. Katharine pachniała perfumami matki, a Christine – wodą kolońską ojca.

– Szperałyście w nie swoich rzeczach – odezwała się po chwili.

– Powiedz życzenie.

Erna wstała i przez chwilę chodziła po pokoju, aż spotkała swoje odbicie w lustrze szafy.

– Chciałabym być… piękna i… godna pożądania – użyła zwrotu, który gdzieś przeczytała.

Dziewczynki spojrzały na siebie poważnie i powiedziały rozkazującym tonem:

– A więc niech się tak stanie!

Potem bliźniaczki usiadły na łóżku i naśladując dorosłe kobiety, mówiły:

– Czyż ona nie jest piękna? A jakaż godna pożądania!

– Jakie ma wdzięczne ruchy!

– Niech pani spojrzy na jej złote włosy!

– To ci dopiero cycuszki…

– I jaka niezwykła twarz!

Zabawę przerwała mała Lina, która zapukała i weszła, nie czekając na „proszę”.

– Wróciła mama i zaraz jej powiem, że grzebałyście w jej toaletce.

– Nie zrobisz tego, skarżypyto.

– A właśnie, że zrobię – próbowała postawić się Lina.

– Jak będziesz skarżyć, to umrzesz. Zabijemy cię lusterkiem.

– Nie mówcie tak! – krzyknęła Erna.

– Nie wymawia się tego słowa. Nie wolno tak mówić – zaprotestowała mała i zadrżała jej broda.

– Nam wszystko wolno, bo umiemy czarować.

– Przestańcie! – Erna tupnęła nogą, twarz jej stężała.

I wtedy nagle zaczęły spadać na podłogę przedmioty: wazoniki na kwiaty, porcelanowe figurki, obrazki w ramkach, książki, puste szklanki po kakao. Szkło rozbijało się z hukiem, jakby popychał je niewidzialny złośliwy palec. Drobiazgi codziennego użytku popełniały masowe samobójstwo jak skaczące ze skał do wody opętane lemingi. Otworzyły się drzwi od szafy i zakołysały bezwładnie. Mała Lina patrzyła przerażona, a potem zatkała sobie uszy i zaczęła histerycznie wrzeszczeć. Bliźniaczki po chwili oniemienia wskoczyły na łóżko; skakały po nim, burząc misterne zaścielenie. Ich podniecony pisk potęgował zamieszanie. Do pokoju wpadła pani Eltzner, jeszcze w kapeluszu i płaszczu, a za nią Greta. Zobaczyły już tylko bałagan i zniszczenie.

– Co się tu dzieje? O Boże, mój wielki Boże… Co wyście tu zrobiły?

Lina wczepiła się w jej suknię i łkała. Bliźniaczki znieruchomiały w szalonym tańcu na łóżku. Wszystkie oczy skierowały się na Ernę. Stała, rozglądając się wokół pełnym grozy wzrokiem.

Walter Frommer

Zdarzenie to rozpaliło na nowo gasnące powoli zainteresowanie Erną. Podzieliło też wszystkich na tych, którzy uznali je za przejaw jakiejś mocy, spirytystycznej, psychofizycznej czy jeszcze jakiejś tam, oraz tych, którzy uważali, że nic tajemniczego się nie wydarzyło, a zniszczenie było dziełem czterech dziewczynek.

Oczywiście zaraz przeprowadzono z nimi rozmowy, najpierw rozhisteryzowana pani Eltzner, potem Frommer, po którego posłała. Erna sprawiała wrażenie, jakby nie bardzo wiedziała, o co chodzi. Mała Lina pozostawała zaś w stanie, który przypominał szok nerwowy. Najobszerniej i tonem znawczyń wypowiadały się na temat wydarzenia bliźniaczki. Były przejęte, ale mówiły bardzo rzeczowo. Od nich Frommer dowiedział się, że pierwszy spadł porcelanowy słonik.

Wcześniej niż zwykle kazano wszystkim dzieciom położyć się do łóżek. Przyjechał doktor Löwe, który polecił podać Ernie bulion, a Linie mocny napar z melisy. Obejrzał też Christine i Katharine, ale nie miał nic do zarzucenia ich psychicznej i fizycznej kondycji.

Około dziewiątej, gdy Löwe i Frommer rozmawiali z panią Eltzner w salonie, przyszedł Artur Schatzmann, po którego zadzwonił doktor. Uznał za stosowne zaraz przedstawić wszystkim swój punkt widzenia.

– Przyjęli państwo założenie, że to się rzeczywiście wydarzyło.

– Ba! – wykrzyknął Frommer ni to z podziwem, ni to ironicznie.

– Na czym oparty jest ten wniosek? – kontynuował Schatzmann. – Na relacji dwóch dziesięcioletnich dziewczynek i jednej jeszcze młodszej oraz na fakcie, że w pokoju był bałagan. To wcale nie musiało tak wyglądać. To są dzieci, ich rozróżnianie między tym, co rzeczywiste, a tym, co wyobrażone, umowne w zabawie, nie jest doskonałe. Istnieje coś takiego, co się nazywa histerią zbiorową, kiedy ludzie, wszyscy naraz,

widzą rzeczy, które w rzeczywistości nie istnieją. Duchy, Matki Boskie, świętych, latające talerze…

– Ale z pana niedowiarek – powiedziała pani Eltzner. – Szkoda, że nie widział pan tego bałaganu, jakby po pokoju przeszedł tajfun. Nie sądzę, żeby dziewczynki mogły narobić takich szkód.

– Tak, to trudno sobie wyobrazić – odezwał się doktor Löwe, masując w zamyśleniu swoją siwą brodę. – Wiesz, Arturze, co ja o tym myślę? Po pierwsze, wierzę w to, co się stało… w samoistne przemieszczanie się tych przedmiotów. Lekarze od dawna obserwują takie fenomeny u dorastających dziewcząt. Jest to być może rodzaj jakiejś nie zbadanej jeszcze energii, która pomaga im dojrzewać, z dziecka stać się kobietą. Być może wszystkie te dziwaczne rzeczy, które dzieją się z Erną, to jakieś anomalie związane z dojrzewaniem. Tak przynajmniej powiedziałby uczciwy lekarz.

– Mimo iż nie podzielam pańskiego medycznego punktu widzenia, muszę panu po części przyznać rację – odezwał się Frommer, siedzący w cieniu, pod kotarą. – Okultyzm zna wiele przypadków młodocianych mediów, które po osiągnięciu dojrzałości kobiecej traciły swe zdolności. Sądzę, że było to związane ze zmianą zainteresowań, hm, z erotyzmem, z utratą psychicznej niewinności i z brakiem zakorzenienia talentu w psychice, który przez to stał się ulotny. Jeśli jednak chodzi o Ernę, uważam, że to było coś w rodzaju nawiedzenia…

– Nawiedzenia… – powtórzyła bezwiednie pani Eltzner.

– To znaczy, że one znowu przez nią przemówiły, tylko w inny sposób, może była to demonstracja przeznaczona dla dzieci. Być może któryś ze spiritów czegoś potrzebuje, być może duchy chcą mówić, a trzeba przyznać, że do seansów zaczęliśmy ostatnio podchodzić ze zbytnią oczywistością czy znudzeniem.

Zapadła cisza, jakby Frommer obudził w nich wszystkich poczucie winy.

– Czasem wydaje mi się, że w naszym gronie jest ktoś, kto hamuje naturalne głębokie zdolności Erny… Ktoś, kto ją próbuje ograniczyć, zamknąć w terminy, regułki, sprowadzić do przeciętności w imię… sam nie wiem, w imię czego.

– W imię nauki – spokojnie powiedział Artur Schatzmann. – Sądzę, że to mnie ma pan na myśli. Ale myli się pan, panie Frommer. Ja nie chcę jej do niczego sprowadzać. Usiłuję ją zrozumieć. Widzę pod tą maską medium zwyczajną dziewczynę, która cierpi, prawdopodobnie jest samotna, być może boi się tego, co się z nią dzieje. Chciałbym ją zrozumieć i może jej pomóc, gdy tego będzie chciała. Pan natomiast przyjmuje te jej wszystkie objawy, normalne czy nienormalne, jako coś oczywistego. Prawda jest taka, że pan nie widzi pod tymi zjawiskami Erny. Pan ją traktuje jak przedmiot, który produkuje jakieś tam fenomeny. Taka jest między nami różnica.

– To pan ją traktuje jak przedmiot – powiedział dobitnie Frommer. – Wypytuje ją pan o najintymniejsze rzeczy, kradnie jej pan sny, żeby je potem rozbierać pęsetą jak martwego robaka. Jest dla pana obiektem badań, nie człowiekiem, jest pudełkiem z objawami. Chce się nią pan posłużyć, żeby napisać swoją pracę doktorską…

– Walterze! – krzyknęła pani Eltzner. – Pan Schatzmann chce Ernie pomóc.

– Bzdura. On Ernę bada, a według nich badać to sprowadzać wyższe do niższego.

– O, nie, tak bym tego nie ujął – powiedział spokojnie Artur. – Badać to sprowadzać mniej zrozumiałe do bardziej zrozumiałego.

– Ducha tłumaczyć prawami fizycznymi. Boga – prawem ciążenia. Duszę – urazami w dzieciństwie. Niech mi pan powie, czy uznaje pan istnienie świata duchowego, wykraczającego poza nasz, materialny?

– Duch jest objawem histerii – powiedział szybko Schatzmann.

Wszyscy umilkli. Gdzieś musiało być otwarte okno, bo delikatny, ledwie wyczuwalny przeciąg wnosił do salonu zapach świeżej ziemi i rzeki. Frommer wstał, jakby chciał wyjść.

– Teraz wszyscy państwo widzicie, że ten obiecujący młody lekarz jest symbolem upadku całej zachodniej cywilizacji. Negacja ducha, kult materii w jej najbardziej martwej formie, szaleńcza i niszcząca wiara w postęp… – Frommer wrócił na swoje miejsce w cieniu kotary. – Ale najbardziej niebezpieczne dla tego, co głęboko przeżywają ludzie, jest fakt, że niewypowiedzialne zostaje przegadane. Z pustych słów buduje się

teorie, które sobie wzajemnie przeczą. Z przerostu rozumu tworzy się bełkot.

Teraz odezwał się doktor Löwe:

– Niechże pan tak ponuro nie prorokuje. Ta upadająca według pana cywilizacja wiele zawdzięcza rozumowi. Z tego, co wiem, podejście Artura robi się coraz bardziej antyracjonalne. Psychoanaliza…

– Nie znam się na psychoanalizie – przerwał mu Frommer.

– Psychoanaliza zajmuje się siłami, które drzemią w nieświadomości, czyli tam, gdzie rozum zawodzi.

– Wie pan, to mi przypomina węża, który zjada własny ogon. Ta psychoanaliza może być bękartem nauki, zogniskowaniem całego wynaturzenia racjonalizmu. Jest jak dekadencja w sztuce. Coś się kończy, drodzy państwo.

– To pogląd mało oryginalny – powiedział Artur.

– I właśnie dlatego prawdziwy. Treści tego typu są coraz częściej obecne w seansach. Tak mówią przywoływane spirity…

– Sądzę, że w seansach bardziej rozmawiamy sami ze sobą niż z duchami.

Frommer po chwili milczenia powiedział:

– W pewnym sensie muszę się z panem zgodzić. Duchy to my, a my to duchy.

Artur Schatzmann chciał zaoponować, ale do rozmowy włączyła się pani Eltzner.

– Tak się cieszę, że w końcu panowie się zgodzili – powiedziała szybko, a doktor Löwe wstał i zaczął się żegnać.

– Mogę cię podwieźć do domu, Arturze.

Pani Eltzner poszła wyprowadzić obu gości. Rozmawiali jeszcze chwilę w przedpokoju. Frommer usiadł teraz na kanapie i bębnił palcami po nodze.

– W niczym się nie zgodziliśmy – mruknął do siebie z satysfakcją.

Pani Eltzner, wróciwszy do salonu, wyciągnęła od drzwi ręce do Frommera. Miała zaróżowione policzki.

– A więc niedługo robimy seans – oznajmiła.

Pani Eltzner

Pani Eltzner połączyła wiosenne porządki ze zmianą wystroju salonu. Przede wszystkim wyrzuciła stare kotary i zastąpiła je nowymi, w swoim ulubionym szafirowym kolorze. Cieszyła się, że będą pasować do koloru jej oczu i świeżo kupionej sukni. Gdy je zakładała z pomocą Grety, miała przez chwilę wrażenie, że wieszają nie kotary, lecz kurtynę do jakiegoś powstającego w salonie teatru, w którym ma iść sztuka napisana specjalnie dla niej. Kupiła też nowe abażury do lamp, zrobione z perłowoszarego muślinu, ozdobione srebrnymi frędzlami. Teraz światło w salonie nabrało czystego, chłodnego odcienia i nie było już tak duszące żółte. Wstawiła też donice z araukariami, a na kanapie i fotelach położyła koronkowe poduszki.

Wiosna tego roku podziałała na panią Eltzner szczególnie inspirująco. Miała wrażenie, że oto zaczyna się dla niej jakiś nowy okres w życiu. Wydała ogromną sumę na modny kapelusz z wielkim, ozdobionym kwiatami i piórami rondem i giemzowe rękawiczki. Zamówiła u krawcowej szafirową suknię, dość wąską w biodrach, ale szeroką dołem, i dwie jasne spódnice. Zauważyła, że zeszczuplała, i z zadowoleniem oglądała się w lustrze. Była prawie tak samo smukła jak kiedyś.

Zmienił się też jej stosunek do męża. Pan Eltzner przybił wreszcie do domowej przystani i spędził cały tydzień w domu, narzekając na nękające go, jak każdej wiosny, bóle żołądka. Żona była teraz bardziej zalotna, dziewczęca i odważna. W nocy stawała przed nim naga i dorodna jak nimfa. Powitał tę zmianę z zaskoczeniem, którego nie umiał ukryć. W niedzielę wielkanocną dał jej prezent: naszyjnik i bransoletkę z malutkich, doskonale okrągłych perełek.

Jednak w wieczór poprzedzający seans pani Eltzner płakała. Wydawało jej się, że nic nie jest tak, jak by chciała. Wyobraziła sobie jutrzejszy dzień i swoją w nim rolę. Wolałaby widzieć to, co się zdarzy, jako wyreżyserowany przez siebie spektakl, przewidywalny od początku

do końca, z efektownym finałem. Przypomniały się jej przedstawienia, w których brała udział jako młoda dziewczyna. Najpierw rosnące za kulisami napięcie, a potem nagłe oczyszczenie przez światła lamp i spojrzenia dziesiątek par oczu, które nakładały na jej twarz maskę; upajające uczucie, że można bezkarnie i niezobowiązująco stać się kim innym, żyć na nowo.

Pani Eltzner uśmiechnęła się do swoich myśli. Teraz przyszło wspomnienie porodu Erny, a może Marie, gdy krzyczała, że już nigdy nie będzie rodzić. Wtedy miała wrażenie, że skupia się na niej reflektor całego wszechświata i że gra rolę ważniejszą niż kiedykolwiek, nawet jeżeli jest to rola niezbyt szczęśliwie dobrana. Kwiaty, którymi zastawiono wtedy pokój, mogły być przyniesione równie dobrze wielkiej aktorce, nie matce. Pamiętała ich świeży i delikatny zapach. To były kwiaty wiosny, a więc musiała rodzić Marie, nie Ernę.

Pani Eltzner intensywnie poczuła, że nadal jest tym samym ciałem, otoczonym wzruszającym zapachem więdnących kwiatów. Może nawet tylko i wyłącznie ciałem, które nieustannie więdnie, jak te żonkile, ciałem, które zajmuje się wiecznie rzeczami nieważnymi, małymi, zapominanymi. Uśmiech stężał na jej twarzy. Teraz zobaczyła swoje życie jako kupkę usypaną z takich właśnie nieważnych rzeczy: nożyczek do paznokci, papilotów, gumek od słoików, szpilek, agrafek, zapinek, flakoników… Nagłe łzy same potoczyły się po dekolcie, układając się w nieuchwytny naszyjnik.

Bliźniaczki

Kiedy miały pewność, że Erna już śpi, cicho wysunęły się z pościeli i stanęły nad jej łóżkiem.

Salamandra niech płonie,
Undyna niech łudzi,
Sylf niechaj wionie,
Kobold niech się trudzi

– recytowały kilka razy wierszyk, zanim przeszły do właściwych czynności.

– Jesteś domem snów – mówiły teraz, rozkładając wokół miseczki z wodą i wykradzionymi z kredensu suszonymi owocami i ciastkami. – Jesteś domem snów. Zamieszkały w tobie jak w hotelu, rozgościły się i za ciebie żyją. My je nakarmimy, damy im słodyczy, żeby były przyjazne, i wody, żeby coś znaczyły. Damy im imiona, żeby można je było oswoić i żeby stały się silne jak małe tygrysy.

Christine zapaliła świeczkę i z namaszczeniem otworzyła kremowy notesik Erny. Głos dziewczynki stał się teraz zawodzący.

– Jedz, Śnie o Dwóch Księżycach i Śnie o Ogromnej Górze. Teraz niech przyjdzie Sen o Lataniu i posili się, żeby miał zawsze siłę unosić nas ponad dachy domów – Christine przewracała kartki notesu. – Potem niech je Sen o Podwodnym Mieście i wszystkie Sny o Dalekich Podróżach, i Sen o Nieskończonym Domu, i o Dziadku Przeprowadzającym Dzieci przez Zamarzniętą Rzekę.

Krążyły wokół niej na palcach lekko i bezszelestnie. Wydmuchiwały na nią jakieś pół słowa, pół oddechy, a potem kładły na jej uśpione ciało misternie zaplątane sznureczki. Podnosiły nad jej głową złączone ręce

i odskakiwały spłoszone, kiedy Erna przewracała się we śnie z pełnym skargi stęknięciem.

– Masz, siostro, potężną czarodziejską moc i nie chcesz czarować. Czary ci uciekają i nie słuchają cię. Weźmiemy ich trochę od ciebie i pokażemy ludziom. Wypuścimy na wolność kilka twoich snów – mówiła Christine.

– Ale nie po to, żeby się bawić – dodała szybko Katharine – ale żeby ci pomagać i bronić przed demonami, z których największym jest Walter Frommer.

Christine spojrzała z wyrzutem na siostrę.

– Nie powinnaś tego mówić. To miała być tajemnica.

Katharine wzruszyła ramionami.

Na koniec zebrały z Erny wszystkie sznureczki i zawinęły je w podartą jedwabną pończochę, którą schowały w blaszanym pudełku pod komodą. Odetchnęły z ulgą, wierzyły bowiem, że supły stały się odtąd więzieniem tego, co nieprzyjazne, jakkolwiek się to nazywało.

Christine podeszła do drzwi, uchyliła je i wyjrzała. Skinęła głową na Katharine, która szybko wzięła przygotowany dziecinny koszyczek. Wyszły na korytarz i sunęły jak mroczne zjawy do salonu, kierując się w ciemności tylko dotykiem. W salonie było jaśniej, bo przez okno wpadał szarożółty blask miasta. Natychmiast wzięły się do pracy. Porozwijały kłębki mocnych i cienkich nici, ustawiły pod oknem piramidę ze stolika i krzeseł, delikatnie poluzowały i tak luźną już szybę w serwantce z porcelaną. Katharine psuła teraz to, co za dnia zrobiła jej matka: obsuwała tkaninę kotar z żabek na karniszach. Do dolnego końca kotary Christine przyszyła cieniutką nić i poprowadziła ją wzdłuż ściany, pod serwantką dowiązała do niej mocniejszy sznurek. Taki sznurek przywiązały też do metalowego guzika, który powiesiły za sekretarzykiem, tuż nad podłogą. Najwięcej pracy zabrało im jednak poluzowanie gwoździa, na którym wisiał jeden z obrazków, przedstawiający jakiś smutny, wschodni pejzaż. Na zdobieniach ramy także zaczepiły jedwabną nitkę, która przechodziła w grubszy sznureczek. Na koniec odblokowały dubeltowe okno, tak że wystarczyło je jutro tylko lekko uchylić. Okno odskoczyło od framugi i narobiło hałasu. Dziewczynki złapały się kurczowo za ręce i znieruchomiałe nadsłuchiwały, czy śpiący dom odpowie

na to naruszenie jego spokoju. Nie odpowiedział. Za to na dworze rzewnie zakrzyczał jakiś kot i noc wchłonęła ten krzyk, tak jak wszystko.

Pani Eltzner

Następnego dnia pani Eltzner wstała wcześnie, w niespodziewanie dobrym humorze. Wczorajszy nastrój rozwiał się, jakby się tylko śnił. Uczesała się bardzo starannie, wiedziała, że potem nie będzie już na to czasu. Po śniadaniu kazała upiec kucharce dwie blaszki anyżkowych makaroników i wyprawiła dzieci do szkoły. Gretę wysłała po kwiaty i świeże ryby. Potem ćwiczyła z Liną grę na pianinie i delikatnie popędzała snującą się po domu Ernę.

Przy obiedzie ze zdziwieniem usłyszała, że jej mąż ma także ochotę wziąć udział w seansie, i to zbiło ją z tropu.

– Wiesz, mój drogi, jak bardzo może zaszkodzić medium ktoś, kto jest tak sceptyczny jak ty – próbowała go zniechęcić.

Ale pan Eltzner, rozgrzany ostatnimi nocami małżeńskiej miłości, był głodny wszystkiego, co nowe. Kręcił wesoło swoją rudą głową i powtarzał:

– Ach, nie, nie, nie. Nie byłem sceptyczny. Nie miałem na to czasu.

Po obiedzie poszła więc do salonu przystawić dodatkowe krzesło, martwiąc się, jak ten fakt przyjmie Frommer. Nagle zdała sobie sprawę, że ktoś za nią stoi. Odwróciła się i zobaczyła Ernę.

– Chodź tu do mnie. – Wzięła jej twarz wdłonie i zajrzała w jej szare, jakby zaspane oczy. – Co ci dzisiaj jest, córeczko? Źle się czujesz? Jesteś chora?

Erna zamrugała powiekami.

– Ta noc była taka dziwna. Ktoś chodził po domu i przestawiał meble – powiedziała.

– Musiało ci się śnić.

– Widziałam młodego pana Schatzmanna, jak unosił się w powietrzu, i pana Frommera, który zamieniał się w płonącą jaszczurkę...

– Śniło ci się – roześmiała się pani Eltzner.

– I były dwa małe gnomy, i ty, cała zapłakana, mokra od łez…

Pani Eltzner zrobiła się nagle poważna i przytuliła Ernę.

– To wszystko sny, moja maleńka. Zapisałaś je dla pana Artura?

– Nie umiem tego zapisać. Nie wiem, jak to się działo po kolei.

– Nie myśl już o tym. Chodź, zajmiemy się porządkami. Niedługo zaczną przychodzić nasi goście. Wyłożysz ciasteczka na tacę, a ja przygotuję ci tę białą sukienkę, dobrze?

Erna jeszcze bardziej wtuliła się w delikatnie pachnące piersi matki i chudymi ramionami otoczyła jej talię.

Erna Eltzner

Około ósmej wieczorem zaczęli się schodzić goście. Gdyby ktoś przyglądał się z boku tym ludziom, którzy wchodzili do mieszkania Eltznerów, wiedziałby, że nie idą na zwykłą kolację. Mieli poważne i pełne konspiracji miny, jakby schodzili się na tajne zebranie. Zniżali głosy, kiedy przekraczali próg mieszkania Eltznerów. Greta, z koronkową przepaską na głowie, patrzyła w podłogę, kiedy brała od nich wiosenne płaszcze. W korytarzu witał ich zapach palonych ziół, ale tylko nieliczni wiedzieli, że to było zalecenie Frommera – okadzić mieszkanie prażonym na suchej patelni arcydzięglem. Zanim salon powitał ich nowym wystrojem, pani Eltzner przepędziła z niego małą Katharine. Goście, zaskoczeni nowym wyglądem wnętrza, nie zajmowali od razu miejsc, jakby potrzebowali czasu na oswojenie.

Pierwszy przyszedł Walter Frommer ze swoją siostrą. Pani Eltzner posadziła Teresę na kanapce i wręczyła filiżankę z herbatą. Frommer stanął obok siostry i z wyraźnym niezadowoleniem lustrował pokój.

Zaraz po nich pojawił się doktor Löwe. Oddychał z trudem, skarżył się na wiosenne zmiany ciśnienia. Potem do tej trójki dołączył pan Eltzner, niby pan domu, ale nie zorientowany, roztargniony i nawet trochę zmieszany. Rozmawiali o nowym wystroju salonu, o cenach wełny, beatyfikacji Joanny d'Arc i wycofaniu przez Serbię roszczeń do Bośni i Hercegowiny.

– Ach, ta Serbia jest taka mała i taka awanturnicza – westchnęła pani Eltzner.

– W kręgach okultystycznych mówi się, że Serbia odgrywa szczególną rolę w dziejach Europy – podjął Frommer. – Ma się na myśli to, że Konstantyn Wielki był synem tej ziemi i to on dzięki objawieniu we śnie uczynił chrześcijaństwo religią światową.

– Tak? – zdziwiła się pani Eltzner grzecznie, bo nikt nie podjął tematu, i zaraz wyszła powitać nowych gości.

Tym razem były to jej dwie przyjaciółki, które po raz pierwszy zostały zaproszone na seans, a zaraz za nimi przyszła pani Schatzmann z Arturem. Nastąpiły ściszone prezentacje, powitania i grzeczne zapytania o zdrowie. Zaszurały krzesła, zadzwoniły o porcelanę łyżeczki. Przejęta Greta wniosła tacę z ciasteczkami.

Tymczasem Erna siedziała sztywno na swoim łóżku, czekając, aż ją zawołają. Starała się nie pognieść świeżo odprasowanej białej sukienki. Naprzeciwko niej tkwiła Katharine, wpatrując się w nią tajemniczo.

– Powinnaś pokazać im, jak wszystko spada – powiedziała po chwili milczenia.

– Nie wiem, jak to się robi.

– Nie wiesz, jak to się robi, a robisz.

– Kto przyszedł? Jest tam syn pani Schatzmann? – Erna zmieniła temat.

– Chyba też przyszedł. Masz tremę?

– Wcale nie chce mi się tam iść. Potem się tak źle czuję, a oni chcą, żeby to trwało i trwało.

Katharine spojrzała na swoje dyndające nad podłogą nogi.

– Gdybyśmy miały taką moc jak ty, wiedziałybyśmy, co z nią zrobić…

– Katharine, ja nad tym nie panuję. Nie robię tego, co chcę. To się samo robi.

– Musisz wierzyć, że cokolwiek się dzieje, to ty to robisz. To takie proste, Erno. Dziś chcemy ci pomóc.

Erna uśmiechnęła się po raz pierwszy od wielu dni.

– Ach, wy małe bączki, wy dwa krasnale – powiedziała czule, ale zaraz zesztywniała, bo obie usłyszały na korytarzu szybkie kroki matki.

Erna zapadła w sen bardzo szybko, z ulgą, jakby chciała uciec od wpatrzonych w nią z wyczekiwaniem wielu par oczu. Natychmiast znalazła się w miejscu, które nazywała Korytarzem Znikania. I znowu było tak jak zawsze: rozmywała się czy też otwierała tak szeroko, jak to tylko możliwe. A może wypływała z siebie, gdzieś w głąb tej nieskończonej perspektywy – prowadzącej dokąd? Słyszała wiele głosów, jakby znalazła

się na świątecznym festynie. Mówiły, krzyczały, szeptały. Łapała pojedyncze słowa, ale zaraz je zapominała. Głosy sunęły przez nią i poza nią, wahały się między konkretnieniem w słowa a pozostawaniem niezrozumiałym szumem. Czasem zostawały dłużej i czuła, jak się w niej rozglądają. Przypominało to łaskotanie, które męczy. Gdzieś na zewnątrz siebie Erna pomyślała, czy też raczej poczuła, że powinna pójść dalej, głębiej, wyżej.

Jej myślenie albo czucie było tożsame z dzianiem się. Ernę ogarnęła radość i lekkość. „Tak? Tak?" – pytało coś w niej. „Tak, tak" – odpowiadała sobie jakby z drugiego bieguna. Widziała teraz siebie przenoszoną na sofę, bladą i nikłą jak mdłe światło. Widziała małą łysinę Frommera i koczek jego siostry. Widziała ramiona matki, przysypane drobinkami łupieżu plecy ojca i schowaną za serwantką, skuloną Christine.

Musiała być gdzieś w górze i była w górze, bo zaraz zobaczyła z góry port i ciemne nocą morze, i światła statków, i zegar na różowej wieży. Była tam, gdzie pomyślała. Myślenie było ruchem i jedyną rzeczywistością. Nagle pojawił się niepokój, lekki jak muślin. Nie była już na sofie ani nad nocnym portem, ani gdziekolwiek. Popychał ją wiejący od słońca wiatr i rozpraszał na coraz drobniejsze części, które parły cierpliwie w sam środek odpowiedzi. Wystarczyło się poddać, przyjąć to, co zaczęło się stawać, ale Erna z niezwykłą jasnością wiedziała, że potem nie będzie powrotu, przynajmniej nie do tego samego, nie do siebie. „Co to jest?" – pytała, chociaż wiedziała już wszystko. Niepokój zaczął gęstnieć, był jak lniane płótno. Erna z powrotem znalazła się w salonie. I jak poprzednim razem wskoczyła w sam środek siebie, w jedną ze swoich możliwości i zapomniała o lataniu. Rozpierała ją radość i pożądanie wszystkiego, co żyje, co się zmienia, błyszczy i migoce. „To ci dopiero zebranie, to ci menażeria" – powiedziała pełnym głosem. Śmiech sprawiał jej fizyczną radość i rozgrzewał odrętwiałe dłonie. Była zajęta tylko sobą. Nie obchodziło jej to, że przeciąg gwałtownie otworzył okno, że spadł obraz przedstawiający melancholijny wiejski pejzaż i że mała dłoń Christine cisnęła o ścianę kilka orzechów.

Notatki Artura Schatzmanna

SEANS V
Kwiecień

Jak się dowiedziałem, na przełomie lutego i marca odbyły się jeszcze dwa seanse z udziałem E.E., na których nie byłem obecny. Z relacji osób biorących w nich udział wynika, że pacjentka wpadła w stan, w którym przepowiadała przyszłość. Była to wizja zniszczenia, końca świata i przyjścia Antychrysta. Niezwykle plastycznie opisywała sceny walenia się domów, pożarów i zgliszcz, śmierci ogromnej liczby ludzi. Można mniemać, że inspiracji do tej wizji dostarczyły jej doniesienia prasowe na temat trzęsienia ziemi w Messynie, które nastąpiło kilka miesięcy temu, o czym zresztą rozmawiała ze mną z niezwykłym przejęciem. Należy wspomnieć, że wizje te przyniosły jej pewną popularność i dlatego na kwietniowym seansie, który opisuję, było aż dziesięć osób. Utrwaliło się przekonanie, że E.E. przepowiedziała na jednym z pierwszych seansów owo trzęsienie ziemi, lokalizując je w południowych Włoszech. Przekonanie to funkcjonuje obecnie jako dowód prekognicyjnych zdolności E.E.

E.E. bardzo szybko weszła w trans. Pojawiła się rzecz dla mnie nowa, ale obecna już przy poprzednim „wizjonerskim" seansie – ruchy stołu. Początkowo było to drżenie o dość dużej częstotliwości, a potem nieregularne kołysania, a nawet podskoki. W czasie trwania tych fenomenów ruchowych E.E. ma twarz bladą, skupioną, nieruchomą. Ręce oczywiście trzyma na stole, połączone z dłońmi innych uczestników.

Kiedy katalepsja staje się głębsza, co uwidacznia się przez wystąpienie na twarzy trupiobladego koloru i spłycenie oddechu, E.E. zostaje przeniesiona na sofę. Po chwili zaczyna mówić znanym już mentorskim tonem przypisywanym przez innych jej dziadkowi. Jest on jakby duchem-przewodnikiem i opiekunem medium. Zebrane osoby proszą go

o przywołanie duchów ich bliskich krewnych. Pani S. prosi o przywołanie jej zmarłego męża. Po chwili milczenia przywoływany „duch" zgłasza się. Z jego wypowiedzi nie wynika nic konkretnego, są to raczej slogany i odpowiedzi wymijające. Jednakże jest zachowane pewne podobieństwo do sposobu mówienia osoby zmarłej. Następnie zaczyna mówić duch zmarłego kilka lat temu dziecka. Interesujące jest, że E.E. doskonale imituje dziecięcą mowę, nie ma w tym charakterystycznej tendencji do zdrabniania, jak to robią dorośli naśladujący mowę dzieci. Pojawia się jeszcze kilka innych „duchów", które głównie odpowiadają na zadawane przez obecnych pytania. Pod koniec, zamiast dziadka-przewodnika, zjawia się znana już z poprzednich dwóch seansów Pola. Kiedy ona „mówi przez" E.E., na twarzy medium pojawia się rumieniec i wyraźne ożywienie. Wybucha nagle śmiechem i z niezwykłą dla niej żywością opowiada o fantastycznych wydarzeniach z rzekomej „duchowej przeszłości" jednej z osób. Mówi pięknym, opisowym językiem.

W trakcie seansu z kątów pokoju dochodzą odgłosy stukania, co wprawia obecnych w podniecenie. Przy pojawieniu się Poli spada obraz ze ściany i otwiera się okno. Wszyscy są zaskoczeni. (Zupełnie nie wiem, co o tym sądzić).

Po przebudzeniu E.E. wydaje się kompletnie nieświadoma zarówno zjawisk fizycznych, jak i swojej niedawnej frywolności pod postacią Poli. Jest zmęczona i zła, że seans trwał tak długo.

Warto wspomnieć, że jakiś czas przed tym seansem nastąpiło zdarzenie, którego świadkami były, niestety, tylko młodsze siostry E.E. Według ich relacji E.E. miała spowodować zdemolowanie pokoju poprzez wyzwolenie jakichś mocy. Matka E.E. opowiadała, że w pokoju dziewcząt pospadały wszystkie drobne przedmioty.

Teresa Frommer

Rodzeństwo Frommerów wracało z seansu mokrymi od wiosennego deszczu ulicami. Walter był podekscytowany jak nigdy i nie próbował tego kryć. Zataczał rękami szerokie półkola, mówiąc o ogromnych perspektywach Erny.

– Widziałaś to? Widziałaś? – dopytywał się co chwila, nie czekając na odpowiedź, nie patrząc na siostrę.

Z satysfakcją opisywał pełną powstrzymywanego zadziwienia i strachu twarz młodego Schatzmanna. Przypominał sobie piski kobiet i stężały od grozy wzrok doktora Löwe. Widział przestraszonego pana domu; i tylko oczy pani Eltzner były pełne żaru i prawdziwego szczęścia. Frommer miał wrażenie, że oboje wyrastali ponad te gorączkowe reakcje, tę panikę, te spłoszone spojrzenia. Oni oboje zawsze byli pewni. Ich dwojga nic nie mogło zadziwić.

– Widziałaś to? Najpierw chyba otworzyło się okno, ale jestem pewien, że to nie przeciąg zrzucił obraz... Jaka to musiała być siła! Moc, jaką dzisiaj ujawniła ta mała, musiała być naprawdę wielka. Może mógłbym już ją zacząć przygotowywać do bardziej konstruktywnych manifestacji... Wiesz, lewitacje, ektoplazma... Może nawet zjawy, przywoływanie zjaw. Co o tym myślisz?

Teresa nie odpowiadała. Starała się nadążyć za długim krokiem brata. Nie słuchała go zbyt uważnie. Wciąż jeszcze była myślą w salonie Eltznerów, próbowała oswoić się z tym, co widziała, z drżącą, niepewną jeszcze nadzieją, że to w r ó c i ł o. Powinna opowiedzieć o tym Walterowi, ale jak zacząć mówić, jak to ująć, żeby go nie zezłościć, nie pozbawić dobrego humoru. W gruncie rzeczy bała się idącego koło niej mężczyzny, któremu nie sięgała nawet do ramienia.

Gdy dotarli do domu i gdy znalazła się wreszcie w swoim fotelu odwróconym do okna, straciła ochotę, aby podejmować ryzykowną próbę mówienia. Czy można opowiedzieć ból głowy albo lęk, który zakleszcza

serce tuż przed zaśnięciem, albo uczucie nieskończonej samotności, gdy patrzy się na księżyc? Słyszała, jak Walter krząta się jeszcze po domu, jak skrzypią podłogi, trzaskają klamki u drzwi, szeleszczą kartki książek. Potem wszystko ucichło i tylko nadzwyczajny słuch Teresy mówił jej, że Walter pisze.

Teresa oparła głowę; wróciła do salonu Eltznerów. Znowu widziała to co przedtem, teraz zamazane ułomnością pamięci, poszarzałe, ale nadal zdumiewające. Drobna, przygarbiona Erna w białej sukience, z pobladłą twarzą i opuszczoną szczęką, co nadawało jej wyraz brzydki i bezmyślny. Patrząc na nią, Teresa poczuła nagle znajome, ale prawie już zapomniane mrowienie w końcach palców i wzdłuż kręgosłupa, jakby ciekł jej po plecach cienki strumyczek ciepłej wody. Jej ciało najpierw spięło się obronnie, a potem pozwoliło płynąć tej strużce, po krzywych plecach, aż po pośladki. Wtedy powoli jakieś potężne, niewidzialne palce zaczęły zdejmować z rzeczywistości pajęczynę, jaką do tej pory była okryta. Rzeczy okazały się teraz bardziej oczywiste, co nie znaczy wcale, że bardziej konkretne. Nawet odwrotnie, wydawały się teraz na wpół przezroczyste, jakby ich sedno nie tkwiło wcale w ich kształcie czy przeznaczeniu, ale w tym, czym są w swej istocie, w tym, że naśladują tylko jakąś uniwersalną formę, są cieniem czegoś niewyrażalnego. Świat, jaki zobaczyła na chwilę Teresa, był światem zrobionym z iluzji, wymysłów, wyobrażeń. Lęk, jaki nagle poczuła, sparaliżował ją. Wszystko było w y m y ś l o n e. Ludzie siedzący przy stole z tymi poważnymi minami byli zarysami nie istniejących postaci, mieli tylko kontury, które ktoś na chybił trafił napełniał cechami. Gdy nagle zaczęła się przyglądać sobie samej, ta straszna wizja powoli się rozpłynęła i Teresa poczuła ulgę. Ale nadal działo się coś z jej widzeniem. Oczy, które przed chwilą patrzyły na wskroś, p o p r z e z rzeczy, i teraz umiały widzieć więcej niż zwykle. Teresa ujrzała skuloną za serwantką Christine, kurczowo trzymającą w małych dłoniach jakieś sznurki. Od razu wiedziała, co dziewczynka zamierza z nimi zrobić, co się za chwilę stanie. Nie zgorszyło jej to i w żaden sposób nie poruszyło. Jej uwagę zajęła Erna, a raczej brak Erny w tym, co jeszcze przed chwilą Teresa za Ernę brała. Były tam jakieś inne osoby. Było ich kilka. Były tak samo realne jak te, które siedziały przy stole. Do głowy przyszedł jej pomysł, żeby policzyć, ile osób jest w salonie – taki rodzaj zadania

z algebry: w pokoju jest dwanaście osób, a każda osoba zawiera w sobie nieokreśloną liczbę innych osób, z tym że liczba osób w jednej osobie nie może być mniejsza niż dwa. Ile osób jest w salonie? Teresę odprężyła i rozśmieszyła ta myśl, wiedziała bowiem, że nie tylko Erna jest „mnoga". Mnoga była także pani Eltzner i jej dwie przyjaciółki, Berta i młody Schatzmann, a nawet Walter. Najbardziej niepodzielny wydawał się doktor Löwe, może dlatego, że był najbliższy śmierci. Teresa zobaczyła przez mgnienie śmierć doktora.

Gdy otworzyło się okno i zaczęły spadać pociągane sznurkami Christine przedmioty, Teresa Frommer była zajęta czym innym. Patrzyła w wypełniającą przestrzeń nad stolikiem, nad całym salonem Eltznerów t w a r z, która przyglądała się wszystkiemu uważnie, z wyczekiwaniem, wielkimi oczami o nieokreślonym kolorze. Teresa była pewna, że twarz wiedziała, co się zdarzy nie tylko zaraz, za chwilę, ale i potem. Była to twarz młodej jeszcze kobiety z pionową zmarszczką na czole. Teresa widziała dokładnie oczy i pojedynczy włosek na brodzie. Kiedy wielkie oczy spoczęły na niej, zrozumiała, że stała się na chwilę najważniejsza, że jej istnienie ma sens, który może trudno jest wyrazić, ale który utrzymuje ten skupiony w salonie świat w istnieniu.

Oto największe odkrycie Teresy. Może najważniejsze w jej życiu, realne jak sen, który najprecyzyjniej określa to, co działo się na jawie, i którego oczywiste nauki wpadają zawsze wprost do umysłu, omijając utarte drogi, jakimi chodzą zmysły. Teresa odkryła nierealność swojego świata.

Czy umiałaby to opowiedzieć bratu? Im dłużej się teraz nad tym zastanawiała, tym bardziej czuła się samotna, a z chłodu samotności płynął dreszcz lęku. Skąd się brał? Znikąd, co znaczyło, że był cały czas, zawsze. Lepiej czy gorzej ukryty, przespany, przerobiony na inne uczucia, jak sukienki po zmarłej matce. W Teresie rosło przekonanie, że tam, u Eltznerów, usnęła i śniła tę niesamowitą twarz. Sen ściągał ze śnionego świata mgłę oczywistości. Jak obieranie pomarańczy: pod żółtą łupiną jest jeszcze jedna, ta biała, gorzka. Delikatnie ściągana odkrywa dopiero prawdziwy owoc – przezroczysty miąższ. Miąższem pod skórką rzeczywistości jest lęk. Lęk rodzi się z przeczucia, że tam pod spodem, pod przyzwyczajeniem nie ma nic stałego. Po raz pierwszy w życiu widok własnego, znanego na pamięć pokoju wzbudził w Teresie przerażenie.

Etażerka, kilim na ścianie, stół i krzesła – każda z tych rzeczy nie miała żadnego uzasadnienia. Pod każdą z nich mieściła się czarna otchłań.

Teresa głębiej wsunęła się w swój fotel i odwróciła ku oknu. Widziała delikatną brązową łunę nad Kaiserplatz, którą tworzyły założone tam niedawno elektryczne latarnie.

Erna Eltzner

Po tym, co pan Eltzner zobaczył na seansie we własnym domu, bez wahania uległ prośbie Artura Schatzmanna popartej autorytetem doktora Löwe, żeby Erna mogła być przebadana w laboratorium. Samo słowo „laboratorium" niosło ze sobą dla Eltznera słodkie poczucie bezpieczeństwa i spychało konieczność przemyślenia tego, co widział, na dalszy plan. „Badania wszystko wyjaśnią", myślał z nadzieją. Po niespokojnej, prawie bezsennej nocy z ulgą wyruszył do swoich tkalni.

Pani Eltzner przygotowała Ernie granatowy, szkolny mundurek, tak bardzo skromny i formalny, iż nie ulegało wątpliwości, że jej córka ma stać się osobą badaną. Po prostu „osobą badaną" i niczym więcej. Przed samym wyjściem okazało się, że wiosenne trzewiki Erny, wyciągnięte z pudła, gdzie zimowały, były za ciasne i Erna musiała wystąpić w trochę przydużych, ale za to całkowicie dorosłych pantoflach Marie.

Postanowiły iść piechotą, choć musiały przejść spory kawałek drogi: laboratoria mieściły się na wydziale zoologii. Pani Eltzner skrzętnie ukryła swoje rozczarowanie tym, że jej córkę będzie się badać tam, gdzie zwykle bada się zwierzęta.

Było pięknie i niezwykle ciepło jak na kwiecień. Wiosnę czuło się w powietrzu, ale brakowało wśród murów zapachu świeżej trawy, kwitnących mleczy i otwierających się pąków drzew owocowych. Pełne ludzi ulice parowały moczem i odchodami koni ciągnących wozy i dorożki. Przejeżdżające tramwaje zostawiały po sobie hałas i ledwie uchwytną woń metalu. Dopiero gdy przeszły Odrę i poszły na skróty w stronę Ogrodu Botanicznego, poczuły zapach drzew i wolnej od budynków przestrzeni.

Obie były podniecone: matka – wiosną i powagą badań, córka – tym, że zobaczy Artura Schatzmanna.

Artur czekał na nie przed wejściem do wielkiego gmachu wydziału zoologii. Miał na sobie długi szary fartuch. W pierwszej chwili nie poznały go.

Prowadził je do góry po szerokich marmurowych schodach, które na każdym półpiętrze zakręcały, jakby chciały ominąć stojące w donicach egzotyczne palmy, fikusy i draceny. Mijali ich ludzie w takich samych szarych fartuchach; pod pachami nieśli książki i papiery. Potem, na trzecim piętrze, weszli w długi korytarz zastawiony po sufit szklanymi szafami pełnymi słojów z pływającymi w formalinie tasiemcami i embrionami zwierząt. Pani Eltzner kątem oka zarejestrowała długi obły kształt w dwulitrowym słoju i zaczęło jej się robić niedobrze. Do tego w powietrzu unosił się dziwny zapach: po wierzchu aseptyczny i świeży, lecz gdy się go wciągnęło głębiej w nozdrza, rozpoznawało się woń rozkładu.

Artur cały czas mówił. Najpierw o kłopotach, jakie miał z pewnym urządzeniem, które dosłownie przed chwilą udało mu się uruchomić, potem o samym instytucie i o tym, jak to studenci bez szacunku obchodzą się z preparatami.

W pokoju, do którego weszli, było niewiele mebli, ale stała tam dziwaczna maszyna. Przez szkło widać w niej było jakieś dźwignie, sprężyny i listewki. Z drewnianego pudła wystawała długa rura zakończona metalową półkulą, która pani Eltzner natychmiast skojarzyła się z kapeluszem. Potem okazało się, że miała rację – był to przyrząd do frenologicznych pomiarów czaszki.

– Chcę zrobić wszystkie możliwe badania – powiedział przepraszająco Artur, widząc zdziwienie na twarzy pani Eltzner.

Był tam też stół, na którym stało kolejne tajemnicze urządzenie, a dalej waga, szpitalne łóżko i biały parawan. Na ścianie wisiały plansze pełne symboli i liter, zupełnie takie same jak u okulisty. Potem jeszcze asystent wtoczył stolik na kółkach z jakimś metalowym cylindrem, który nazwał „magnesem".

Erna musiała wejść za parawan, gdzie asystent Artura kazał jej zdjąć sukienkę i włożyć burozielony fartuch wiązany z tyłu na troki. Z żalem zamieniła też pantofle Marie na płaskie kapcie. Artur wytłumaczył, że jest to konieczne, chodzi bowiem o „przepływ prądu".

– Czy zamierza pan przepuszczać przez nią prąd? – zaniepokoiła się pani Eltzner.

– Ach nie, choć może to tak zabrzmiało… Zamierzam między innymi zbadać, w jaki sposób pracuje mózg Erny. Do jej skóry na głowie przyczepię elektrody i podobne do fal potencjały z mózgu zapiszą się na papierze.

– Czy to znaczy, że ja mam prąd w mózgu? – zapytała Erna, siadając na obrotowym krześle.

– Wszyscy mamy.

Zaczęły się badania. Najpierw Ernę ważono i mierzono. Zaglądano jej w oczy i do ust. Asystent zgrabnym młoteczkiem sprawdzał odruchy, a potem zmierzył puls i temperaturę ciała. Gdy skończył, Erną zajął się Artur. Posadził ją przy stole i przyczepił do głowy przewody. Pani Eltzner musiała jeszcze raz się upewnić, że nie popłynie przez nie prąd wielkiej mocy i nie zabije jej córki. Erna zaś miała świetny humor, żartowała i kręciła się na stołku.

– Proszę o spokój, jeszcze chwileczkę – mówił Artur.

Tymczasem panią Eltzner zajął się asystent. Zadał jej mnóstwo pytań według kwestionariusza, który rozłożył przed sobą, ale tak, żeby pani Eltzner nie mogła dojrzeć tego, co on tam wpisuje. Pytania były dziwaczne. Najpierw musiała odpowiedzieć, jak przebiegał poród Erny, ile ważyła, jak długo była karmiona piersią, czy ssała smoczek, czy miała nianię, kiedy zaczęła ząbkować, chodzić, czy nie miała urazu głowy, utraty przytomności, w co się najchętniej bawiła, z kim w rodzinie ma najbliższy kontakt, czy woli ojca, czy matkę, czy ma już menstruację… Pani Eltzner zaczęła żałować, że w ogóle tu przyszła. Całe szczęście, że nie słuchała tego wszystkiego zajęta badaniem Erna.

– Czy to wszystko? – zapytała chłodno tego ciekawskiego asystenta.

– Tak, dziękuję.

Po chwili miła starsza pani zaproponowała pani Eltzner kawę w przyjemniejszym miejscu niż ta pracownia. Pani Eltzner zawahała się.

– Wskazane jest, żeby pani poszła. Nie zrobimy jej nic złego – roześmiał się Artur.

Pani Eltzner posłuchała, ale rzuciła jeszcze od drzwi:

– Zaraz wrócę.

Erna zamknęła oczy, gdy Artur delikatnie odklejał elektrody. Poczuła, że mogłaby usnąć, ale nie chciała tego zrobić. Kiedy otworzyła powieki, młody Schatzmann siedział naprzeciwko i niedbale machał pękiem kabelków. Patrzył jej uważnie w twarz.

– Jak to się dzieje, że potrafisz robić takie rzeczy? Że poruszasz przedmiotami… Poruszasz? – Jego wzrok dokładnie badał twarz Erny. Czuła go prawie jak dotyk.

– Nie wiem. To się samo robi – odpowiedziała Erna i odwróciła twarz.

Artur przysunął się z krzesłem jeszcze bliżej Erny. Jego kolana lekko dotknęły kolan dziewczyny.

– Powiedz mi, co jeszcze potrafisz robić takiego, czego inni nie potrafią?

Poczuła jego oddech, cierpki i świeży, jakby przed chwilą jadł trawę.

– Umiem spać, to znaczy, wiem, kiedy mogłabym zasnąć i wtedy duchy mogłyby mówić przeze mnie… Umiem też patrzeć do środka i widzę wszystko… To tak, jakby się widziało naraz to, co było, jest i będzie. Ale wtedy trzeba się skupić, bardzo mocno. Szybko się męczę, jak każde medium…

– Skąd wiesz, jak to jest z innymi mediami?

– Pan Frommer mi to wyjaśnił.

– I co jeszcze umiesz?

– Umiem zamówić sobie, co ma mi się śnić… – Tak? I co jeszcze?

– To chyba już wszystko… Nie pamiętam.

– Widujesz jeszcze duchy na jawie?

Popatrzyła na niego badawczym wzrokiem.

– Rzadko. Prawie wcale. Czasem dziadka lub panią Frommer.

– Panią Frommer? Przecież ona żyje…

– Starszą panią Frommer. Ona chodzi tam i z powrotem.

– Aha. Czy masz wtedy wrażenie, że widzisz to naprawdę, czy wiesz, że ci się to wydaje?

– Chyba mi się wydaje – powiedziała Erna, patrząc na Artura jak uczennica na nauczyciela. – Ale też widzę naprawdę.

– Powiedz mi teraz, z czym ci się kojarzy słowo „matka”.

Erna nie zrozumiała.

– Powiedz pierwsze słowo, które ci przyjdzie na myśl.

– Kawa.

– Dlaczego kawa?

– Bo poszła pić kawę.

– A słowo „kawa”?

– Płyn, woda.

– A dalej…

– Morze, ocean…

Ernie przypomniał się sen opływaniu pod wodą, o wodnym mieście. Artur znał ten sen z zeszytu, nie było więc powodu go opowiadać.

– Dobrze, Erno, a teraz drugie słowo. „Ojciec”.

– Cygaro – odpowiedziała natychmiast.

Schatzmann rzucił porozumiewawcze, zadowolone spojrzenie na asystenta. Potarł sobie koniuszek nosa, próbując ukryć uśmiech.

– Dlaczego cygaro?

– Bo ojciec pali cygara.

– Dobrze. A „cygaro”?

– Armata.

– Dobrze. A dalej?

– Baron Münchhausen. Ten co latał na kuli z armaty.

Artur nie kontynuował tej zabawy. Podał Ernie rękę i podprowadził ją pod dziwaczny niby-zegar z metalowym kapeluszem.

– Będziemy ci teraz mierzyć głowę.

Erna poddała się dłoniom Schatzmanna, które delikatnie badały kształt jej czaszki i na koniec włożyły na głowę metalowe urządzenie przypominające kapelusz. Teraz Artur beznamiętnym głosem dyktował asystentowi symbole i cyfry. Ten monotonny głos i sporadyczny dotyk palców działały na Ernę usypiająco. Czuła się poddana, bezwolna. Musiała całą siłą woli pilnować się, żeby nie usnąć. Było zupełnie tak jak u krawcowej. Potem Schatzmann założył sobie na głowę obręcz ze szkiełkiem, wziął jej twarz w dłonie i długo świecił tym w oczy Ernie.

Wyglądał jak wielki żuk. Kazał jej patrzeć na poruszające się pióro i nazywać kolory naniesione na paski papieru.

Ernie przeszedł już cały entuzjazm i radosny nastrój. Czuła się zmęczona i senna. Miałaby ochotę zarzucić ręce na ramiona Artura i tak spać. Jej energia odpływała, Artur Schatzmann z lusterkiem na czole spijał ją z niej, wysysał. Erna nie chciała się bronić, to osłabienie było przyjemne. Powoli stawało się jej wszystko jedno. Dawała się prowadzić, ustawiać, dotykać, jak przedmiot, jak wielka lalka. Wreszcie młodzi badacze zauważyli to.

– Czy źle się czujesz? Jest ci niedobrze? – zapytał Artur.

Erna zaprzeczyła ruchem głowy, trąc zapamiętale czoło, na którym wciąż czuła dotyk męskich dłoni i metalu.

Pani Eltzner

Dom Eltznerów stawał się znany. Ludzie opowiadali sobie o poruszających się przedmiotach, stukach, głosach duchów. Ciekawe kobiety z sąsiedztwa, kłaniając się z szacunkiem pani Eltzner, szeptały, że jej córka jest nawiedzona, że całemu domowi grozi niebezpieczeństwo nawiedzenia. Jakaś krawcowa z oficyny także zaczęła widzieć duchy. Na kolejne seanse stali uczestnicy zaczęli przyprowadzać znajomych, a ci ostatni chcieli jeszcze wprowadzić własnych znajomych. Młody Schatzmann zaprosił raz na seans prawdziwego naukowca, profesora Vogla, pani Schatzmann ściągała swoje owdowiałe przyjaciółki, nawet Frommer przyprowadził pewnego znanego esperantystę, który twierdził, że duchy na wszystkich seansach na świecie usiłują dać ludzkości ważne przesłanie, ostrzeżenie, ale ponieważ te informacje pojawiają się tylko we fragmentach, nie jesteśmy w stanie ich do końca zrozumieć.

Pani Eltzner zajmowało teraz sporo czasu organizowanie tych spirytystycznych zebrań. Była czymś w rodzaju dyrektora teatru. Musiała zadbać o zapasy kawy i ciasteczek, a czasem, gdy zaproszeni goście zostawali na kolację – o zrobienie większych zakupów. Musiała też dawać sobie radę z rosnącym niezadowoleniem męża. Ustalała więc porę seansów tak, żeby nie było go w domu, co nie sprawiało zresztą większych trudności. W branży tekstylnej trwała dobra passa – powiększały się zamówienia rządowe na tkaninę dla wojska. Z pewnych powodów armia niemiecka potrzebowała mnóstwa mundurów.

Rodzina Eltznerów zdecydowała się, mimo wcześniejszych planów, nie wyjeżdżać na wakacje za granicę. Pan Eltzner musiał trzymać rękę na pulsie. Uzgodniono, że w czerwcu, gdy skończy się nauka w szkole, pani Eltzner pojedzie z dziećmi do siostry pana Eltznera. Wieczorami przed zaśnięciem Eltznerowie coraz częściej mówili o kupnie domu.

Bliskość lata rozbudzała takie marzenia. Wrocław obsychał po majowych deszczach, napełniał się wszystkimi odcieniami zieleni i błękitu. Pani

Eltzner z przyjemnością wychodziła po zakupy. Greta niosła za nią kosz, do którego wybierały ze straganów pęczki purpurowych rzodkiewek, nieregularne głowy sałaty i miotły szczypioru. Trudno było się też oprzeć bukietom kwiatów, które sprzedawano na każdym placu. Pani Eltzner nie mogła obojętnie przejść obok smukłych żonkili. To były jej kwiaty.

Powodowana jakimś mało konkretnym skojarzeniem i niejasnym poczuciem winy, kupiła Ernie długą żółtą sukienkę z falbaniastym karczkiem i bufkami. Kiedy ją przyniosła do domu, przyszedł akurat doktor Löwe. Pani Eltzner dokładnie wiedziała, co powie staruszek. Erna ostatnio wymiotowała po seansach. Löwe sugerował, nie pierwszy już raz, żeby zrobić przerwę do jesieni, a przynajmniej do sierpnia, kiedy pojawią się owoce i świeże warzywa i rozkwitłe lato dziewczynkę wzmocni.

– Wiem, wiem, doktorze – mówiła pani Eltzner. – Nie powinniśmy jej tak przemęczać. Niech to będzie ostatni raz przed wakacjami. Tylko sami swoi. Godzinkę, nie więcej.

Doktor wzdychał, sprawdzał godzinę na swoim starożytnym zegarku, zachwycał się kwiatami w wazonie i wychodził. Pani Eltzner szybko zapominała o jego wizycie.

Po obiedzie przychodził Frommer. Pani Eltzner, w zależności od humoru, pogody i Bóg wie jeszcze czego, czasem witała go wylewnie i ciepło, a czasem długo kazała mu czekać w salonie, a gdy już przyszła, była zniecierpliwiona i oschła. Widziała, że Frommer już od wejścia usiłuje odgadnąć, co go dzisiaj czeka. Gdy dostrzegał w jej zachowaniu roztargnienie, a w oczach chłód, dłużej siedział z Erną, a potem jego zgarbiona postać na kanapie w salonie budziła w pani Eltzner wyrzuty sumienia. Starała się więc być dla niego miła. Ale wtedy Frommer popadał w podniecenie, mówił zbyt dużo, całował ją po rękach, co ją znowu rozdrażniało. W głębi serca miała do niego pretensje, że nigdy nie przyniósł jej kwiatów, że nigdy nie był szarmancki ni męski, że gdy zaczynała mówić o sobie, nigdy nie wiedział, co odpowiedzieć, jak wyrazić współczucie, a jego twarz przybierała wyraz, który jej szkolne nauczycielki nazywały „zdębieniem”. Ale z drugiej strony potrzebowała jego obecności. W końcu był jedyną osobą, która w ogóle była nią zainteresowana, słuchała, co mówi, na swój sposób próbowała nawet jej pomóc.

Frommer, w przeciwieństwie do doktora, był za tym, żeby seanse trwały. Twierdził, że Erna coraz lepiej daje sobie radę z trudnym darem. Dodawał, że jest ona specyficznym rodzajem medium, które ma kontakt z zaświatami tylko w transie. Jest to tak zwane medium transowe. Że na jawie jest przytomna, interesuje się tym, czym powinna, dobrze się rozwija i że doktor nie ma racji. Po seansie zawsze zostawał najdłużej i pociągłymi ruchami, które nazywał pasami, ściągał z Erny złe energie. Uważał, że robienie z Erny chorej, badanie jej jak królika doświadczalnego może ją zaburzyć bardziej niż same seanse. Pani Eltzner zauważyła, że na samo wspomnienie Artura Schatzmanna Frommer denerwował się i wpadał w oskarżycielski ton, i wykorzystywała to, gdy chciała się z nim podroczyć.

– Pan Schatzmann mówił… – zaczynała niewinnie.

Frommer musiał skomentować wszystko, co mówił Artur Schatzmann.

– Cała ta ich psychologia… prymitywny animizm, który sprowadza świat ducha do rojeń niedojrzałego umysłu. Zadziwia mnie, że na tak kruchych założeniach buduje się gmach wiedzy, którą potem przedstawia się dzieciom w szkołach…

Pani Eltzner milczała, kryjąc uśmieszek. Kiedy Frommer złościł się, stawał się wreszcie człowiekiem z krwi i kości. Lecz czuła się najlepiej, gdy wreszcie wszyscy wychodzili, kończył się męczący dzień, dzieci spały, a ona miała czas dla siebie. Długo czesała przed snem włosy i z zadumą przyglądała się całkiem siwym pasemkom na skroniach. Potem tamponikiem zmywała puder i nakładała krem. Mrok w pokoju i zmęczenie pozbawiały jej twarz wyrazu. Gasiła lampę. Przedstawienie było skończone.

Notatki Artura Schatzmanna

SEANS VI
Kwiecień

Zaczyna się od niezwykle intensywnych ruchów stołu. Spada karnisz od zasłony. Wszystko to się dzieje, gdy E.E. już śpi. Następnie samoistnie pojawia się „spirit" dotąd nie znany, nie chcący podać imienia. Odpowiada na pytania. Z ciekawszych jego wypowiedzi warto przytoczyć proroctwo, że w 1918 roku nastąpi koniec świata. Mówi też, że nie istnieje pusta przestrzeń międzygwiezdna. Zapełniona jest ona energetycznymi światami duchowymi. Osobie chorej, która pyta o lekarstwo, poleca spożywanie „kwasu F", ale nie chce wyjaśnić, co kryje się pod tą nazwą. Gdy katalepsja jeszcze się pogłębia – trupioblada twarz, opadnięta szczęka i odwrócone gałki oczne – medium zaczyna wydawać gardłowe dźwięki, a następnie głosem zmienionym, ochrypłym mówi językiem, który przypomina język włoski, ale na pewno nim nie jest. Powtarzają się słowa „veni", „orde", „kolabode". Wypowiedź ta jest długa. E.E. milknie i nie reaguje na pytania i prośby. Obecny na seansie doktor pomaga jej się wybudzić. E.E. wygląda na wyczerpaną.

SEANS VII Maj

Ponieważ w tym miesiącu beatyfikowano Joannę d'Arc, ktoś z obecnych prosi zaraz na początku, gdy E.E. zapada w trans, o przywołanie ducha nowej błogosławionej. Najpierw zjawia się dziadek, który wypowiada długie, banalne kwestie umoralniające. Następnie ustami E.E. przemawia duch Joanny. Na konkretne pytania odpowiada wymijająco. Uaktywnia się wyraźnie po pytaniu dotyczącym różnych rodzajów duchów, co prowadzi

do przydługiego wykładu o nieskończenie skomplikowanej hierarchii wśród duchów, jakby wziętej z Tomasza z Akwinu. Najdłużej Joanna rozprawia o duchach „czarnych", które są czymś w rodzaju demonów i które szkodzą ludziom, a także są przyczyną opętań i wielu chorób. Joanna twierdzi, że widzi kilka takich duchów obecnych przy zebranych (między innymi przy piszącym te słowa <sic!>). Jest także kategoria duchów tzw. zagubionych. Są to dusze zmarłych, które nie do końca zdają sobie sprawę ze śmierci, i dlatego straszą i w czasie seansów często podszywają się pod różne znane postaci. Joanna twierdzi też, że dzięki beatyfikacji awansowała w hierarchii duchów. Co bardzo ciekawe, Joanna utrzymuje, że jest duchową siostrą Poli oraz E.E. Język Joanny jest prosty, zrozumiały i poprawny, odznacza się lekkim śląskim akcentem (taki akcent ma jeden z przyjaciół domu E.).

Następnie nie wołana pojawia się Pola. Wydaje się, że jej pojawienia się związane są często z wejściem E.E. w głębszy stan snu. Pola robi wykład o reinkarnacji. Twierdzi między innymi, że jest jedną z pierwszych dusz, że była ogromną liczbą kobiet i mężczyzn i że teraz czeka na nowe wcielenie. Mówi, że nie jest przypadkiem, iż tu wszyscy siedzimy, gdyż jesteśmy ze sobą spokrewnieni przez poprzednie nasze istnienia. Nie chce pozwolić na sprowadzenie innych duchów, o co proszą panie S. i F. Twierdzi, że dla naszej psychiki lepiej jest nie rozmawiać ze zmarłymi.

Głos E.E., kiedy staje się Polą, jest wyraźnie zmieniony. Wydaje się niższy, gardłowy. Pola używa wyszukanego języka literackiego, którym nie mówi na co dzień nikt z obecnych.

Warto także zauważyć, że zintensyfikowały się fenomeny kinestetyczne, np. latają drobne przedmioty. Wygląda to tak, jakby były rzucane w powietrze z dużą siłą i odbiwszy się od sufitu, spadały na podłogę.

(Później odbyły się dwa seanse, na których nie byłem).

SEANS VIII
Maj

Na seansach znowu pojawiło się kilka nowych osób, pojawiają się też nowe „spirity". Pola przejęła rolę ducha-przewodnika, powrócił Koloman, duch mnicha średniowiecznego, pojawiła się Rachela, francuska żydówka z epoki Ludwika XIV. Po raz pierwszy widzę, że E.E. ma kłopoty z wejściem w trans. Pojawiają się za to fenomeny kinestetyczne (znowu spada karnisz, pęka wazon stojący z daleka od siedzących przy stoliku, rozlegają się także stuki i szelesty). Mówiące przez medium duchy bliskich zmarłych wypowiadają kwestie banalne, bełkotliwe i mało konkretne. Dopiero z pojawieniem się Poli E.E. zapada w głębszy sen. Treść wypowiedzi Poli jest zaskakująca i dotyczy głównie spraw cielesnych i płciowych. Tym razem język, jakiego używa, zatrzymuje się o krok od obsceniczności, wulgarności. W tym momencie pojawia się mnich Koloman i przez chwilę trwa niesamowity dialog ścierających się manifestacji. W końcu Koloman wypiera Polę. Stwierdza, że jest ona demonem.

SEANS IX
Czerwiec

W tym seansie w ogóle nie pojawia się faza somnambuliczna snu. Za to seans obfituje w fenomeny kinestetyczne takie jak poprzednio. Przywoływane duchy mówią nudno, powtarzają główne tematy rozmów prowadzonych na co dzień. Między innymi potępienie mody przez Watykan i ostrzeżenia przed niemoralnością wąskich spódnic. Jedna z osób uczestniczących proponuje użycie planszety. Pojawia się Pola. Odbywa się następujący dialog:

– Dajcie nam dziś spokój.

– Dlaczego?

– Jesteśmy nieobecni.

– Przecież rozmawiamy z wami.

– To nie ma znaczenia.

– Gdzie jesteście?

– Po drugiej stronie.

– Po drugiej stronie czego?

– To nie ma znaczenia.

Matka E.E. po kilku nieudanych próbach wywołania następnych duchów daje znak doktorowi, żeby skończyć seans. E.E. ma kłopoty z wybudzeniem, chociaż sen nie wygląda na głęboki. Oczy są półprzymknięte, a gałki oczne ruchome. Oddech nierówny. W późniejszej rozmowie lekarz domowy twierdzi, że lepiej by było przerwać na jakiś czas seanse.

Pani Eltzner

Pod koniec czerwca pani Eltzner wyjechała wreszcie z dziećmi do Kleinitz, gdzie jej owdowiała szwagierka starzała się samotnie w dużym domu, położonym między stawami. Dom ten wraz z przyległościami nazywano w rodzinie Eltznerów folwarkiem Gertrudy. Nie wyglądał on na dobrze prosperujące gospodarstwo. Kiedyś w stawach hodowano połyskujące oliwkowo karpie, a kurniki za domem pełne były białych kur. Ale teraz Gertruda wydzierżawiła swoje stawy i łąki. Wolała hołubić podrzucane jej przez wieśniaków koty i psy.

Pani Eltzner niechętnie rozstawała się z Wrocławiem. Przepełniało ją poczucie ofiary, jaką znowu składa swojemu licznemu potomstwu. „Będzie nudno, straszliwie nudno", myślała, pakując ogromną liczbę książek („będę czytać"), robótek ręcznych („będę wyszywać"), farb i wyliniałych pędzli („będę malować"). Obiecywała sobie solennie, że nauczy dzieci jeździć konno, rozpoznawać kwiaty i zioła, malować akwarelowe pejzaże i piec kłosy dojrzewającego zboża na ognisku. Chciała zająć się Erną, zresztą według ścisłych wskazówek, jakie przekazał jej Frommer. Wśród nich była dieta, określony rozkład dnia i tematyka wieczornych pogadanek. Pani Eltzner widziała, że dziewczynka po ostatnich intensywnych seansach, po tych wszystkich przepytywaniach i badaniach stała się mizerniejsza i bardziej milcząca. Ale czasami zdarzały jej się też okresy niespokojnej aktywności, która jeszcze bardziej niepokoiła matkę. Erna stawała się wtedy arogancka, niegrzeczna, umiała odwrócić się na pięcie i odejść bez słowa, rzucić w złości jakimś przedmiotem o ziemię, pchnąć Klausa, pociągnąć siostrę za włosy. Coś się z nią działo. Czy była to odziedziczona po matce nerwowość, czy ojcowski upór? Pani Eltzner czuła się wtedy zupełnie bezradna. „Ach, te dziedziczne skłonności miotają nami, jak chcą", mówiła sobie i miała gdzieś w duszy niejasne, niesprecyzowane poczucie winy; pamiętała opowieść Schatzmanna o jakimś Amerykaninie, który odkrył cząstki przenoszące cechy z rodziców na dzieci.

Gdy pociąg przez pół godziny kluczył po Wrocławiu, jakby szukając ukrytego wyjścia z miasta, pani Eltzner była jeszcze wciąż niezadowolona, że jedzie na wieś. Potem jednak, gdy z okien pociągu zobaczyła przestrzeń rozpostartą jak zielony obrus, odetchnęła głęboko i poczuła się nagle radośnie wolna. Widziała wsie rozrzucone między niebem i polami, ogródki pełne piwonii, których zapach dochodził nawet do pasażerów pociągu. Widziała chłopów wiozących na drabiniastych wozach świeżo zżęte siano – czuła tę kwintesencję wiosennych woni – widziała płynącą przez świat Odrę, tak bardzo inną niż te więżące wodę kanały w mieście.

W ich przedziale zapanowało podniecenie – to otwarta przestrzeń tak wpływała na dzieci. Trzeba było sięgnąć do koszyka z kanapkami, piciem i świeżymi truskawkami. Lina poplamiła zaraz sukienkę, Klaus wylał na siebie lemoniadę, a Maks uparł się, że będzie podróżował, stojąc na korytarzu. Ale potem, gdy pociąg zaczął mijać dalekie oka jezior, dzieci nagle uspokoiły się i pani Eltzner mogła wygodnie oprzeć głowę i zapaść w coś, co nie było ani snem, ani czuwaniem.

Każda podróż w życiu pani Eltzner, nawet zwykły wyjazd na wakacje, była początkiem nowego. Przypominała jasno, że życie dzieli się na etapy, a może stopnie (ale ku czemu?), które dodają mu rytmu i sensu. Każdy rok kończył się nie w grudniu, ale w czerwcu, właśnie wyjazdem do Kleinitz. Miesięczny pobyt u Gertrudy był czasem refleksji, kontemplacji przemijania, wewnętrznych kryzysów i pojednań ze sobą, nabierania dystansu i planów na przyszłość. Był tyglem, gdzie mieszało się to, co było, z tym, co dopiero się stanie.

Ciche wieczory pełne były brzęczenia oszalałych chrabąszczy, komarów i zapachu wszechobecnej wody – stawów i niedalekiej, szeroko rozlanej Odry, która płynęła groźnie i bezszelestnie jak czas.

Najlepszym wskaźnikiem upływu czasu był wygląd Gertrudy, suchej i kościstej, której twarz każdy rok obsypywał coraz gęściejszą siecią zmarszczek. („Czas jest marszczeniem się gładkich powierzchni”, pomyślała pani Eltzner, przesuwając opuszkami palców po policzkach). Wskaźnikiem upływu czasu był też wygląd modrzewi, ich radosny wzrost, chwytanie coraz większej przestrzeni w rozcapierzone gałęzie.

Pani Eltzner wolała zauważać znamiona mijającego czasu na zewnątrz. Kiedy myślała o sobie, widziała się zawsze w tym samym nieokreślonym

wieku, jaki podobno wszyscy dostaniemy w raju, kiedy jest się u szczytu własnych możliwości. „Mój Boże, jakże się zestarzała…” myślała co roku o Gertrudzie, całując ją w pergaminowo suchy policzek, ale wieczorem, gdy przed lustrem rozplatała włosy, z przyzwyczajenia zachwycała się ich gęstością, a nie coraz bardziej widocznymi pasmami siwizny. W gruncie rzeczy, będąc sama z sobą, jak teraz w jadącym pociągu, pozostawała tą młodą kobietą, która szykuje się do występów. Zawsze czekała na nią jej scena, rzęsiście oświetlona ponad nie zróżnicowanymi twarzami widzów.

Przyjechali późnym popołudniem. Pociąg zatrzymał się na małej stacyjce, w krajobrazie tak rozległym i tak płaskim, że powodował zawrót głowy. Między kamieniami, którymi wybrukowany był jedyny peron, rosły niskie jaskrawożółte kwiatki. Budynek stacji z napisem „Kleinitz” stał w polu, z dala od innych zabudowań, jakby kolej była czymś, co mogłoby zagrozić spokojnej egzystencji wsi.

Gertruda wyjechała po nich szerokim, odkrytym powozem. Po pierwszych powitaniach jak co roku powstał zamęt. Nie dało się zapakować wszystkich bagaży, Maks chciał koniecznie powozić, Greta zostawiła w pociągu koszyk z prowiantem. W końcu wszyscy jakoś usadowili się w potężnym pojeździe, który ciężko i zgrzytliwie ruszył ku wsi.

Kleinitz było długą, rozciągniętą wzdłuż drogi miejscowością, niewiele mniejszą od przeciętnego miasteczka. Domy były tu niższe i biedniejsze niż te z okolic Wrocławia, ale każdy z nich pysznił się zielonymi, świeżo malowanymi okiennicami. Przy drodze rosły morwy i koła powozu rozgniatały ich leżące na bruku karminowe owoce. Pani Eltzner miała wrażenie, że rozjeżdżają setki czerwonych robaków, i musiała zamknąć oczy, takie ta myśl wzbudziła w niej obrzydzenie. Na rynku skręcili w prawo i przez kilka mostków i grobli dotarli do kasztanowej alejki, która prowadziła wprost do folwarku Gertrudy.

– Mój Boże – westchnęła pani Eltzner. – Znowu minął rok.

Wakacje zaczęły się na dobre, kiedy rozsunięto stół w jadalni i kiedy Gertruda wyjęła dwunastoosobowy serwis.

Jeszcze tego samego popołudnia pani Eltzner opowiedziała szwagierce o wszystkim, co działo się w czasie ostatniego roku. „Sprawę Erny” pani Eltzner zostawiła na wieczór, kiedy dzieci położono już spać, a rzeczy,

przynajmniej pobieżnie, rozpakowano. Gertruda przyniosła na werandę karafkę z mocną owocową nalewką, która miała smak cierpki i słodki zarazem – zrobiono ją z morw, z tych mięsistych i krwistych roślinnych odpowiedników czerwi. Pani Eltzner bardzo zależało na uwadze szwagierki, dlatego użyła określenia „fenomen mediumistyczny", dokładnie sama nie wiedząc, czy oznacza ono akurat to, co ma na myśli. Chciała jednak Gertrudę przekonać i jednocześnie zadziwić, sprawić, by stanęła od razu po właściwej stronie. Chciała pozbawić ją na zapas wszelkich wątpliwości, zarzucić mądrymi terminami. A wszystko dlatego, że Gertruda była straszną racjonalistką.

– Bzdura – powiedziała zresztą od razu, zapalając długiego papierosa. – Widzisz, w dzisiejszych czasach kobieta, żeby zaistnieć, musi zrobić z siebie jakiegoś nawiedzonego potwora. Erna jest ambitna, już dusi się w roli, jaką wkrótce narzuci jej społeczeństwo. Może w ten sposób chce zwrócić na siebie uwagę. Powinniście z Fryderykiem raczej zapewnić jej jakieś artystyczne wykształcenie, dające możliwość rozwoju jej wrażliwości. Mogłaby pisać, malować, robić coś twórczego.

Prawdę mówiąc, pani Eltzner spodziewała się takiej reakcji, ale mimo wszystko była rozczarowana. Znała Gertrudę jako osobę nowoczesną, choć może trochę zdziwaczałą na skutek długiej samotności.

– Ach, ty nic nie rozumiesz. Ona nie jest w ten sposób zdolna. To nie jest ani mój, ani jej wymysł. Te badania…

– I cóż wykazały?

Pani Eltzner nie była pewna, co wykazały badania. Umilkła obrażona. Żałowała, że w ogóle zaczęła o tym mówić. Jeżeli ktoś tu był nawiedzonym dziwakiem, to na pewno właśnie Gertruda, z tymi swoimi papierosami i przytułkiem dla psów. Wiejska sufrażystka.

– Ty się na mnie gniewasz… – odezwała się w końcu Gertruda tonem pojednania.

Pani Eltzner patrzyła na park, skąd zlatywały się do światła bezwolne ćmy.

– Było mi tak ciężko w tym roku… Czułam się tak samotna z tym wszystkim.

– Nic się nie zmieniłaś, Muszko. Ach, ta nasza pani Fryderykowa Eltzner… zawsze taka wrażliwa, zawsze tworząca nowe światy. Fryderyk umarłby z nudów, gdyby ożenił się z kimś innym.

Pani Eltzner, rozczarowana i wzruszona zarazem, pozwoliła popłynąć dwóm gorącym łzom.

Erna Eltzner

Park był zaniedbany i rozległy. Ernie wydawał się prawie nieskończony. Za symboliczną granicą zwalonego muru przechodził w wąski pasek pola, a potem w las, którym można było dojść do samej Odry.

Stawami, które oddzielały wysokie groble, nikt się nie zajmował. Woda była tu ciemna, choć przezroczysta. Stawy mogły być głębokie, mogły nawet sięgać do środka ziemi, tam, gdzie wszystkie morza, jeziora, stawy i rzeki łączą swoje wody w wielki podziemny ocean.

Erna starała się jak najczęściej przebywać w parku, to było bowiem jedyne miejsce, gdzie nikt jej się nie przyglądał, nie pouczał, nie współczuł. Katharine i Christine wolały buszować po zakurzonych zakamarkach domu. Odkryły wielki kominek z wiszącym nad nim lustrem i twierdziły, że to lustro jest w istocie ukrytymi drzwiami do skrytek, gdzie szalona Gertruda, jak mówiły o ciotce, trzyma cenne pamiątki, a może nawet i skarby. Obie dziewczynki czasem tylko wychodziły na plac gier, który w poprzednim roku zrobił dla dzieci pan Eltzner. Erna widziała je też kilka razy, jak podkradały kurom jajka. Po co im były te jajka, nie chciała wiedzieć.

Erna wymykała się do parku zaraz po śniadaniu i zawsze spotykała to samo pytanie we wzroku matki. „Idę zobaczyć małe kaczki", albo: „Znalazłam zupełnie białe fiołki", albo: „Pójdę się troszkę przewietrzyć" – odpowiadała. Matka przymykała powieki w charakterystyczny sposób, jakby chciała powiedzieć: „Jesteś wolna", i odwracała się zaraz do ciotki albo starszych córek. Park był więc przywilejem Erny, jej nagrodą, swoistą zapłatą za tygodnie siedzenia bez ruchu na parapecie, z którego świat wyglądał tak szaro.

Erna dość szybko zbadała swoje terytorium. Obeszła stawy, prześledziła bieg błotnistej rzeczki, znalazła pagórek zarośnięty kępkami białych, jakby osiwiałych fiołków. Potem zaczęła wychodzić poza park, poza ten pasek pola, do jasnego, młodego lasu, gdzie zwykle pod koniec lata znajdowało

się wtulone w trawę prawdziwki. Potem stawała na ochronnym wale i oglądała rzekę, wielką, niespokojną, nieskończoną. Rzeka oddychała wirami, burzyła się, mamrotała, czepiając się gałęzi drzew. Erna nie myślała o niej: „Odra", to była inna rzeka niż tamta ujeżdżana przez barki Odra w mieście. Ta miała na imię Ona, była żywa, młoda, potężna i bezlitosna. Erna z respektem patrzyła na podwójne wały, jakie zbudowali ludzie, żeby utrzymać rzekę w jej korycie, i wyobrażała sobie straszne powodzie, o których mówiła ciocia Gertruda, kiedy to woda podchodziła pod sam folwark, przewracając drzewa, zalewając groble, niszcząc dotychczasową geografię równiny. Chodząc po przybrzeżnym lesie, Erna odkryła w końcu martwą siostrę rzeki, oddzieloną na zawsze dawną odnogę, wspomnienie przeszłej potęgi. Porosła teraz rzęsą, wśród której wykwitały nenufary. Nad wodą wisiało gorące, wilgotne powietrze, wypełnione zapachami i głosami ptaków. Tutaj było miejsce tajemnicy, miejsce przemiany tego, co umarłe, w to, co wiecznie żywe. Opadłe liście, połamane gałązki, płatki kwiatów, wszystkie te delikatne formy życia wtapiały się tu w ziemię, ginęły w niej, budując ją od korzeni, od dna planety, która była nieśmiertelna. Przemiana dokonywała się nieuchwytnie i zawsze w ciszy, ale można ją było wyczuć, gdy siadło się na trawie i patrzyło w wodę.

Kiedyś tu zabłądziła. Miejsce, w którym poplątały jej się kierunki, było cyplem lądu otoczonym wodami starej Odry. Rosły tu krzaki dzikiego bzu, który łączył swoje gałęzie, tworząc prawdziwy labirynt. Światło, które się tam dostawało, zabarwiało się zielenią i cieniem liści. W labiryncie z czarnego bzu panował półmrok.

W czasie tych samotnych wędrówek Erna chłonęła świat z nową intensywnością. Wszystko było teraz jasne i wyraziste, rzeczy przestały oszukiwać i zwodzić. Nie widziała już przez nie tamtych rozciągłych, hipnotyzujących przestrzeni i powoli przestawała słyszeć wewnątrz siebie podniecone głosy. Teraz było w niej cicho i nieruchomo. Każdy obraz wpadał jak kamień w studnię, odbijając się echami skojarzeń.

„Erna zdrowieje" – cieszyłby się doktor Löwe. Przestaje słyszeć głosy i nie widzi duchów. Psychiatria musi więc wycofać swoje najcięższe działo, zwane halucynacją.

Jeszcze raz tylko Erna zobaczyła coś dziwnego w drzewie obok placu zabaw, kiedy reszta dzieci bawiła się w chaotyczną grę, o ciągle zmieniających się regułach. Nie była to postać, ale jakaś rozkrzyżowana poczwórna figura, coś bezkształtnego, a jednak określonego przez zwielokrotnienie. Erna na moment poczuła zachwyt, który minął, gdy zabrakło jej słów, żeby to wrażenie utrwalić. Przyśnił jej się potem jedyny sen, jaki zdołała zapamiętać z tego pobytu w Kleinitz. Widziała w nim karła, który leżał na wznak, chory czy martwy. Dziwiła się, jak małe i dziecinne miał stopy. Oprócz zdziwienia nie było tam żadnej innej emocji, a jednak sen był niepokojący, a nawet straszny. Chciała napisać list do Artura Schatzmanna, powodowana obowiązkiem oddawania mu własnych snów, ale nie potrafiła wykrzesać z siebie tych wszystkich grzecznych formułek, które są potrzebne, żeby zacząć. Nie wiedziała też, jak napisać, że tęskni za nim w niepokojący sposób.

W jakieś dwa tygodnie po przyjeździe Ernie przydarzyło się to, co powinno się już wydarzyć. Kiedy poszła po śniadaniu do toalety, zobaczyła na majtkach czerwoną plamę krwi. Nie czuła żadnego bólu, nie bolała jej głowa ani brzuch, tak jak się spodziewała, pamiętając opowieści starszych sióstr. Podciągnęła majtki i kucnęła. W końcu do toalety zaczęły dobijać się bliźniaczki, więc musiała wyjść. Wyminęła je bez słowa.

Matka piła właśnie kawę z ciocią Gertrudą, dlatego Erna poszła do pokoju Berty i Marie. Nie rozumiała, dlaczego się ucieszyły. Berta przytuliła ją z nieoczekiwaną czułością, a Marie pocałowała. Śmiejąc się i żartując, wyciągnęły płócienny pasek z parą guzików z przodu i z tyłu. Kazały jej podnieść spódnicę i założyły go jej na biodra. Był za szeroki, więc Marie spięła go agrafką.

– Masz, te będą twoje – powiedziała Berta, wręczając jej różowe, podłużne poduszeczki, zakończone z obu stron trykotowymi pętelkami. – Jak się to pobrudzi, musisz porządnie wyprać w zimnej wodzie i wysuszyć. Kiedy ci się skończy, wygotujesz je wszystkie, żeby nie zostały plamy.

Erna nie rozumiała, jak ma to założyć.

– Musisz zdjąć majtki – śmiała się Marie. – Nie wstydź się.

Erna odwróciła się tyłem. Czuła, że płonęły jej policzki. Majtki, które spadły na podłogę, poznaczone były smugami czerwieni. Włożyła poduszeczkę między nogi, tam skąd płynęła z niej krew. Zaczepiła pętelkę z przodu o guziki, z tyłu pomogła jej to zrobić Marie. Czuła się jak w uprzęży, całe to skomplikowane płócienne urządzenie obciskało jej biodra i krocze.

– No, i jesteś prawdziwą kobietą.

– Nasza mała Erna jest kobietą.

Starsze siostry objęły się wpół i uśmiechały z jakąś nową czułością. Erna była zmieszana, chciała już stąd wyjść. Podeszła szybko do drzwi i chwyciła za klamkę.

– Poczekaj, odtąd musisz już sama prać swoje brudy – zawołała za nią Marie i rzuciła jej majtki.

Erna minęła matkę i ciotkę na werandzie i pobiegła do parku. Każdy krok przypominał jej, że ma na sobie tę dziwną uprząż. Czuła ją w pasie, między nogami, a nawet w środku siebie. Była teraz spięta, skrępowana, zamknięta. Biegła, chcąc się przyzwyczaić do tego nowego ubrania. Obcy był jej sam fakt, że czuje każdy krok. Kiedyś nie wiedziała, że chodzi, że ma nogi i jeszcze coś między nimi, otwór otwarty ku ziemi, przeciwieństwo ust. Była rurą na dwóch nogach.

Przebiegła obok stawów, za zwalony mur. Zwolniła dopiero w lesie, ale wydał jej się zbyt jasny, zbyt przejrzysty, żeby można się w nim było ukryć. Pobiegła więc jeszcze dalej, aż do zagajnika z czarnego bzu, na otoczony stojącą wodą cypel. Musiała się pochylić, żeby wejść do labiryntu. Krążyła między kępami krzaków i w końcu usiadła na mizernej trawie pokrytej liśćmi. Oddychała szybko, zmęczona biegiem, słaba. Jej oddech naruszał ciszę, która była władczynią tego miejsca. Ernie wydało się, że to nie ona, ale ta cisza oddycha jak wielkie zwierzę ocierające się o jej ciało. Słyszała ten rytmiczny swój i nie swój oddech i jego rytm obezwładniał ją. Położyła się na wznak. Widziała nad sobą ciemnozielone sklepienie z liści. Było tuż nad nią i zapragnęła nagle, żeby opadło na nią swoim wilgotnym ciężarem, przydusiło ją, odebrało oddech. Podniosła spódnicę i dotknęła tego krępującego jej ciało urządzenia. Odpięła pętelki i znieruchomiała na chwilę. Cisza przyglądała się jej nagiemu podbrzuszu. Erna po raz pierwszy świadomie zaczęła badać dłonią gorące, pulsujące miejsce. Nie

wiedziała, że można siebie dotykać w taki sposób. Jej ciało wzdrygnęło się, nabrzmiało od jednego muśnięcia palcem. Czekało. Wyciągnęła ręce i zaczęła zrywać wiszące nad nią liście. Gniotła je, wkładała między nogi jak kompres, zamiast tych pasków, pętelek i poduszeczek. Ogarnął ją cierpki, duszący zapach żywych roślin, dotykały jej ciała delikatnie i brutalnie, głaskały ją i przygniatały. Kładła liście na nagi brzuch, piersi i ramiona, obsypywała nimi twarz, aż w końcu zupełnie straciła oddech.

Pani Eltzner

W niedzielę dwudziestego piątego lipca przyjechał Fryderyk Eltzner. Jego przybycie stało się sensacją w całej okolicy, pan Eltzner bowiem z hukiem i grzmotami zajechał automobilem. Do samego folwarku biegły za nim wiejskie dzieci, a wieczorem nieśmiało przyszli ich ojcowie; stali z założonymi za szelki kciukami i kiwali z podziwem głową.

Pani Eltzner robiła mężowi wyrzuty:

– Taki wydatek, taki wydatek… Po co ta maszyna, kiedy można jeździć bryczką?

Pan Eltzner promieniał prawdziwie dziecięcą radością. Jego rzadkie rude loczki sterczały na wszystkie strony, a z twarzy nie schodził nierówny rumieniec. Wziął na ręce małego Klausa i posadził go za kierownicą. W spojrzeniach, jakie rzucał żonie i siostrze, była duma.

Od momentu jego przyjazdu życie w folwarku się zmieniło. Nie było przesiadywania przy kawie, niespiesznego obmyślania listów, drzemek w wiklinowym fotelu po obfitym obiedzie. Pani Eltzner z żalem musiała odłożyć *Tajemną doktrynę* Bławatskiej, którą łapczywie do tej pory czytała. Zaraz po śniadaniu organizowano wycieczki samochodowe. Niestety auto było zbyt małe, żeby pomieścić całą rodzinę, dlatego zrobiono dwie tury. Jeździli nad rozlewiska starej Odry, do lasu, bo pokazały się już czarne jagody, albo nawet do Zielonej Góry. Pan Eltzner nigdy nie był zmęczony i tak bardzo różnił się od tego wiecznie zajętego starszego pana z brzuszkiem, jakim był we Wrocławiu. Po południu zabierał chłopców na ryby. Naprawił łódź Gertrudy i teraz pani Eltzner drżała, że utopi siebie i dzieci w największym stawie, w którym woda wydawała się całkiem czarna.

To były szczęśliwe dwa tygodnie. Pani Eltzner przed snem tuliła się do męża i marzyła, że mogliby tak tu żyć u Gertrudy, nie martwiąc się o nic, chodząc byle jak ubrani, bez sztywnych wizyt, gości, hałasu i zaduchu końskiego łajna na ulicach.

– Moglibyśmy kupić dom na wsi zamiast tego auta – szeptała sennym głosem i nie czekała na odpowiedź, bo mężczyzna u jej boku oddychał już miarowo, głęboko, jak wędrowiec, który wyruszył w daleką i powolną podróż.

Gdy wyładowany dziećmi samochód wyjeżdżał po śniadaniu na wycieczkę, obie z Gertrudą urządzały sobie rytualne picie kawy. Niewiele rozmawiały, może już powiedziały sobie wszystko, co mówi się latem na werandzie przy kawie. Jeżeli nie było zbyt gorąco, szły na spacer po zarośniętych alejkach parku, tam gdzie sznureczek kilku stawów pokrytych rzęsą, które tak pociągały Ernę, stwarzał atmosferę eleganckiej dzikości.

– Jak z obrazów Watteau – zachwycała się pani Eltzner.

Nawet kiedy Gertruda była zajęta swoimi psami albo gdy przychodziła jej kolej uczestniczenia w wycieczce autem, pani Eltzner przychodziła nad stawy i z rękami opartymi o kolana godzinami potrafiła wpatrywać się w ciemną wodę. Mówiła potem Gertrudzie, że rozmyślała.

Kiedyś zobaczyła drzewo, które przewróciło się i wpadło do stawu. Całą swoją koronę utopiło w wodzie. „Jaki głęboki musi być ten staw", pomyślała pani Eltzner, ale potem uświadomiła sobie, że popełniła błąd w myśleniu. Przecież drzewo mogło być obcięte, bez korony, a tym samym woda wcale nie musiała być tak głęboka. Skąd więc ten wniosek? Pani Eltzner, patrząc w zadumie na przewrócone drzewo, zdała sobie sprawę, że wiemy więcej, niż postrzegamy, że dodajemy nasze myśli, oczekiwania i przyzwyczajenia do tego, co widzimy, konstruując w ten sposób świat na podobieństwo naszych o nim wyobrażeń. Czy więc to, co widzimy, jest prawdziwe?

Wracała do domu poruszona tym własnym filozoficznym odkryciem i tak bardzo chciała się z kimś nim podzielić, że zaczęła pisać list do Waltera Frommera. Ale słowa uciekały jej przez otwarte okno do parku, między liście, kwitnące nasturcje i rzęsę na stawach. Wiedziała, skąd bierze się ta zadufana pewność siebie w ludzkim postrzeganiu świata. To świat jest pewny siebie i swojego istnienia. Jest uporządkowany, konsekwentny i zachowuje się według tych wszystkich praw, jakie wymyślają mu ludzie. Jeżeli nad park nadciągną burzowe chmury, będzie deszcz i błyskawice, jeżeli rano wschodzi słońce, to zaczyna się nowy

dzień. Po lipcu nadchodzi sierpień, po życiu – śmierć. Czas płynie od A do B, jak by powiedział Frommer.

Po godzinie, przy łuskaniu zielonego groszku, pani Eltzner zaczęła jednak mieć wątpliwości, czy to wszystko jest tak do końca. Gdzie się zaczyna zwątpienie? I dlaczego w ogóle się wątpi.

Pani Eltzner odłożyła miskę z groszkiem. Myślała o czytanej książce Bławatskiej, o wypowiedziach Frommera, o laboratorium młodego Schatzmanna, o mądrym wzroku doktora Löwe, o swoich dzieciach i o literach wskazywanych przez tajemnicze ruchy filiżanki.

Walter Frommer

Pierwszą osobą, która zjawiła się u Eltznerów po ich powrocie do Wrocławia, był oczywiście Walter Frommer. Mimo ciepłych jeszcze dni miał na sobie ciemne ubranie z wełnianej flaneli i widać było, że jego bladej twarzy nie tknęło słońce. Kiedy w przedpokoju podbiegła do niego pani Eltzner, poczuł wzruszenie jej obecnością, widokiem jej nagich do łokci rąk, bezpiecznym i znajomym zapachem fiołków, pasty do podłóg i smażonych konfitur. Miał ochotę opowiedzieć jej o pustych dniach lata w mieście, o lekturach, o nowych pomysłach, ale panował tu taki ruch, taki rozgardiasz, że nie było miejsca na rozmowy. Co chwila otwierały się drzwi, biegały dzieci, trzaskały otwierane przeciągiem okna. Natychmiast dopadł go Eltzner i zaczął opowiadać o zaletach auta, o cenie bawełny i kanclerzu. „Mogłem przyjść wieczorem", pomyślał Frommer. Miał uczucie, że oto zaczął się nowy sezon, zupełnie jak w teatrze. Czasem udawało mu się spotkać uradowane, pełne blasku spojrzenie pani Eltzner. Ukradkiem wodził za nią wzrokiem, gdy wychodziła i wchodziła do salonu, wnosząc tacę z kawą, zmieniając wodę w wazonach. Wolałby zamknąć oczy i wygodnie rozsiąść się w fotelu, słuchając tych odgłosów życia, wiecznego ruchu, które otoczyły go i prawie zahipnotyzowały. Tak ciężko rozmawiało mu się o polityce i o autach, tym obcym jego duszy wynalazku.

Po dwóch kwadransach męczącej rozmowy z panem domu Frommer z ulgą przyjął jego pożegnanie z powodu jakichś pilnych spraw. Został na chwilę sam w salonie i napawał się samym byciem tu, gdzie zawsze działy się dla niego dobre rzeczy. Mimo otwartych okien było cicho i chłodno. Stukot końskich kopyt o bruk tłumiły kotary, dzwonków omnibusów nie było słychać wcale. Frommer zrobił to, o czym przed chwilą marzył: zamknął oczy i był. A potem poczuł czyjąś obecność w pokoju. Wiedział, że weszła pani Eltzner, ale specjalnie nie otwierał oczu, żeby zrobić sobie potem z jej widoku najpiękniejszy prezent. Kiedy wreszcie

usiadła przy nim i zobaczył jej luźno splecione na karku włosy, jej jasną twarz i delikatne zmarszczki wokół ust, te znamiona jej niezwykłej wrażliwości – poczuł się szczęśliwy. Dotknął jej dłoni.

– Nie ma pani pojęcia, jak się cieszę, że już jesteście – powiedział wzruszony.

Opowiedziała mu o rozpoczętych listach, o długich popołudniach, o rozmowach z Gertrudą i o drzewie, które przewróciło się do stawu. Wreszcie, niecierpliwiąc się jak dziewczynka, zdradziła mu sekret Erny:

– Jest kobietą.

Frommer w jednej chwili zrozumiał wagę tych dwóch słów wypowiedzianych prawie szeptem. Pojął, że to, co próbował przez całe życie zgłębić, „było kobietą", jego matka „była kobietą", podobnie jak jego siostra, madame Bławatska i śmierć. „Była kobietą" jego samotność i jego lęk, gdy wchodził po schodach. Wydało mu się, że gdyby posiadał na własność jasnowłosą, pełną cudownej miękkości panią Eltzner, znalazłby odpowiedź na wszystkie pytania. Rzeczy, których naprawdę pragnął, znajdowały się po drugiej stronie szyby, na wystawie, a on nie miał odwagi tam sięgnąć. Frommer zamrugał powiekami, tak jaskrawy był obraz, który zobaczył. Czy nie dlatego próbował towarzyszyć Ernie w tajemniczym tańcu z duchami, żeby poznać, jak istota nieokreślona, bez właściwości wchodzi w posiadanie największej z tajemnic – staje się kobietą? I w końcu jest nią, nie bacząc na swojego nauczyciela, od niechcenia, z daleka od dróżek, które on tak pieczołowicie wydeptywał.

Cały świat „był kobietą", kwitł wokół niego jak jasne ciało pani Eltzner i wymykał mu się sekunda po sekundzie, nieubłaganie. Był tylko jeden sposób, żeby nie pozwolić mu umknąć.

– Kocham panią – powiedział zdziwiony własnym głosem.

Bliźniaczki

– Noc czarów. To właśnie będzie ta noc – powiedziała Christine. – Chcemy, żebyś wywołała ducha tylko dla nas. – Chcemy, żebyś poszła z Gretą na strych, niby że chcesz jej pomóc wieszać pranie, i przyniosła gołębią kupę… – Katharine miała rozłożoną na kolanach brudną, sfatygowaną broszurkę. Palcem z obgryzionym paznokciem wskazywała jakiś fragment. Erna nie wytrzymała i wyrwała jej książeczkę. Były to *Cudowne Tajemnice Alberta Wielkiego, czyli Wiedza Wszelka do Odprawiania Czarów, Egzorcyzmów i Sporządzania Talizmanów*, otwarta na rozdziale pod tytułem *Jak uczynić powolnym łono kobiety*.

– Skąd to wzięłyście, smarkule? Wszystko powiem mamie.

Bliźniaczki spojrzały na siebie i ta krótka, bezgłośna rozmowa wzrokiem musiała je uspokoić, bo Christine powiedziała:

– Nic takiego nie zrobisz.

Erna rzuciła im książeczkę. Wróciła na swój parapet i dalej przyglądała się czarnemu kotu, który mył się na dachu pralni. Ślinił sobie łapki i przecierał nimi pyszczek gestem prawie ludzkim. Kot był jej schronieniem przed szeptami i bezszelestnymi zajęciami dziewczynek.

Od kilku dni bliźniaczki szykowały się do szkoły. Kolorowym klajstrem malowały papier na okładki, cięły bibułki, ostrzyły ołówki. Wakacje wyraźnie im się już znudziły. Ucieszyły się, że mogą znowu przebierać w swoich pudełkach i torebkach. Ich czary działały. Erna coraz częściej miała wrażenie, że znalazła się we władzy tych jednakowych, kompletnie nieprzewidywalnych dzieci. Wiedziała, co się dzieje, co one robią w czasie seansów, ale z jakichś względów nie mogła zacząć o tym mówić. To milczenie męczyło ją, tak samo jak ich znaczące spojrzenia przestępców. Erna może spróbowałaby wrócić do Marie i Berty, jednak myśl, że trzeba by podjąć jakiekolwiek działanie, powodowała, że kuliła się w sobie i zapadała w widok za oknem albo w pustą przestrzeń między wierszami

trzymanej w ręku książki. Wszystko, co było puste, odległe, pozbawione znaczenia, wciągało ją w siebie.

– …Pójdzie wieszać pranie. Powiedz, że chcesz jej pomóc, i przynieś trochę, troszeczkę. – Katharine podeszła do Erny i potrząsnęła jej kolanem.

– Dajcie mi spokój! – głos Erny zadrżał. – Dlaczego wszyscy czegoś ode mnie chcą? Chodzą za mną i pouczają. Nie wolno mi posiedzieć chwilę w spokoju. Frommer, mama, ten Schatzmann, a teraz wy. Idźcie sobie, już obiad. – Erna zeskoczyła z parapetu i ruszyła do drzwi. – Żadnych gówien, żadnych czarów, żadnego oglądania cycków. Koniec – powiedziała jeszcze przez zęby.

Christine zastąpiła jej drogę. Sięgała jej ledwie do ramion, drobna chuda dziewczynka z dużymi wystającymi zębami i piegami na nie skażonych dojrzewaniem policzkach. Ich oczy spotkały się i mierzyły przez chwilę. We wzroku dziewczynki było wyzwanie, którego Erna nie chciała podejmować. Christine miała w sobie więcej życia, więcej woli życia. Erna przestraszyła się, że ta mała mogłaby ją uderzyć w brzuch zaciśniętą piąstką.

– Idę na obiad.

Do siostry bezszelestnie podeszła Katharine.

– Erno, jesteśmy po twojej stronie. Pomagamy ci, a ty nie chcesz tego zrozumieć. Bez nas…

– …nie dałabyś rady – dokończyła Christine.

Erna wyszła bez słowa.

Dziewczynki zaczęły pospiesznie rozplatać warkocze, a potem symbolicznie zaznaczyły złamanym ołówkiem krąg na podłodze. Katharine wpisała w niego jakąś pokrętną figurę i obie stanęły w samym jej środku. Kiwały się przez chwilę monotonnie, aż któraś z nich cichutko zaczęła nucić. Druga zaraz dołączyła się do śpiewu, który stawał się coraz głośniejszy i wyraźniejszy:

Salamandra niech płonie,

Undyna niech łudzi,

Sylf niechaj wionie,

Kobold niech się trudzi...

Powtarzały to kilkanaście razy, bliskie transu.

Artur Schatzmann

Artur postanowił sobie, że będzie to ostatni seans. Właściwie miał już wszystkie informacje, które potrzebne mu były do opisania fenomenu E.E. Miał więc notatki z seansów, wyniki testów i badań w laboratorium, a co najważniejsze, szkic całego studium przypadku. Do Bożego Narodzenia chciał skończyć to, co zaczął rok temu. Praca doktorska, to brzmiało dumnie.

W mieszkaniu Eltznerów znowu było pełno ludzi. Pani Eltzner powitała go wylewnie, jak starego znajomego, co mu w jakiś sposób pochlebiło. Zauważył, że wakacje dobrze jej zrobiły. Była jak zwykle elegancka. Ta kobieta miała klasę. Gdy witał się z Erną, był zdziwiony zmianą w jej wyglądzie. Urosła, może trochę przytyła, jej zawsze blada twarz nabrała rumieńców. Zachowywała się pewniej, może była po prostu bardziej przytomna. Witając się z Frommerem i jego siostrą, zdał sobie sprawę, że tęsknił za nimi. Miał też wrażenie, że i Frommer ożywił się na jego widok. Na koniec przyszedł doktor Löwe i znów wszystko było jak dawniej. Były nawet te same ciasteczka.

– Gdzie pańska matka? – zapytała pani Eltzner.

Artur opowiedział z dumą, jak udało mu się namówić ją na wyjazd do uzdrowiska. Tylko doktor Löwe orientował się, ile go to kosztowało zabiegów i pieniędzy.

Towarzystwo rozgadało się i sam seans zszedł jakby na dalszy plan. Pani Eltzner częstowała ciasteczkami, herbatą i dużymi, fioletowymi śliwkami. Podawano sobie cukiernicę, pobrzękiwały o porcelanę łyżeczki, opowiadano o wakacjach, wyjazdach i samochodach.

Kiedy słońce zaszło za kamienice po drugiej stronie ulicy, Frommer zarządził zmianę miejsc. Znowu zaszurały krzesła i na środku pokoju pojawił się zielony stolik. Głosy zmieniły się w szepty i jakoś intensywniej zapachniały perfumy pani Eltzner. Wróciło uczucie oczekiwania – znajome, a jednak ekscytujące, jak rytuał.

Frommer kazał zamknąć oczy i złapać się za ręce. Artur poczuł drobniutką, kościstą dłoń Teresy w swojej lewej dłoni. W prawej ściskał suchą i ciepłą rękę doktora Löwe. Czekał, odtwarzając w myśli pozycję każdego z uczestników seansu. Potem, jak zwykle, z poczuciem bezkarności otworzył oczy, żeby przyjrzeć się twarzom. Od razu napotkał spokojny wzrok Erny. Szybko zamknęła powieki.

Coś było nie tak. Czekali, czekali i nic się nie działo. Erna powinna była usnąć, wpaść w trans czy jak to się tam nazywało. Powinni byli usłyszeć jej pogłębiony oddech, a potem powinna zacząć mówić. Ale nic takiego się nie działo. Jakby się przyczaiła i za wszelką cenę nie chciała zwracać na siebie uwagi.

Artur niecierpliwił się, jak pewnie niecierpliwili się inni, a potem pozwolił płynąć myślom tak jak chciały. Wrócił do książki, którą zaczął czytać przed wyjściem, potem zobaczył swoje fiszki z bibliografią, a w końcu – matkę, gdy ją odprowadzał na dworzec. Nagle ogarnął go lęk, że już jej nie zobaczy. Jej smutek wciąż się pogłębiał. Z takiego smutku można umrzeć.

Potem nagle usłyszał jakieś poruszenie czy szelest, ale gdzieś zza pleców, nie z kręgu. Jednocześnie zdał sobie sprawę, że Erna śpi. Odchyliła głowę do tyłu, z jej półotwartych ust wydobywał się słabiutki, rytmiczny jęk.

– Czy jesteś już tutaj? – zapytał Frommer uroczystym głosem, zwracając się zapewne do ducha, który być może był w medium.

Ton i namaszczenie Frommera rozśmieszyły Artura. Erna milczała, oddychając dalej w ten sam męczący sposób. Minęło jakieś dziesięć minut i Artur znowu odpłynął w marzenia. Wyobrażał sobie, kim kiedyś będzie, powiedzmy, za dziesięć lat, w 1919 roku – dwie jedynki, dwie dziewiątki. Co stanie się za tych dziesięć lat, a co będzie za dwadzieścia, w 1929 roku? Artur przyglądał się w myśli tym cyfrom i nie potrafił zobaczyć nic konkretnego, co mogłoby się z nimi wiązać. Były całkiem nierealne.

– Jeżeli jesteście już, przemówcie do nas. Czekamy na wasze przesłanie – powiedział Frommer. Jego słowa targnęły ciszą i Erna drgnęła.

Frommer porozumiał się wzrokiem z panią Eltzner i włożył Ernie do prawej dłoni ołówek. Pani Eltzner delikatnie podsunęła pod niego

kartkę. Ale ręka Erny spała tak samo jak całe ciało.

Nagle coś huknęło. Artur mimowolnie poderwał się z krzesła tak jak inni i zobaczył, że jakimś cudem otwarte oszklone drzwi serwantki uderzyły w stoliczek, na którym stały filiżanki i dzbanek. Porcelana runęła na podłogę. Artur nawet nie zdążył się zdziwić, kiedy już cała serwantka zachwiała się niebezpiecznie. Któraś z kobiet pisnęła, a Teresa Frommer zerwała się niezgrabnie z miejsca i podparła mebel.

– Nie przerywać kręgu – krzyknął Frommer, ale było za późno.

Doktor wstał gwałtownie, zielony stolik zachwiał się, a pani Eltzner z pobladłą i stężałą twarzą wpatrywała się w przestrzeń pod serwantką: wystawała stamtąd dziecinna stopa.

– Mój Boże – powiedział spokojnym tonem Frommer, i w ciszy, jaka nagle zapadła, zabrzmiało to groźnie.

Arturowi waliło serce, gdy powoli podszedł do stojącej w rogu serwantki i zajrzał za nią. Zobaczył przestraszoną, skuloną dziewczynkę, Christine czy Katharine, nigdy nie potrafił ich rozróżnić. Już chciał zapytać, co tam robi, gdy nagle zobaczył w jej zaciśniętych rączkach koniec linki i zrozumiał wszystko. Jego wzrok wędrował teraz wzdłuż sznurka, całej plątaniny sznurków – aż do obrazu, szuflady w stoliku, kotary. Na chwilę ogarnęła go słabość. W pierwszym odruchu chciał zasłonić przed innymi widok, jaki sam zobaczył, ale nie miał odwagi się ruszyć. Uśmiechnął się do przerażonego dziecka, a potem przeniósł ten uśmiech na Frommera, panią Eltzner, doktora, opartą o serwantkę Teresę.

– Ach tak – powiedział w końcu i zaśmiał się krótko i gardłowo.

Walter Frommer

Frommer zapadł na coś w rodzaju melancholii. Siedział kolejną godzinę w swoim pokoju, z łokciami opartymi o blat biurka, na którym poniewierały się papiery z wykresami i tabelami, i patrzył bezmyślnie w jeden punkt: w czubek stojącego na oknie aloesu, za którym wyrastał kościół. Oczy Frommera patrzyły, ale nie widziały. Prześlizgiwały się po płaskich, nieważnych przedmiotach i niczego nie znajdowały. W krótkich chwilach samoświadomości Frommer myślał, że jest chory, kładł się więc na kanapce, ale nie mógł usnąć, skazany był na wsłuchiwanie się w szelesty domu. Teresa podchodziła pod jego drzwi i długo się wahała, zanim odważyła się delikatnie zapukać. Kiedy Walter Frommer słyszał to puk-puk, podobne do skrobania jakiegoś zwierzątka, ściskało mu się gardło, a oczy stawały się gorące i wypełnione łzami. Rozczulał się nad sobą, nad maleńkim dzieckiem, jakim teraz był, i tym bardziej nie mógł otworzyć drzwi siostrze.

– Odejdź – mówił i Teresa odchodziła, szurając kapciami.

W poniedziałek Frommer nie wstał do pracy. Przyglądał się wskazówkom swojego zegarka, obserwował, jak rytmicznie pochłaniają czas. Czas posuwał się – od „jeszcze za wcześnie", poprzez „nie ma chwili do stracenia", aż do „już za późno". „Za późno" – to były słowa, które najlepiej określały świat, w jakim znalazł się Frommer. Oto wszystko się już stało, wszystko dokonało, wielkie podróże już się zaczęły, a drogi na zawsze były wyznaczone. Z gór zeszły lawiny, spłynęły rzeki, wyrosły lasy i miasta na równinach, nowi ludzie już się urodzili, a starzy umarli. Wszystko już zaistniało: prawa, filozofie, nauki i religie, wszystkie osiągnęły wyżyny rozwoju, wszystko zostało powiedziane i na zawsze zbadane. Nic nie można już zmienić. Czas siania i rodzenia, życia i tworzenia minął. Teraz jest czas na śmierć.

To dziwne, ale ten znawca śmierci, jej uparty badacz, poszukiwacz jej praw, wręcz jej miłośnik, po raz pierwszy w życiu pomyślał o swojej

własnej śmierci. Zdarzyło się to właśnie w ten poniedziałkowy ranek, gdy wpatrywał się we wskazówki zegarka na łańcuszku. Śmierć wydała mu się rozwiązaniem tej strasznej sytuacji rozczarowania światem i samym sobą. Ta myśl wzbudziła w nim czułość do siebie, uczepił się jej więc jak dziecko. Kołysał się nią, pieścił i głaskał. „Umrzeć" – to brzmiało jak hasło z turystycznego anonsu, wołało go na młodzieńczą wędrówkę, odwracało czas. Lecz Frommer nie myślał o samobójstwie – on napawał się ideą śmierci, widział ją samą, nie od statystycznej strony, do której był przyzwyczajony, ale estetycznej, jako idealne rozwiązanie, złote wyjście. Myślał o śmierci, tak jak przedtem myślał o pani Eltzner – z zafascynowaniem, z bolesną nadzieją, z oszronioną strachem niecierpliwością. We śnie, którego nie pamiętał, ale który rozpoznawał w swoim obecnym nastroju, śmierć przybrała twarz i postać pani Eltzner. „Czy my się znamy?" – zapytała.

Przez ten nędzny czas po nieszczęsnym seansie Frommer nie był w stanie myśleć o niczym, co mogłoby się wiązać z Eltznerami. Każda taka myśl bolała jak rana, natychmiast więc była otorbiana ogromnym nakładem energii i rzucana na stos zapomnienia. Kosztowało go to tyle ciężkiej pracy, czystej energii instynktu, że nie miał już sił na życie. Podnosił się z kozetki i podchodził do okna z aloesem, od aloesu wracał na kozetkę. Wieczorem w poniedziałek napisał krótki list do przełożonych z prośbą o urlop i dał go Teresie. Potem znów się położył. Snuł jakieś rojenia o własnym pogrzebie i o seansie, na którym to on byłby duchem i widziałby wszystko jak przez mgłę: nagie ramiona pani Eltzner, jej upięte w kok miękkie włosy, zielone sukno stolika z planszetą i ruchy filiżanki wskazującej poszczególne litery: ż-y-ł-e-m. Potem jednak wróciło przypomnienie sznurków poruszających przedmiotami i dziewczynki schowanej za serwantką, i skamieniałej twarzy Erny, i szeroko otwartych oczu jej matki, i wszystkich nagle powstałych od stolika, i czyjegoś wybuchu śmiechu.

We wtorek rano zjadł talerz odgrzewanego rosołu i zaczął grzebać w swojej biblioteczce. Wyciągnął Kartezjusza, a potem Hegla. Kartkował obie książki nieuważnie, bo jego wzrok przyciągał czubek aloesu. Dopiero w środę rano był w stanie czytać. W *Rozprawie o metodzie* podkreślał paznokciem zdanie po zdaniu, aż znalazł to, czego szukał. „Czynić

wszędzie wyliczenia tak całkowite i przeglądy tak powszechne, aby być pewnym, że nic nie zostało pominięte". Przeżuwał to zdanie wraz z obiadem, który Teresa postawiła mu pod drzwiami, jak dla więźnia. Potem, po raz pierwszy od tych paru dni, zapalił lampkę na biurku i wziął się do Hegla. Jego umysł, stymulowany przez napęczniałe znaczeniem trójkowe systemy, pełne harmonii równania bytu i myśli, powoli zagrzewał się do abstrakcyjnej pracy, która niosła ulgę jego duszy. Był to stary, dobry sposób zapominania i leczenia ran – nie żyć, nie czuć, zapomnieć o bożym świecie i przenieść się do świata nie-bożego, świata Myśli i Systemów. Nowe pojęcia mogły zbudować kolejną konstrukcję, solidną, przejrzystą i uporządkowaną.

Wieczorem przyjechał doktor Löwe, którego wezwała zaniepokojona Teresa.

Frommer usłyszał w przedpokoju jego głos i zamarł nad książką. Miał ochotę się schować i nawet wstał z zamiarem wejścia pod biurko. W ostatniej chwili wydało mu się to jednak niegodne, stanął więc wyprężony na wprost drzwi, w postawie ni to walecznej, ni to obronnej. Głosy w korytarzu na chwilę ucichły, może zamieniły się w szept. Potem Teresa zapukała tym swoim skrobiącym puk-puk.

– Proszę – powiedział, zapominając, że drzwi są zamknięte.

– Panie Walterze, to ja, Löwe – usłyszał.

– Ach, prawda – Frommer zrozumiał nagle całą krępującą śmieszność sytuacji. On, Walter Frommer, zamknięty od kilku dni w swoim pokoju, człowiek, do którego wzywa się lekarza. – Nic mi nie jest – powiedział i otwierając drzwi, uświadomił sobie, że w pokoju panuje kilkudniowy zaduch i bałagan, że on sam od tych kilku dni się nie golił.

Löwe wyglądał na zmieszanego, choć starał się to ukryć. Usiadł i postawił przy nodze swoją starą lekarską torbę. Walter spojrzał na nią z wyrzutem.

– Pańska siostra miała powody do niepokoju – tłumaczył się doktor.

– Nic mi nie jest – powtórzył Frommer i zaśmiał się gardłowo.

Löwe szybko ogarnął go badawczym wzrokiem, w którym było coś z gotowości chirurga.

– Po prostu przeżyłem głęboko to, co stało się u Eltznerów – powiedział Frommer z nieoczekiwaną szczerością. – Dobrze, że pan przyszedł. Brakowało mi towarzystwa. Miałem załamanie, wczoraj, przedwczoraj… Widzi pan, zabrałem się do czytania.

Teresa cichutko wniosła tacę z kawą i nie podnosząc wzroku, wycofała się z pokoju.

Doktor chrząknął i długo mieszał łyżeczką kawę, zanim zapytał:

– Dlaczego tak to pana dotknęło, Walterze?

– A pana nie? Wszyscy braliśmy w tym udział, a ja przecież organizowałem te seanse, pracowałem z nią, uczyłem ją, była moim dziełem, dowodem przeciwko niedowiarkom i tym szamanom z laboratoriów. Teraz to jedno zdarzenie zniweczyło wszystko… tyle pracy. Ale ja wiem, kto maczał w tym palce.

– Pan nie wierzy, że ona… oszukiwała – na pół twierdząco, na pół pytająco powiedział Löwe.

– Oczywiście, że nie wierzę, przemyślałem to. Pan też chyba w to nie wierzy. Widzieliśmy ją przedtem, pan ją badał, widział pan prawdziwy trans mediumiczny. Słyszał pan, co mówiła, co się działo. Doktorze, to jest spisek – Frommer wyraźnie się ożywił. – Widzi pan, ja Ernę znam. Ona jest za głupiutka, żeby wymyślić taką skomplikowaną intrygę. To dziecko, jest całkowicie niewinna, nieskażona. – Frommer nagle umilkł i obracał w dłoniach pustą filiżankę. Na białej porcelanie namalowane były różyczki. – Nie powinny mnie zresztą obchodzić czyjeś szwindle. W ciągu tych dni ja… przetrawiłem to wszystko. Jest tak, jak myślę, że jest. Erna jest taka sama, jak była, nic się nie zmieniło.

Doktor Löwe głośno wciągnął powietrze.

– Chciałby pan, żeby tak było. Jednak nie jest. Wszystko się zmieniło. Pół roku dla kogoś tak młodego jak Erna to wiele czasu. Może w zeszłym roku nie musiała oszukiwać przy pomocy sióstr, ale kiedy zdała sobie sprawę, że jej zdolności wpadania w trans, czy cokolwiek to było, mijają, może się wystraszyła…

– Aha – szybko powiedział Frommer – więc tak pan sobie to tłumaczy. Ale ja tak nie myślę. Jestem pewien, że to spisek. Pamięta pan? Przez nią manifestowały się duchowe byty, pamięta pan panią Schatzmann, jak

płakała na seansie, jak duch mówił tylko do niej poprzez Ernę? Co może być bardziej oczywiste, bardziej realne? No, niechże pan powie…

Löwe popatrzył gdzieś w sufit i wydawało się, że szuka tam odpowiedzi, ale on odpowiedzi eliminował – tak było ich wiele. I wiedział, że żadna nie była nic warta.

– Niech mnie pan nie pyta, bo nie wiem – powiedział w końcu. – Byłem lekarzem całe życie, widziałem setki chorób i ich objawów. Całą swoją wiedzę czerpałem najpierw z podręczników, a potem z praktyki lekarskiej. Nie miałem nigdy takiego przypadku. Nie wiem, co było z Erną, czy rozmawiała z duchami, czy cierpiała na jakiś specyficzny rodzaj neurozy.

Frommer poruszył się, chcąc przerwać doktorowi, ale Löwe kontynuował monotonnym głosem, jakby powtarzał wyuczoną lekcję:

– Poznałem wiele miast, szpitali, przytułków. Pałętałem się po świecie jak ten Żyd Wieczny Tułacz, a im więcej widziałem, tym mniej miałem pewności, choć spodziewałem się, że to właśnie lata praktyki dadzą mi ją. Może gdybym był jakimś specjalistą, a nie lekarzem domowym, to znalazłbym to, czego szukałem. A może i nie. Wie pan, mnie nie chodzi o jakąś Pewność przez duże P, ale o zwykłą pewność co do ludzkich chorób, prawidłowości zapadania na nie i zdrowienia. Czysty pragmatyzm – jestem przecież lekarzem… Myślałem, że gdy będę stary, stanę się mądrzejszy. Widzi pan, rozczarowałem się. Jedyne, czego mam więcej teraz, gdy skończyłem siedemdziesiąt lat, to świadomość braku pewności. Kobieta, menstruacja, widzenie duchów, sny, łuk histeryczny… Czy myśli pan, że ja jestem pewien, dlaczego to wszystko się dzieje? Ostatnio aż boję się cokolwiek powiedzieć. Mówię coś i sam w to nie wierzę, wątpię natychmiast w to, co powiedziałem. Im więcej dostrzegam elementów tej mozaiki, jaką jest człowiek, jego ciało i dusza, jeżeli istnieje dusza, tym mniej one do siebie pasują. Na starość zaczynam przeczuwać w tym wszystkim chaos…

– Bo pan m y ś l i chaosem… Projektuje go pan na zewnątrz…

– Tak pan sądzi? Dla mnie Erna była prywatną bronią przeciw chaosowi. Wierzyłem jej.

– I co, rozczarował się pan po tym, jak jej siostry pociągnęły za sznurki? – zapytał szyderczo Frommer.

– Jestem już zmęczony – powiedział doktor Löwe.

Siedzieli tak naprzeciwko siebie: Frommer bokiem przy biurku, doktor na niewygodnym krześle, z torbą u nogi. W zabałaganionym pokoju właśnie zaczynało szarzeć.

– Nie chciałby mnie pan odprowadzić? – zapytał nagle Löwe.

Frommer zgodził się. Kiedy wkładał marynarkę i kapelusz, popatrzył w lustro i potarł palcami kilkudniowy zarost. Teresa rzuciła doktorowi pełne wdzięczności spojrzenie. Stała w otwartych drzwiach i czekała, aż trzasną na dole drzwi; to był znak, że jej brat wrócił do świata.

Prawie mechanicznie ruszyli na Ostrów Tumski, gdzie Odra miała wieczorem kolor rtęci, płynnego metalu, czegoś, co było stałe, a potem uległo przemianie i rozpuściło się.

Przeszli powoli przez most Tumski, oddychając parnym i wilgotnym powietrzem. Z zachodu na czyste brzoskwiniowe niebo nasuwał się wał ciemnych chmur.

Doktor nigdy nie widział Frommera tak rozmownego. Słowa, których nie wypowiedział przez ostatnie dni, zatrzymały się w nim i teraz musiały wydostać się na zewnątrz. Mówił o swoim dzieciństwie, o opętaniach przez demony i egzorcyzmach, o życiu z Teresą, o upadku cywilizacji. Zarost nadawał jego twarzy miękkości, a brak sztywnego, białego kołnierzyka sprawiał, że ta zawsze ostra, ptasia twarz stała się teraz łagodna i nawet nieco dziecinna. Dlatego doktorowi zrobiło się Frommera żal, choć nigdy za nim nie przepadał.

– Miałem czas melancholii – mówił Frommer – i może jeszcze w niej tkwię. Nie jest to żaden ruch w dół, jakiś upadek, ale raczej zatrzymanie się na chwilę, ujęcie całej przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Coś w rodzaju heglowskiej syntezy. Najpierw pojawia się w rozwoju człowieka jakaś postawa, idea, pomysł na rzeczywistość – czyli teza. Przywiązujemy się do niej, a ona obrasta w teorie, które ją potwierdzają, staje się w końcu wszechwładna, totalna. Zaczyna ograniczać nasze widzenie świata, uodpornia nas na zwątpienie – to taki rozwojowy paradoks. Kiedy ta pewność, teza, zaczyna się rozdymać, tak żeby ująć jeszcze więcej, pojawia

się w niej pęknięcie. W szczelince tkwi ziarno nowego, owa antyteza, która rozrastając się, niszczy stare i przychodzi taki moment, że następuje równowaga. Wtedy prawda zawiera się zarówno w twierdzeniu, jak i w jego zaprzeczeniu. Rozumie pan? To taki moment, kiedy „tak" znaczy „nie", kiedy czarne jest podobne do białego, kiedy kłamiąc, mówi się prawdę. Przeciwieństwa się łączą. Zaczyna się podejrzewać, że nie ma prawd absolutnych. Pan nazwał ten stan chaosem, ale to jest właśnie synteza, która bierze się ze zwątpienia. Człowiek jest mało odporny na sprzeczności, ogarnia go smutek, rozpacz, dezorientacja. Natężenie sprzeczności staje się nie do wytrzymania, odwracamy się więc od tego konfliktu. Nastaje moment zawieszenia, czas bez właściwości, nijaki, statyczny. Cała energia się wyczerpała. Z jej braku bierze się melancholia. Melancholia odbiera satysfakcję z życia. Jest to taki stan, kiedy wypełniło się to, co się miało wypełnić. Żywioły usnęły i trzeba czekać – Frommer umilkł, jakby się zachłysnął.

Zaczął padać drobny deszczyk.

– Zaszliśmy chyba za daleko – powiedział wreszcie doktor Löwe. – Będziemy musieli wziąć dorożkę, żeby wrócić. Zmarzłem.

Wydawało się, że Frommer nie usłyszał doktora.

– Co pan o tym myśli?

– To ciekawa teoria. Smutek byłby tu zdrowym, normalnym objawem pewnego stadium rozwoju. Tak... powinniśmy już wracać.

Zatrzymali się przy kolejnym moście, tym razem długim i potężnym.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytał Frommer.

– To chyba już most na Hundsfeld.

Udało im się po chwili zatrzymać dorożkę. Zaczął padać prawdziwy deszcz i chłodne porywy wiatru przeganiały się po pustych już o tej porze ulicach.

Frommer wysiadł pierwszy i przy pożegnaniu zobaczył, że stary doktor drży. Szedł na górę z poczuciem winy. Powietrze zmieniło się, było teraz świeże i czyste. Wiele się zmieniło; nic już nie będzie takie jak przedtem.

Frommer z niespodziewaną energią zaczął snuć plany na następny dzień.

Notatki Artura Schatzmanna

Próba opisu charakteru pacjentki.

W charakterze pacjentki uderza ogromna labilność, niestałość wręcz kameleonowata. Można oczywiście tę zmienność przypisać okresowi dojrzewania, ale jej natężenie nasuwa hipotezę istnienia w psychice E.E. elementów patologicznych. Rozkojarzenie i skłonność do marzycielstwa nadają jeszcze dodatkowe piętno histeryczne.

Objawy histeryczne, jak piszą Breuer i Freud w pracy *Studien über Hysterie*, są nieświadomymi fantazjami erotycznymi, które uległy konwersji w sferę somatyczną. Jednocześnie mogą być także katartycznym „odgrywaniem" urazu seksualnego, o którym pamięć jest stłumiona.

U osoby badanej E.E. można wyróżnić typowe zaburzenia histeryczne oraz zachowania nietypowe dla tej jednostki chorobowej, które będziemy się starali rozważyć w miarę dokładnie i ewentualnie zdiagnozować. Ich opisu dokonamy w następujących trzech sferach:

1. Stan świadomości.
2. Stan snu.
3. Stan transu.

1. STAN ŚWIADOMOŚCI

Pierwszym wrażeniem z bezpośredniego kontaktu z E.E. jest jej roztargnienie, „nieobecność". Zdarza się, że odpowiedzi na pytania padają dopiero po pewnym czasie albo też słyszy się mimowolne, pojedyncze słowa, bez szczególnego związku z sytuacją. Jednakże występują też stany ożywienia. E.E. jest wtedy rozmowna i nadzwyczaj przytomna. Stany te następują po sobie nieregularnie. Kontakt na przemian bywa dobry i zły.

Nas jednak ciekawią najbardziej stany absencyjne, objaw ten bowiem jest wiązany przez Janeta z anestezją histeryczną, której podstawę

stanowią zawsze z a b u r z e n i a u w a g i. Jest to rodzaj zaburzeń doznawania, gdzie proces uwagi zostaje wycofany ze sfery sensorycznej i jakby przesunięty w inne miejsce – na przykład do sfery wyobrażeniowej. Osoba taka zaczyna śnić na jawie, co nazywamy marzeniem dziennym, w odróżnieniu od marzenia sennego. Skłonność ta wydaje się nieodłączną cechą osobowości histerycznej. Przykładem tego rodzaju zaburzeń uwagi niech będą charakterystyczne pomyłki, polegające na wtrącaniu przez E.E. w czasie zwykłych rozmów jakiegoś słowa, zwykle oderwanego zupełnie od kontekstu sytuacyjnego. Ciekawe jest dodatkowo to, że pacjentka wydaje się nie zdawać sobie z owych pomyłek sprawy. W naszej obecności zdarzyło się to dwa razy: po raz pierwszy, w czasie neutralnej pogawędki o czytanych książkach, E.E. wtrąca zwrot „głuchy las", innym razem zaś w trakcie opowiadania o jakimś szczególe umeblowania pokoju mówi „moje córki". Z relacji innych osób wiemy, że nastąpiło to jeszcze kilka razy i w każdym przypadku słowa te mówione były głośniej i wyraźniej niż reszta wypowiedzi. W kategoriach psychologicznych można to wyjaśnić w następujący sposób: podczas mówienia skupiona na tym akcie uwaga słabnie i zwraca się ku jakiemuś innemu obiektowi, nowemu skojarzeniu czy wyobrażeniu. Jednocześnie wypowiadane treści stają się automatyczne. Powstały w ten sposób bodziec przebija się przez ów automatyzm i skierowany inercyjnie na tory ośrodka mowy zostaje zwerbalizowany i wtrącony w tok normalnej wypowiedzi. Gdyby ująć to w kategoriach ściślejszych i bardziej fizjologicznych, można by powiedzieć, że pobudzenie sąsiadujących ze sobą ośrodków mózgowych interferuje się i reakcje na bodźce mogą ulec pomieszaniu.

Powyższy przykład wskazuje na typowo histeryczne cechy charakteru: a) odłączenie uwagi od czynności wykonywanych automatycznie, b) istnienie kruchej granicy między tym, co świadome, a tym, co nieświadome. Cechy te charakteryzuje bliżej Freud.

U E.E. występuje tym samym istotne zawężenie pola świadomości, na co wskazują zarówno opisane pomyłki, jak i ogólne roztargnienie, połowiczne uczestnictwo w realnym świecie oraz wizje. Stan taki można za literaturą określić mianem somnambulizmu połowicznego lub hemisomnambulizmu. Świadomość zachowuje wtedy swą zewnętrzną integralność, lecz poza nią dokonują się skomplikowane operacje, w czasie

których „ja” wolitywne i świadome nic nie odczuwa. Widać jednak, że pojawia się tam jakby druga osoba, która działa, myśli i pragnie, a „ja” refleksyjne nie ma o tym żadnego pojęcia. Zjawisko to opiszemy bliżej przy omawianiu stanu transu.

2. STAN SNU

W metodzie pracy nad przypadkiem E.E. sprawą dużej wagi jest z n a c z e n i e marzenia sennego. Przestarzały pogląd, pochodzący jeszcze z czasów Arystotelesa, głosi, że sen to przetrwałe doznania zmysłowe, które łączą się ze sobą, mieszają, przyjmując nową postać. Dziś uważa się powszechnie w świecie naukowym, że sen jest wytworem psychicznej aktywności własnej śpiącego.

Jedna z teorii, wyraźnie przeceniająca, wynosi sens snu na wyższy, „duchowy” poziom. Marzenie senne byłoby tu uwolnieniem ducha spod władzy sił zewnętrznych. Jednak jest też poważna liczba lekarzy, którzy są zdania, że marzenie senne nie ma w ogóle wartości zjawiska psychicznego. Wszelkie pojawiające się obrazy są wynikiem chaotycznych, przypadkowych pobudzeń poszczególnych ośrodków w mózgu (por. Binz). W ostatnich latach, dzięki metodzie psychoanalizy, Zygmunt Freud odkrył, że treść marzenia zastępuje inną treść psychiczną według pewnego klucza i jako taka może być uważana za symbol. Metoda ta pozwala odnaleźć wiele analogii pomiędzy życiem, jego problemami i patologią a symboliką snu.

W omawianym przypadku E.E. można uznać, że sfera snu jest niezwykle ważna dla życia psychicznego pacjentki. Z relacji jej bliskich wynika, że było tak od wczesnego dzieciństwa, na długo przed pojawieniem się „wizji” i innych objawów. Zastanawiające jest, z jaką oczywistością E.E. przyjmuje swoje marzenia senne. Ma się wrażenie, jakby treści z jej snów przenikały do stanu jawy. W tym momencie nasuwa się przypuszczenie, że wizje mogą być właśnie takimi przesuniętymi w stan czuwania marzeniami sennymi.

Ponieważ zakres niniejszej pracy nie obejmuje wyznaczenia kierunków terapii, a jest tylko próbą opisu fenomenu osobowości histerycznej – nie podjęliśmy głębszych analiz zgromadzonego materiału z marzeń sennych

E.E. (41 zapisów snów dokonanych przez pacjentkę będzie załączonych do niniejszej pracy).

3. STAN TRANSU

Transem określa się wiele różnych stanów, które charakteryzują się zawężoną świadomością, zmniejszoną wrażliwością na bodźce zewnętrzne, osłabieniem kontaktu z rzeczywistością.

W przypadku E.E. występują stany kataleptyczne i somnambuliczne, które mogą pojawić się spontanicznie w ciągu dnia. Jednak najczęściej E.E. popada w stan somnambuliczny w trakcie „seansów spirytystycznych". Najprawdopodobniej bodźcem wywołującym jest autosugestywne działanie medium lub też rodzaj reakcji na bardzo sugestywną sytuację. Można założyć, że wpływ sugestywny mają także inne ważne osoby (np. matka).

Stan transu charakteryzuje się u E.E. następującymi objawami:

– w stadium płytszym, kataleptycznym, nadwrażliwością na dotyk, w stadium somnambulicznym całkowitą anestezją;

– spowolnieniem tętna (0–50);

– nieczułością narządów zmysłów na bodźce z zewnątrz;

– minimalnym spadkiem temperatury ciała;

– płytkim, spowolnionym oddechem;

– bladością skóry, powiększeniem źrenic;

– występowaniem halucynacji wzrokowych i słuchowych.

Należy zwrócić tu uwagę, że czasami stan transu nie pojawia się spontanicznie zaraz po rozpoczęciu „seansu" i wtedy pacjentka symuluje go.

Cechą najbardziej niezwykłą w czasie trwania transu u E.E. jest powstawanie i aktywizowanie się nieświadomych osobowości, znajdujących się w bezpośrednim związku z obszarem mowy. Mamy tu przypuszczalnie przykład odszczepienia się, z obszaru już istniejącej osobowości, postaci zbudowanych ze skojarzeń, informacji i wspomnień. Trudno rozstrzygnąć, czy da się to porównać z badaniami Freuda nad

marzeniami sennymi (patrz: S. Freud, *Die Traumdeutung*, Leipzig und Wien 1900), ponieważ nie wiemy, czy treści te zostały istotnie „wyparte". Należy jednak uznać te treści za szczególnie żywotne, skoro z taką siłą, intensywnością przebijają się na zewnątrz, tworząc „mówiące duchy".

Po zakończeniu niektórych transów E.E. opowiada, co w i d z i a ł a. Warto zająć się bliżej tym fenomenem, ponieważ jego wyjaśnienie jest w stanie przybliżyć poznanie zjawiska widzenia „duchów" na jawie.

Wydaje się, że zanikająca wraz z zapadaniem w trans umiejętność oceny pozostawia wolne pole naturalnej fantazji, dzięki czemu możliwe jest ożywione tworzenie postaci. W miejscu plam światła, migoczących barw i półcieni, pojawiają się określone zarysy postaci. Obrazy te – zwane hipnagogicznymi – są tożsame lub poprzedzają w czasie postaci z marzeń sennych. Ladd dowiódł eksperymentalnie, że każde marzenie senne czerpie elementy formalne ze zjawisk świetlnych na siatkówce (G. T. Ladd, *Contribution to the Psychology of Visual Dreams*, 1892). Złożone halucynacje nigdy nie następują u E.E. w stanie jawy i dziennej aktywności, lecz zawsze współistnieje z nimi pewien stopień zaćmienia świadomości. Dlatego zasadne wydaje się twierdzenie, że spontaniczne, nagłe zapadanie w stan katalepsji zwiększa podatność na odczytywanie przypadkowych, neutralnych bodźców zarówno z zewnątrz, jak i z wewnątrz w charakterystyczny sposób.

Co się zaś tyczy motorycznych fenomenów...

Artur Schatzmann

Wszyscy byli zaniepokojeni chorobą doktora Löwe. Zapalenie płuc w jego wieku było bardzo niebezpieczne. Raz zjawiła się u niego pani Eltzner i usiłowała go przekonać do leczenia szpitalnego, ale doktor nie chciał o tym mówić. Codziennie przychodziła Teresa Frommer, gotowała mu rosół i parzyła zioła. Tylko jej pozwalał się pielęgnować. Zmieniała mu przepoconą pościel, poprawiała poduszki. Po południu wpadał Artur, siadał przy łóżku i mówił. Zbyt dużo i zbyt głośno. Któregoś dnia zakomunikował:

– Matka wraca pojutrze. Zmartwi się, że pan choruje, doktorze, zamiast nieść pomoc potrzebującym. A tymczasem na świecie dzieje się bardzo wiele. Pewien młody człowiek przeleciał aeroplanem kanał La Manche. Czy nie jest to początek nowej ery?

Doktor dyszał ciężko, nie mógł skupić wzroku na ruchliwej postaci Artura.

– Byłeś u Eltznerów? – zapytał cicho.

– Nie, jakoś nie było okazji.

– Co z twoją pracą?

– Jest w zarysach gotowa… Ale to, co się ostatnio zdarzyło, trochę zmienia mi koncepcję. Moim obowiązkiem jest szczegółowo to wszystko opisać i znaleźć naukowe wyjaśnienie. W gruncie rzeczy – rozważał dalej Artur – dobrze się stało. Nie mam pokusy uciekania się do wyrafinowanych interpretacji. Wszystko wydaje się dość proste.

– Proste… – powtórzył doktor.

– Piszę o nieświadomych osobowościach istniejących w bezpośredniej bliskości mózgowych ośrodków mowy. U osobowości histerycznych pobudzenie kory mózgu jest zbyt duże i impulsy interferują się – Artur wyciągnął przed siebie nogi i sięgnął do teczki. – Tu mam wyniki testów. Chce pan zobaczyć?

Doktor zaprzeczył słabym ruchem głowy, ale widać było, że słuchał uważnie.

– Z drugiej jednak strony, czy nie czuje pan tu zgrzytu? – ciągnął Artur. – Coś tak mało konkretnego jak osobowość sąsiaduje z czymś tak bardzo namacalnym jak ośrodek mózgowy, fizyczny kawałek mózgu. Należałoby raczej odpowiedzieć na pytanie, co to jest osobowość i co to jest ten ośrodek mózgowy. Ale to pieśń przyszłości. Widzi pan, jest wiele do zrobienia.

Doktor uśmiechnął się do Artura.

– Cieszę się, że jesteś taki pełen życia i że nie przejąłeś się… – zakaszlał gwałtownie.

– Oszukiwała, bardzo dobrze. Histeria jest cała swego rodzaju nieświadomym oszustwem. Wie pan, nie sądzę, że ona oszukiwała świadomie. Napędzał ją Frommer i jej matka, potem chciały jej pomóc siostry. Dla mnie byłoby gorzej, gdyby ona nie oszukiwała. – Artur roześmiał się i wstał, żeby się pożegnać. – Przyjdę z mamą. Niechże się pan postara wyzdrowieć, przecież nie będzie jej pan przyjmował w łóżku.

Gdy Artur był już przy drzwiach, doktor uniósł się trochę na poduszkach i zatrzymał go.

– Arturze, ja chyba wiem, co ona mówiła tymi pojedynczymi słowami, tymi, wiesz, co je zapisywałeś, i tymi, które wszyscy słyszeli… To z *Króla Olch*:

Gdy wejdziesz, chłopcze, w ten głuchy las,
Ujrzysz me córki przy blasku gwiazd,
Moje córki nucąc pląsają na mchu,
A każda z mych córek piękniejsza od snu.

Artur zatrzymał się z ręką na klamce.

– To rzeczywiście możliwe, tak, to prawdopodobne – powiedział i poszedł.

Doktor Löwe

Löwe widział, że jego stan się systematycznie pogarsza. Piersi i plecy bolały go przy każdym oddechu, szarpał nim kaszel. Gorączka przenosiła go w stan pół śmierci, pół snu, przygotowywała go jakby do całkowitego odejścia.

Doktor wiedział, że umiera, i był wdzięczny swojemu ciału, że dało już spokój tym codziennym nudnym rytuałom życia, bólom serca, smutkom, zimowym łamaniom w kościach. Po raz pierwszy czuł się swoim ciałem i niczym więcej, niczym poza tym. Leżał spokojnie na wznak, wspominając nieważne szczegóły z przeszłości. Wsłuchiwał się w swój ciężki oddech i patrzył na miejsce, gdzie sufit spotyka się ze ścianą, pionowe z poziomym. Widział tam dużego pająka, który nie mógł być niczym innym niż śmiercią.

Wszystko w nim chciało już śmierci, jakby to miała być jakaś nagroda. Myślał o śmierci i przygotowywał się do niej, wpatrując się w pająka jak w znak. Kiedy przychodzili do niego Vogel i Artur, czasem im o tym wspominał, ale oni milczeli i w oczach mieli potępienie. Powtarzali wciąż o siłach życia, o autosugestii, a w końcu o podróży, jaką jest życie. Doktorowi przypomniało się, że kiedyś też tak mówił umierającym, i zrobiło mu się wstyd.

Löwe nie chciał żadnych podróży ani przesiadek, przechodzenia w inny stan, piekła ani nieba. Pragnął nieistnienia. Był zmęczony, obolały, rozczarowany. Pragnął przestać być, zniknąć, zgasnąć, zamknąć oczy i nigdy już ich nie otwierać, w tym czy innym ciele, w tym czy innym świecie. Pociągała go ciemność pod powiekami. Myśl, że miałby się gdzieś jeszcze obudzić, nieznośnie go męczyła. „Nie ma, nie ma” – powtarzał, hipnotyzując się tymi słowami, choć trudno mu było do końca w nie uwierzyć. Przeczuwał jakieś nieokreślone obszary, w sobie, nie na zewnątrz, być może nieśmiertelne i przez to obce, przerażające, nieludzkie. Chciał je zidentyfikować, zamykał więc oczy i szukał ich

w rozmazanych obrazach, które się wtedy pojawiały, w przypomnieniach wrażeń. Chwilami wydawało mu się, że dociera do sedna, ale były to momenty zbyt ulotne, żeby cokolwiek zrozumieć.

Wieczorem gorączka podnosiła się i doktor już bez kontroli zapadał w te wewnętrzne przestrzenie. Była w nim nieskończona liczba światów. Wynurzał się z nich nagle, żeby zobaczyć strapioną twarz pani Schatzmann, która teraz czuwała przy nim codziennie na zmianę z Teresą.

„Gdyby tak można było zadać sobie samemu śmierć absolutną, śmierć ciała, duszy" – myślał czekając na śmierć, która w dusznym pokoju była coraz bliżej, i jednocześnie bał się, że śmierć go oszuka, każe mu być nieśmiertelnym i wciąż gdzieś wędrować, bez końca, że kiedy przejdzie granicę, znajdzie się gdzie indziej i będzie znowu musiał podejmować decyzje i czegoś pragnąć, za czymś tęsknić.

Wszystko wokół łóżka doktora wydawało się czekać na śmierć. Ten pająk na ścianie, światło latarni wpadające z ulicy i żałobne zawodzenie gwizdków na Odrze. Świat czekał na śmierć razem z doktorem Löwe, starym Żydem urodzonym w Królewcu, wędrowcem tułającym się po zamożnych domach niemieckich pacjentów.

Tak bardzo się kiedyś mylił, myśląc, iż ludzie nie chcą umierać, chcą żyć wiecznie. Z niesmakiem przypominał sobie te nieudolne słowa pocieszenia, które dziesiątki razy wypowiadał przy umierających. Powoli opanowywała go groza. Umierał i niczego nie zrozumiał, niczego się nie nauczył. Mesjasz nie przyszedł. Gdyby Löwe miał pewność, że oto wszystko się kończy, że potem nie będzie już nic, umierałby ze spokojem. Ale bał się i dlatego wyobrażał sobie, kim naprawdę jest Bóg. I własne pragnienie śmierci, silniejsze niż wszystko, wszechpotężne, przypisał Bogu. Zrozumiał, że na początku czasu Bóg zniszczył się sam w ogromnym wybuchu i czas był miarą jego rozpadu, i że wszyscy jesteśmy kawałkami boskiego ciała, które wciąż umierają, jak wszystko wokół. Naszym zbawieniem jest nieistnienie.

Artur Schatzmann

EPILOG

Na początku sierpnia 1914 roku, już w mundurze, Artur Schatzmann jechał tramwajem w okolice Neumarkt, gdzie – jak się dowiedział – Erna Eltzner prowadziła swój zakład krawiecki.

Miał w kieszeni powołanie na front, szedł na wojnę i w ostatniej chwili, już po pożegnaniach, odwiedzinach grobów rodziców, tych wszystkich pijaństwach z przyjaciółmi i herbatkach u znajomych, pomyślał o małej Ernie. Od kilku lat myślał o niej „E.E.", jak o kimś wymyślonym, symbolicznym, osobie-przedmiocie, przypadku, który naukowo zanalizował. Teraz musiała być kobietą, minęło ponad pięć lat od czasu, gdy widział ją po raz ostatni. Zatęsknił za spokojem tamtych dni, wieczornymi seansami, czytaniem książek i nieustającymi dyskusjami. Chciał zobaczyć znowu Ernę Eltzner. Po śmierci doktora Löwe Artur stracił kontakt z Eltznerami, przestał się też nimi interesować. Potem umarła matka, a on zaczął wreszcie przyjmować pierwszych pacjentów. Kiedy wszystko powoli się rozkręcało, kiedy Artur poczuł się pewnie jako psychiatra, dostał powołanie do wojska. Na front belgijski.

Miasto zszarzało od upału. Patrząc z okien tramwaju, Artur miał wrażenie, że świat zmęczył się, zestarzał i czekał na zmianę, która musi nadejść tak samo, jak po gorącym lecie przychodzi mokra jesień. Ale tymczasem cienkimi, leniwymi strumyczkami toczyło się życie. Kobiety chodziły po ulicach w letnich sukienkach, w wielkich kolorowych kapeluszach, trzymając za ręce dzieci w jasnych ubrankach. Na straganach leżały sterty owoców i warzyw, stały kosze pełne śliwek na powidła.

Wysiadł na Neumarkt i kupił bukiet różowych różyczek. W chwilę potem odnalazł przy aptece oszklone drzwi, na których było napisane: „Kapelusze. Eleganckie krawiectwo. E. Eltzner". Stojąc tam, Artur pomyślał, że z zewnątrz musi wyglądać jak ktoś, kto przyszedł się oświadczyć.

Poznał ją od razu, zanim jeszcze odwróciła do niego twarz. Prawie się nie zmieniła. Była teraz może pełniejsza, bardziej kobieca, bardziej żywa. Popielate włosy zaczesywała w kok na czubku głowy, a w uszach miała małe kolczyki, w których odbijały się mikroskopijne słońca. Jej oczy patrzyły na niego z ciekawością, bez tej niepewności, o której zawsze myślał, że jest im przypisana jak kolor.

– Słucham pana – zapytała i Artur zrozumiał, że go nie poznała. Mogła to być wina munduru, więc zdjął czapkę i podszedł bliżej do kontuaru, na którym tkwiły na stojakach różne fasony kapeluszy.

– Czym mogę panu służyć? – powtórzyła Erna Eltzner czy też kobieta, która kiedyś nią była. W jej oczach pojawiło się rozbawienie, które sprawiło, że Artur poczuł się śmieszny.

– Nazywam się Artur Schatzmann, a pani jest Erną Eltzner, tak? – Tak – potwierdziła i przechyliła w bok głowę jak zaciekawiony ptak. – Pani mnie nie poznaje?

– Nie.

– Cztery, nie, może pięć lat temu przychodziłem do domu pani rodziców i badałem panią…

– Jest pan lekarzem?

– Teraz tak, ale wtedy byłem jeszcze studentem. To niemożliwe, żeby mnie pani nie pamiętała.

– Niestety, nie znam pana.

– Artur Schatzmann, pięć lat temu…

Zaprzeczyła tak naturalnie, że Artur wyzbył się podejrzenia, iż udaje.

– Byłem na Ursulinenstrasse, ale pod dawnym adresem mieszka ktoś inny.

– Rodzice kupili dom.

Stali naprzeciwko siebie w otoczeniu wielkich kapeluszy, mierząc się wzrokiem.

– Nie pamięta pani seansów? – spytał w końcu Artur z niedowierzaniem.

W twarzy kobiety coś drgnęło. Odwróciła wzrok.

– Przepraszam pana, ale jestem zajęta – powiedziała.

Artur Schatzmann zrobił krok do przodu, jakby wierzył, że gdy staną twarzą w twarz, blisko siebie, wszystko jej się przypomni, będzie musiała się przyznać. Kobieta cofnęła się, jej wzrok był chłodny i obcy. Artur stał jeszcze chwilę, gniotąc w rękach wojskową czapkę i bukiecik kwiatów. Zawahał się, chciał jeszcze coś powiedzieć. Kobieta obojętnie poprawiła jeden z kapeluszy. Artur ukłonił się i wyszedł. Za jego plecami zadzwonił dzwoneczek u drzwi.

Szedł przez miasto, które wydawało mu się coraz bardziej puste i dziwne, jak teatralne dekoracje, które ktoś zaraz rozbierze i zmieni na inne, całkiem obce. Nie było już w nim matki ani ojca z fajką w ustach, która kiedyś wydawała się Arturowi nieśmiertelna. Nie było starego doktora Löwe i jego torby pachnącej karbolem. Zapodział się gdzieś też ten szalony, złośliwy Frommer i jego garbata siostra. Nie było mieszkania Eltznerów, bladej Erny i filiżanek w fiołki. Ale smutek, który wiązał się z tymi obrazami, był ulotny. Artur zawsze był pewien, że „wczoraj" brzmi tak samo jak „sto lat temu" i do tego samego się sprowadza: nie istnieje.

Położył bukiet różyczek na ławce przy ratuszu i pobiegł za odjeżdżającym z przystanku tramwajem.